

JUAN  
MARSÉ  
DZIEWCZYNA  
W ZŁOTYCH  
MAJTKACH

SANTIAGONO  
CAGLIOLLOEDU  
ARDOMENDOZA  
MARGARETAT  
WOODWIESLAW  
MYŚLIWSKIKIR  
ANDESAIJOHN  
BANVILLEJUDY  
BUDNITZZADIE  
SMITHISMAIL  
KADAREJOHN  
HASKELLEMIKO  
LAILOZINSKI  
LYDIA  
ZBIGNIEW  
TZELTATANA  
TOLSTOJANDR  
IEJKURKOWWIL  
HELMDICHTER  
ANDREW NAGO  
ESKIGENE BRE  
WERBOHUMIE  
HRABALMICHAŁ  
OLBYEWSKI  
JURE  
ZONWEN  
SUSCIBIA  
GATE SAN  
MOTTOMASZ  
JUKASZYSZARD  
SADAJE NO  
DIAZRIQUARD  
FOURTEMOLA  
MEDIJANIE

znak

PROZA

JUAN  
MARSÉ  
DZIEWCZYNA  
W ZŁOTYCH  
MAJKACH

przekład Marcin Michalski



Wydawnictwo Znak  
Kraków 2010

(...) nie mogli zrobić wiele z przeszłością (...),  
zrobili więc wszystko, co możliwe, z przyszłością.

Henry James<sup>1</sup>

---

1 Cytat z noweli pt. *Maud-Evelyn* (1900). (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

# 1

Są rzeczy, które trzeba zdążyć opowiedzieć, zanim ktoś o nie zapyta.

Kiedy po długim znęcaniu się nad akapitem Luys Forest wreszcie uznał go za udany, spostrzegł się, że nie ma przy sobie notesu ani długopisu. Kontynuował więc spacer plażą, lekko kulejąc, trącąc laską muszle, idąc w ślad za psem węszącym z podnieceniem zgniłe zapachy. W rozedrganych wklęsłościach łamiących się jedna za drugą fal wirowały martwe wodorosty i ostatnie blaski zachodzącego słońca.

Zostawił w tyle Sanatorium Morskie, zniszczone i opuszczone, i zagłębił się w blade mozaiki osiedla widma, rozległej budowy dotkniętej paraliżem.

Natrętny akapit zlewał mu się w głowie z hukiem morza. Mimo wszystko, pomyślał, jest trochę niejasny. Czuł, jak wzbiera w nim owo widmowe uczucie, zawsze obecne w jego życiu, a od pewnego czasu wręcz prześladowające go: uczucie nierzeczywistości otoczenia i tymczasowości rzeczy, nie wyłączając ciekawości, którą jego powrót wzbudził w miasteczku i która ożywiała gorzkie wspomnienia, dodatkowo zatrute późniejszymi plotkami i obmową. Od czterech miesięcy pracował nad ostateczną wersją swojej autobiografii, drugim już z kolei brudnopisem na sześćset stron – nieokiełznaną orgią skreśleń i sążnistych uzupełnień – postanowiwszy najwyraźniej żyć tak, żeby ludzie nie mogli ani o nim gadać, ani do niego dotrzeć: nie przyjmował wizyt ani korespondencji, nie utrzymywał też żadnego kontaktu z miasteczkiem; wyjątek stanowił spacer plażą, na który udawał się co wieczór, podążając za swoim psem i piaskowymi wspomnieniami.

Po drugiej stronie najeżonych suchymi trawami wydm, niedaleko brzegu, ujrzał chłopaka w berecie, który leżał między dwiema sponiewieranymi walizkami i palił z głową opartą o szary plecak. Na wprost niego powoli wchodziła w morze dziewczyna o jasnej skórze, nie zanurzyła się jednak cała, wyłaniając się na ławicy piasku. Podparłszy się pod boki, odwrócona tyłem potrząsnęła falowanymi kasztanowymi włosami i trwała tak w bezruchu, w wodzie z nagłą zastygłej i zamilkłej wokół jej śnieżnych kolan. Zwróciła twarz w stronę swojego towarzysza i wyciągniętą ręką wskazała horyzont: Ibiza.

Utkwiwszy wzrok w końcu laski, Forest miał właśnie wznowić przerwana przechadzkę, kiedy coś, wrzask albo rozmazany kształt ptaka w locie – był to ten moment zmroku, kiedy trudno stwierdzić, czy pewne rzeczy widać, czy słyszać – znów kazało mu spojrzeć na dziewczynę, na rozpostarte na jej pośladkach skrzydła miodowej barwy, złocisty trójkąt rozjaśniany właśnie ostatnim, łamiącym się światłem zmierzchu.

Godzinę później, gdy wrócił do domu i otwierał szklane drzwi wychodzące na plażę, wzrok jego przykuł widok tej samej dziewczyny, która zdecydowanym krokiem zmierzała ku niemu od strony murka przy deptaku: szła boso, w jednej ręce niosąc espadryle i przenośną maszynę do pisania, a drugą wlokąc ciężką walizę upstrzoną kalkomaniami i naklejkami. Była zgrabna, miała jasną karnację i duże szare oczy otoczone przewrotną konstelacją piegów. Rozpoznał ją dopiero wtedy, gdy stanęła tuż przy nim i usłyszał jej osnuty dymem głos, wpadający w senny, ledwie słyszalny szept. Dziwny przestach, który ogarnął go zrazu

na widok niechlujnej cygańskiej spódnicy, szarej bluzki osnuwającej jej piersi jak pajęczyna, naszyjników z pestek słonecznika i delikatnie spoconych bladych ramion, ustąpił miejsca wrażeniu, że zna skądś te posągowe policzki, te powieki zwieszające się ciężko w lodowatym chłodzie marmuru i tę gnuśną ciemność wydatnych warg, które w końcu pozwoliły mu rozpoznać Marianę, córkę jedynaczkę jego szwagierki Mariany Monteys.

– Cześć, wujku! Nie poznajesz mnie?

– Teraz poznaję.

– To jest Elmyr. Możemy wejść?

Pewne elementy jej wyszukanej biżuterii (czarna opaska na szyi, złoty łańcuszek na kostce) nakazywały mu ostrożność. Świadom kpiącego spojrzenia, które zamieniła ze swoim przyjacielem w berecie, szczupłym i milczącym chłopakiem, któremu z ramienia zwieszał się plecak, a z szyi kilka aparatów fotograficznych, i który ręce miał właśnie zajęte skubaniem swojego rozprutego rozporoka, Forest powitał krewniaczkę z niecierpliwą czułością i – przyglądając się dłoniom fotografa, drobnym i bladym, lecz dziwnie władczym – niemal nie zwrócił uwagi na przytaczane przez nią zawile motywy, które skłoniły ją do złożenia tej zgoła niespodziewanej wizyty. Domyślając się jakiejś banalnej przygody miłosnej, szybko zakończył powitania, przydzielił jej pokój gościnny na parterze i z góry pozwolił na wszystko – również, choć nie wyraził tego wprost, na przyjęcie pod dach jej milczącego przyjaciela – wyjąwszy przerywanie mu pracy w gabinecie na piętrze.

– Mam nadzieję, że nie będę ci przeszkadzać, wujku.

– Ja też mam taką nadzieję. Czyj to był pomysł?

– Mamy. Nie dzwoniła, żeby cię uprzedzić, że przyjadę?

– Nie.

– Byłam na Ibizie...

– Porozmawiamy później. Mam teraz trochę pracy.

Zerknął na fotografa, przeglądającego się przez ramię ukradkowo i nieufnie w lustrzanych drzwiach szafy: atrakcyjnego chłopaka, który jednak, pomyślał Forest, nie najlepiej dogaduje się z własnym ciałem.

Wychodząc z pokoju, już w drzwiach zwrócił się do Mariany:

– Zanim zapomnę... Tutaj nie za bardzo wypada, żebyś pokazywała się w bieliźnie. Niedaleko jest sklep, kup sobie strój kąpielowy. Zdaję sobie sprawę, że wracasz z Ibizy, gdzie mogłaś się bez niego obyć. Rozumiem też, że lepsze majtki niż nic, ale w czymś takim na tej plaży możesz szokować.

Mariana patrzyła na niego z miną wyrażającą jednocześnie rozbawienie i zdumienie. Chciała coś powiedzieć, ale wuj odwrócił się i wyszedł.

W gruncie rzeczy Forest nie miał nic przeciwko jej wizycie. Wbrew temu, co o nim powszechnie myślano, zwłaszcza tutaj w ciągu ostatnich czterech miesięcy, nigdy nie uciekał w tę bezwzględnie samotność z wyboru, którą zwykle kojarzy się z pisarzami; wiedział też, że nie zostanie zakłócona ani jego prywatność, ani plan pracy, ponieważ właściwie mieszkał na piętrze i tylko od czasu do czasu schodził do kuchni po lód, małą przekąskę lub skromny obiad, który stara Tecla zostawiała mu przygotowany na tacy – o ile nie poprosił o wniesienie go na górę, co zdarzało się często.

W każdym razie dyskrecja krewniaczki przerosła jego wszelkie oczekiwania. Cokolwiek stanowiło oficjalny powód jej wizyty (z tego, co rozumiał, chodziło o wywiad czy też fotoreportaż), było oczywiste, że się z tym nie spieszyła. Przez trzy kolejne dni widział ją tylko parokrotnie: raz, kiedy leżała w ogrodzie w cieniu sosny, w pewnym oddaleniu od

swojego przyjaciela, nadasana i zła (nieco wcześniej Forest słyszał ich ostrą kłótnię, po której fotograf, obruszony, postanowił smażyć się na trawniku w słońcu, kreśląc coś w dużym zeszytcie); gdy spotkał ją po raz kolejny, wychodziła z kuchni z czerwonałą obwódka wokół srebrnych oczu, która mogła być skutkiem braku snu albo płaczu, albo też jednego i drugiego.

Któregoś popołudnia, kiedy w poszukiwaniu zapodziej fajki zajrzał na nieduży, górujący nad ogrodem taras, zastał parę zajętą nader pobudzającą i ze wszech miar stosowną dla nich zabawą. Mariana siedziała na poziomym konarze sosny z nogami zwieszonymi obok wystrzępionej końcówki nadbutwiałej już liny, dawniej stanowiącej część huśtawki; w dole, z rozłożonymi ramionami, stał jej przyjaciel i usilnie ją o coś prosił. Nagle dziewczyna chwyciła się liny, ześlizgnęła się z gałęzi i zawisła w powietrzu, majtając nogami i swoją zwariowaną cygańską spódnica. Zanim jednak zdążyła zeskoczyć na ziemię, chłopak niepostrzeżenie wsunął głowę między jej uda i z werwą ruszył do ataku, pomagając sobie precyzyjnymi i niemiłosiernymi ukąszeniami – jak można było się domyślać z okrzyków dziewczyny, która w końcu objęła go nogami za szyję i wypuściła sznur z rąk. Przetoczyli się po trawie i Mariana wylądowała na plecach z rozkraczonymi nogami i spódnica zadartą na głowę. Forest wręcz zląkł się, że ich jęki mogłoby być słychać w Segur albo San Salvador.

Wieczorem, podczas kolejnego przypadkowego spotkania w kuchni, w której zdążył już zapanować chaos – Mariana robiła właśnie herbatę, gdy wuj wszedł, by opróżnić kosz na śmieci zapełniony po brzegi zmiętymi kartami maszynopisu dziewczyna zaoferowała się, że przepisze dla niego na czysto kilka rozdziałów.

– Trochę się w ten sposób rozerwę – powiedziała. – A przy okazji poznam twoją pasjonującą przeszłość, przyda mi się to do reportażu...

I dodała, że w ten sposób odwdzięczyłaby się też za gościnę. Forest zauważył na jej szyi psią obrozę. W tym momencie poczuł się w coś uwikłany, w jakąś ukartowaną za jego plecami intrygę, której nie da się zapobiec. Zdążył się już przekonać o uderzającym (w dosłownym znaczeniu słowa) lenistwie Mariany – filiżanki i cukierniczki nie odstawiała na marmurowy blat: po prostu wypuszczała je z dłoni – a teraz, słuchając jej tłumaczeń, dostrzegał u niej niepowstrzymaną skłonność do gmatwania spraw. Oto ta pracująca z doskoku i bez najmniejszego entuzjazmu redaktorka ilustrowanego pisma kierowanego przez jej matkę – jednego z tych tygodników drukowanych na kredowym papierze, których on nie raczyłby nawet dotknąć – przedkładała wujowi beznamietną propozycję przeprowadzenia z nim cyklu wywiadów do reportażu, za który, jak oznajmiła, należność pobrała już wiele miesięcy temu, a którego mama pilnie teraz potrzebowała, ze zdjęciami włącznie. Ta pilna potrzeba, wyjaśniała, była tak naprawdę zwykłym podstępem, za pomocą którego matka chciała wyrwać ją z Ibizy i ze spokojnej egzystencji w *quasi*-komunie, w której owa dobra kobieta dopatrywała się przyczyny straszliwych depresji córki, jej nieuleczalnej bezsenności i braku ambicji zawodowych: na reportaż z prawdziwego zdarzenia o życiu i dziele Luysa Foresta nikt tak naprawdę nie czeka, dodała dziewczyna.

– W tym względzie masz przynajmniej rację – rzekł smutno wuj. – A jeśli o mnie chodzi, to mówienie o sobie samym jest dla mnie najnudniejszą rzeczą na świecie.

Przez okno zobaczył w ogrodzie fotografa: z pałkowato wygiętymi plecami, wyciągniętą ręką i policzkiem przyciśniętym do ramienia strzelał w pień sosny kolorowymi strzałkami z pistoletu pneumatycznego.

– A jednak – stwierdziła Mariana, dmuchając w filiżankę z herbatą – tym właśnie teraz się zajmujesz. Piszesz autobiografię, nie?

– Ale nie opowiadam w niej, jaki jestem ani jaki byłem, tylko jaki chciałbym być w przeszłości – uśmiechnął się z zakłopotaniem, jakby wysnęło mu się jakieś starcze grubiaństwo. – Kogo mogłoby zainteresować, co robi albo czego już nie robi taki dziadek jak ja?

– Żaden z ciebie dziadek, świetnie się trzymasz... – Mariana zawahała się przez chwilę i dodała: – Problem w tym, że ta robota od mamy mnie odrzuca, jak każda praca zresztą. Ale chciałabym ci pomóc przy twoich wspomnieniach, naprawdę.

– Najpierw rób to, co ci każe matka.

Wyjaśniła, że owszem, zamierza wywiązać się z tego cholernego zadania, ale nie ma się z tym co spieszyć, bo jedyny problem, którym naprawdę przejmowała się mama, już się rozwiązał: zbłąkana córka znajduje się cała i zdrowa z dala od wyspy-palarni. Wprawdzie tutejsza plaża w Calafell to śmietnik pełen gówna, samochodów i tłuszciochów z Saragossy grających w petankę<sup>2</sup>, no, ale trudno, lepsze to niż nic. Zresztą i tak postanowiła nie kąpać się już w tym ohydny weekendowym morzu. Nigdy nie lubiła się opalać ani pływać.

---

2 Petanka (hiszp. *petanca*) – gra w kule popularna m.in. w Katalonii.

## 2

Miasteczko bardzo się zmieniło od czasu, kiedy widziała je po raz ostatni. Zmieniła się nawet plaża, na której piasek nie sięgał już drzwi wejściowych jak dawniej, kiedy jako dziewczynka spędzała tu wakacje z matką. Jej kuzyni boso i odważnie skakali wtedy z balkonu prosto w piasek, nie było deptaka z latarniami ani murka oporowego, a zdrowe tchnienie morza mieszało się swobodnie z oddechem otwartych sieni.

Ale stary dom Forestów pozostał taki sam: elegancki, a jednak, rzecz by można, osamotniony, krzykliwy jak ślimak wśród nowych wysokich bloków mieszkalnych. Był to stary dwupiętrowy dom rybacki, pozostawiony bez większych przeróbek, zwłaszcza na zewnątrz, choć z parteru usunięto ścianki działowe. Była w nim jadalnia, w rzeczywistości będąca przedłużeniem sieni, i oszklona galeria od strony ogrodu. Budynek, przystosowany do mieszkania w lecie, był niezbyt przestronny, ale nie sprawiał wrażenia małego: sosnowe belki i okiennice pomalowano na błękit, a grube ściany z kamienia i suszonej cegły pobielone były wapnem lub wyłożone *azulejos*. Dom miał mnóstwo zakamarków, a z tyłu zaniedbany ogród, który we wspomnieniach Mariany zachował się jako pocięty piaskowymi ścieżkami, obecnie zatartymi.

Jeżeli wszystko to składa się na jakąś historię, to zaczęła się ona zapewne w połowie czerwca 1976 roku, nocą, kiedy Mariana Monteys pisała list do przyjaciółki studiującej w Londynie. Czyniąc zadość nieubłaganemu rytuałowi bezsenności, rozpisała się szeroko, choć listu i tak nie miała dokończyć.

Mariana należała do ludzi przywiązujących wagę do uczuć przemijających, ludzi, o których nie wiadomo, czy nie chcą być odpowiedzialni za swoje szczęście, czy też ich szczęście polega na tym, że są nieodpowiedzialni.

*Calafell, 18 czerwca 1976*

*Kochana Floro,*

*ale kanał: wydaje mi się, że zatracam zdolność odczuwania doznań ściśle fizycznych. Odkąd tu przyjechałam parę tygodni temu, tkwię w stanie jakiegoś bezsennego wyczekiwania. Nie żeby udawało mi się pokonać doła, którego zawsze łapię nad morzem, albo żeby nasz mały Elmyr zaprzestał flirtów ze śmiercią – po prostu pomagam wujowi przepisywać na maszynie jego pokręcone wyznania.*

*Opowiem ci najpierw o panu domu, który kiedy miałam piętnaście lat, był mężczyzną mojego życia, zresztą wiesz. Minęło sporo czasu, ale prześwietny historyk dobrze się prezentuje, chociaż ma koło sześćdziesiątki, jest bardziej ślepy, niż próbuje wszystkim wmówić, i oczywiście bardziej cyniczny i rozgadany (ale nie mniej przystojny, moja droga, niestety) niż w swoich najlepszych latach, kiedy to był oficjalnym kronikarzem zwycięstwa, tak*



wtedy podziwianym, tak uświęconym, tak niebieskim<sup>3</sup> i jak tam, do diabła, leci cała ta śpiewka. Muszę przyznać, że trochę mi go szkoda. Zauważam u niego tę bezradną nabożność wobec przeszłości, którą zwykle promieniują ludzie w jego wieku, kiedy mniej więcej już wiedzą, jak będzie wyglądać ich klęska... Znasz moją niezdrową słabość do tego komedianta. Coś w nim mnie zdecydowanie odpycha, a jednocześnie coś silnie pociąga. Może dopnę tylko tego, że mnie stary dziadyga obmaca, ale to by mi wystarczyło. Dokładnie na wprost biurka mam okno z czerwonymi bugenwillami.

Może wciąż jeszcze nie otrząsnął się ze swojej małżeńskiej kraksy? Wiesz pewnie, że ciocia Sole po wielu próbach udaremniionych przez moją dobrotliwą matkę ostatecznie odeszła od niego pięć lat temu. Najwyraźniej miała już dosyć tych jego błękitnych maniactw i tajdackich przygód erotycznych. Kiedy cztery miesiące temu ciocia umarła w Madrycie, gdzie mieszkała od czasu separacji, on siedział sobie w Rzymie i wygłaszał jakieś odczyty (zdaniem mojej matki, tak naprawdę składał jedną ze swoich regularnych wizyt pewnej bardzo poetyckiej damie, którą poznał u nas we Włoskim Instytucie Kultury pięć lat temu). Jego synowie, już pożenieni, z którymi pozostaje w jak najgorszych stosunkach, nie mogli, albo i nie chcieli, go zlokalizować, a kiedy wrócił dwa tygodnie po pogrzebie, unikał spotkania z kimkolwiek i przyjechał tutaj, do Calafell, gdzie zaszył się ze swoimi pamiątkami. Ma odlotowy dom w Ampurdán<sup>4</sup> i ogromne mieszkanie w Barcelonie, ale wzięła go nostalgia, no i wylądował tutaj: w rozsypującej się chatce, która wcześniej należała do jego rodziców. Tego lata znowu nie będzie gości, nie przyjadą też moi kuzyni, którzy otwarcie natrząsają się z ojca – to rodzinne – tak więc jesteśmy sami, bo czarodziej Elmyr woli żyć własnym życiem i nie zawsze zostaje na noc. Czuję się jednak trochę zbита z tropu. Dlaczego wydawało mi się, że w tym mężczyźnie i w tym domu znajdę skuteczny sposób ocalenia naszego Elmyra i powstrzymania, a przynajmniej odwleczenia, jego samobójczych zabaw?

Niech cię nie zwiedzie trzeźwy ton tego listu, to na pewno wpływ liturgicznego stylu mojego znamienitego gospodarza. Tak naprawdę wciąż jestem tą niebezpieczną kocicą z naszych wyspiarskich nocy, tą samą zwariowaną łepetynką, która mruczała oparta na twych pięknych piersiach, Floreczko, wciąż nie potrafię spać sama ze strachu, że mogę się nie obudzić, a co gorsza, wciąż nie potrafię nie krzywdzić innych. Przestałam pić, ale nocami czuję się fatalnie i boję się, że mój język znowu może narobić szkody... Mimo to muszę ci o czymś powiedzieć.

We wtorek rano znów pokłóciłam się z Elmyrem. To, co zawsze: ekspres nocny. Co też takiego może on czuć przy tym łomocie stali i światłach zagłębiających się w noc, na ostrych kamieniach, które człowiekowi wbijają się w plecy i w pupę? Złękłam się i tym razem powiedziałam mu, że nie mam zamiaru zaspokajać jego szaleńczych pomysłów – obraził się. Sprzeczaliśmy się przed domem wuja. Nagle Elmyr wyciągnął ten swój cholerny pistolet pneumatyczny, pamiętasz, kupiliśmy go w Tangerze zeszłego lata, i na przypieczętowanie tej swojej pociesznej furii posłał w powietrze strzałkę, która wbiła się w ścianę, a potem odpadła z kawałkiem tynku nadzianego na czubek. Dwa dni potem stara Tecla, która przychodzi sprzątać dom, zdradziła mi ciekawą plotkę o wuju, jedną z wielu, które krążą widać po okolicy, a która dotyczy pewnego emblematu namalowanego smołą przez samego Luysa Foresta na fasadzie domu w 1939 roku. Podobno pewnej burzliwej październikowej nocy tamtego roku przechodził tędy ze znajomymi pijany elektryk z Comarrugi, który wpadł na

---

3 Niebieski był kolorem hiszpańskiej Falangi (Falange Española); jej członkowie nosili niebieskie koszule.

4 Ampurdán – kraina historyczna w prowincji Gerona (północna Katalonia).

nieszczęśliwy pomysł wysikania się pod tą ścianą i oparł rękę na świeżo namalowanym emblemacie. Wuj odebrał to jako zniewagę i celnym strzałem zrobił mu dziurę w dłoni. A do tego, jak twierdzi Tecla, jeszcze na niego doniósł. Po emblemacie na ścianie nie ma już śladu od lat, powiedziała stara, ale dodała, że dziurę po kuli widać do dziś, i chciała mi ją pokazać.

Tyle Tecla, ale ja wiem swoje: wybuchnęłam śmiechem na myśl o Elmyrze i o tym, jak swoją niewinną strzałką niezamierzenie wzbogacił repertuar miejscowych plotek. Nie chciałam tłumaczyć staruszce, że mija się z prawdą, i zapomniałam o całej sprawie. Ale kiedy wczoraj przepisywałam na maszynie gęsty, niemal nieczytelny od poprawek akapit pióra mojego wybitnego pamiętnikarza, natknęłam się na ten oto liryczny dopisek na marginesie strony (mam ją pod ręką), na którym jeszcze nie wysechł atrament:

„Moje szczególne upodobanie do długich przechadzek po tutejszej plaży, którym na przeszkodzie nie stanęło ani rozdygotane serce, ani utykanie, dawniej wcale nie tak lekkie – choć niewątpliwie bardziej eleganckie – zrodziło się kilka lat przed moim ślubem. W pierwszych dniach października trzydziestego dziewiątego roku, gdy pewnej posepnej i bezgwiezdnej nocy wracałem samotnie do domu, ponad ciemnym, rozszalałym morzem, ponad odległym zamętem, ponad jego łoskotem i brokatami piany morskiej dojrzałem pierwszy zwiastun tej zbawczej wątpliwości, która miała zagnieździć się w moim sumieniu: po raz pierwszy pomyślałem wtedy o ewentualnym »odłączeniu się« i o tym, jak to powiedzieć Soledad, żeby nie sprawić jej śmiertelnej przykrości. Niezdecydowanie albo pycha w połączeniu z paroma nadprogramowymi kieliszkami, które wlałem w siebie tego wieczoru, sprawiły, że moje chwalebne zamiary ostatecznie ziściły się tylko jako krótki oddech prywatnej wolności, mało zresztą rozważny, jeśli wziąć pod uwagę, jak był głośny: wszedłem do domu, wziąłem swój pistolet marki Astra, wyszedłem z powrotem na zewnątrz i, powodowany jakimś nieuświadomionym impulsem, postąpiłem kulę dokładnie między drugą a trzecią strzałę ukochanego emblematu (pająka, jak go zwały dzieci z miasteczka) widniejącego na fasadzie. Wspominam i odnotowuję te szczegóły dlatego, iż ta dawna, prywatna ceremonia, banalna i rzecz jasna śmieszna, trwa we mnie, pokryta pyłem i pajęczynami, które po latach pogrzebać miały tyle ideałów, i dlatego że był to pierwszy z moich rozlicznych kryzysów. Mówię o tym nie po to, żeby się usprawiedliwiać; lecz gdyby tamtej nocy ktoś mnie zobaczył i złożył na mnie doniesienie, moje życie potoczyłoby się inaczej. W każdym razie po dziś dzień trwa świadectwo młodzieńczej jasności umysłu, wieszczego, choć nieskutecznego, buntu: wciąż jeszcze widać bliznę w murze...”

No więc, moja droga, co o tym sądzić? Po co te pamięciowe rozszady, te starania, żeby coś było na samym początku, na pierwszym planie? Tyle ołowiu i tyle strzał tylko dlatego, że jedno zranione i przyćpane serduszko nie mogło zaspokoić swojej namiętności oglądania pędzących pociągów! Nie, laleczko, nic tej nocy nie brałam, chyba że ducadosy<sup>5</sup> już coś w sobie miały. Ale i tak wszystko mi się kręci. Czyżby faktycznie istniało inne życie zewnętrzne, do którego ani ja, ani Elmyr nie mamy już dostępu i w którym wciąż liczą się blizny i dziury po kulach? Mnie oczywiście nudzą takie łamigłówki, jak chcę się rozerwać, wciągam sobie herę, upalam się albo po prostu zaczynam myśleć o czymś innym.

Ale czasami, Florciu, w najmniej spodziewanym momencie, kiedy ja pałętam się po tym domu, który pada niepostrzeżenie ofiarą piasku i soli, a w swojej norze na górze memuarysta samotnik przeżuwa zawile treści, czuję się tak, jakbym zderzała się z delikatną pajęczyną, która omotuje mi twarz.

---

5 Ducados – marka mocnych papierosów.

### 3

Forest stał na balkonie i patrzył na sunące jedna za drugą grzywy fal. O tej porze już ledwie dostrzegał amatorów rytualnej kąpieli o zmierzchu, zagłębiających się powoli w uśpionym morzu, i tylko przeczuwał ich dźwięczne ciała i szczupłe głosy w gęstej sieci skojarzeń i wspomnień.

W tym momencie olśniła go myśl, kolejny pomysł, który mógł go uratować. Porzucając postawę z lekka bojówkarską, odwrócił się tyłem do szerokiego brzegu, nad którym panował już mrok, zszedł z balkonu i usiadł za biurkiem. Przyczaiwszy się w stożku światła padającego z lampki, chwycił w dłoń ciężkie kosztowne wieczne pióro i zawiesił je na parę sekund nad stronicą z numerem 69. Pozostał w tej pozycji ze zgarbionymi plecami, jakby spodziewając się, że ktoś zaatakuje go od tyłu albo krzyknie, by go powstrzymać.

– Jak uważasz, Mao? – zapytał, nie odwracając głowy. Zrobić to? Myślisz, że jestem do tego zdolny?

Młody podenco<sup>6</sup> o lśniącym cyrkonowym umaszczeniu podniósł się ze swojej maty i wyszedł z pokoju, nie racząc nawet spojrzeć na pana. W zębach niósł trójkąt tangramu.

W korytarzu rozległ się szklany stuk psich pazurów, przerywając ciszę stopioną z szumem fal. Udomowiony, zadumany Mao, pomyślał Forest, wykolejony łowca: w morzu śmigają zające, po górach sardynki<sup>7</sup>. Zapomniałszy o winnicach i gajach oliwnych, zgubiwszy trop i w niegościnnym otoczeniu utracił węch, drzemające w jego genach szerokie światy i zamierzchłe nieskończone przestrzenie odnajdywał w rozszarpywaniu domowych rzeczy, najchętniej części garderoby i zmiętych arkuszy papieru szeleszczących w koszu. Jakkolwiek odwracałbyś kartę, powiedział do siebie historyk, zawsze będzie to strona numer 69.

Trzymane w zasuszonej i przesiąkniętej tytoniem dłoni szacowne pióro wykreśliło pięć linii maszynopisu i zsunęło się dyskretnie na biały brzeg karty, niosąc raka w swym atramencie.

W ten sposób, po raz drugi wprowadzając do tekstu fałsz poprzez zmianę pewnego błahego faktu (daty, miejsca i okoliczności towarzyszących zgoleniu raz na zawsze wąsów), Luys Forest wdał się nieodwołalnie w grę poszukiwania samego siebie w pamięci innego rodzaju, w pamięci widmowej i kruchej, karmiącej się wymysłami, pamięci o tym, co mogło być, a nie było. Z początku chciał wierzyć, że jest to zwykła *licentia poetica*, autobiograficzna kokieteria bez większego znaczenia (kogoś po tak długim czasie może obchodzić, że o piętnaście lat przyspieszy kres śmiesznego wąsika, i jakież to ma znaczenie, czy za tą tajemniczą blizną w startym już przez czas i zapomnianym emblemacie na murze stoi dziecinny łuk i strzałka z drutu od parasola, czy też pistolet Astra?), szybko jednak zdał sobie sprawę, iż ta kokieteria sugeruje jedno, a to z kolei odsłoniło przed nim całą prawdę o takich sztuczkach: chodzi o rozrachunek z przeszłością, która nie przestaje go niepokoić. I uznał, że w najgorszym wypadku, gdyby kiedyś zarzucił mu kłamstwo jakiś zorientowany w temacie

6 Podenco – hiszpańska rasa psa myśliwskiego.

7 W morzu śmigają zające... – fragment hiszpańskiej rymowanki dziecięcej.

czytelnik, któryś z przyjaciół (lecz jakże niewielu ich zostało) lub znajomych z tamtych lat, krewny, szwagierka, albo gdyby nawet jego własne fotografie zrobione między czterdziestym drugim a pięćdziesiątym siódmym świadczyły przeciw niemu, zawsze będzie mógł się zasłonić słabą pamięcią, pomyleniem dat.

W każdym razie, pomyślał, wstając od biurka, nie należy nadużywać takich forteli. Wyciągnął z uszu woskowe zatyczki i włożył je do czerwonego pudełka. Jedną stopę miał bosą. Ten hultaj Mao wszystko wywraca do góry nogami. Pod krzesłem zamiast sandała Forest zobaczył żółte majtki, jakoś dziwnie skurczone, pomniejszone. Wolał ich nie dotykać. Przyglądał im się tylko przez chwilę, nie bez pewnej ostrożności – jakby w tym miejscu przyczał się mały drapieżny szkodnik, czekający na chwilę jego nieuwagi, na błąd, który mógłby wykorzystać – i przypomniał sobie, że miał obudzić Marianę.

Gdy schodził po schodach, przesuwał opuszkami palców po balustradzie z lakierowanego drewna, liczył ślady po psich zębach: siedem, o jeden więcej niż wczoraj. Na dole w sieni odnalazł się sandał z korkową podeszwą. Forest włożył go na nogę, przeciął korytarz tonący w mroku, wyszedł na galerię i przymknął szklane drzwi wychodzące na ogród, od których wiodły w dół pod pokrytą obfitym listowiem gałęzią eukaliptusa cztery szerokie stopnie z czerwonej cegły, wykrzywione i zagrzybione. W głębi ogrodu, za starym migdałowcem, pośród bujnej trawy leżała łódź z przedziurawionym kadłubem, poszczerbioną burtą i złamanymi, byle jak rzuconymi wiosłami. Ktoś, zapewne przyjaciel Mariany, ten introwertyczny, diabelski fotograf, który odkąd się zjawił, nie odezwał się ani słowem, wywlókł ją na to miejsce z szopy, żeby wymalować na stępcie wielkie naiwne – jak na szkolnym rysunku – oko w kształcie migdała, niebieskie i bez powieki, oraz nasmarować na niej, również niebieską farbą, nazwę (na pewno za podszeptem dziewczyny): Lotofag.

Raz po raz głośno wykrzykując imię Mao, Luys Forest dotarł do samego końca galerii, zatrzymał się na progu ciemnego pokoju i nieufnie zlustrował wnętrze, wciągając w nozdrza zapach mięty. Stwierdziwszy, że Mariana nie śpi z przyjacielem, przestał nawoływać psa, którego miejsce pobytu w rzeczywistości nic go nie obchodziło. Kiedy poprzednim razem przyszedł tu zrobić pobudkę, a nie podjął przy tym odpowiednio głośnych środków bezpieczeństwa, pod powiekami wyniósł z tego pokoju wściekły, do czerwoności rozpalony obraz: sapiącego chłopaka leżącego na wznak, z drżącymi bladymi kolanami wylaniającymi się z mroku, i dosiadającej go Mariany, pochylonej nad jego piersią, z beretem zsuniętym na brwi i dłońmi zaciśniętymi na wezgielisku łóżka. Długi spazm rozkoszy zaczął już wyginać jej ciało w niezwykłą, oszałamiającą, niepowtarzalną esowatość. Tamtym razem wuj dyskretnie się wycofał.

Teraz rozluźniony oparł się o futrynę.

– Zbudź się, sławetna Mariano, gdyż gwiazdy już błyszczą na niebie! – To z Urrutii<sup>8</sup>, skojarzył sobie mgliście: okładka z czterema gwiazdami, 1938, Burgos? – Słyszysz, śpiochu? Wstawaj!

W ciemności zamajaczyła postać dziewczyny przeciągającej się w skłębionych prześcieradłach. U nóg łóżka wił się zapiaszczony kostium kąpielowy w kolorze liliowym.

– Widzę, że ostatecznie zdecydowałaś się poopalać...

– To Silvii – ziewnęła Mariana. – Czołem! *Presente!*<sup>9</sup> Która godzina?

---

8 Federico de Urrutia (1907-1988) – hiszpański poeta nacjonalistyczny, autor m.in. zbioru poezji *Poemas de la Falange Eterna* (Poezje Wiecznej Falangi), wydanego w 1938 roku w Santander.

9 *Presente!* – pozdrowienie używane przez członków Falangi.

– Godzina duszy. Ale czekają na ciebie przyjaciele ciała. Prosiłaś, żebym cię obudził wieczorem.

Pod oknem wychodzącym na ogród dostrzegł przystawione do ściany biurko z maszyną do pisania i kartkami w nieładzie. Ilekroć patrzył na to biurko, bez krzesła i tak blisko łóżka, odnosił wrażenie, że Mariana pisze, siedząc w pościeli. Kartki były ponumerowane i Forest ułożył je w stos, dodając do nich nowe, które przyniósł ze sobą. Z zamazanej fotografii podziurawionej strzałkami i przyklepionej do ściany pinezkami spoglądał na niego brodaty młodzian o harmonijnych, Chrystusowych, kompletnie znudzonych rysach – prymitywne, mizerne naśladownictwo Jezusa modne wśród młodzieży. Na nocnym stoliku stała szklanka wody z nieodłączną gałązką mięty, a na łóżku leżał magnetofon, którego przewód wetknięty był niedbale do gniazdka od lampy.

– Zakładam, że nie jest włączony.

– Nigdy nie wiadomo, wujku.

– Nie chciałbym, żeby to pudło nagrywało, jak starzec bełkocze przed młodą dziewczyną z niewyparzoną językiem.

– Musisz się liczyć z ryzykiem.

– Wiem wreszcie, czym pachnie w twoim pokoju. Zsiadłym mlekiem, niemowlakiem... Jedyny dorosły zapach tutaj to mięta. Po co pijesz tyle herbaty?

– Hm... Wfrrrrrr...!

– Dużo pracowałaś?

Przesunął okulary na czoło i przeglądając przepisane na maszynie arkusze, wciągnął w płuca chłód snu, który unosił się jeszcze z jej ciała, wyciągniętego na niewielkim metalowym łóżku: kark oparła o pręt w nogach łóżka, twarz miała zwróconą do sufitu, jakby leżąc na torach kolejowych, czekała na zbliżający się gwizd z zaciśniętymi ustami i szeroko otwartymi oczyma. Spod łóżka wystawała walizka z brązowej skóry i beret, także najeżony kolorowymi strzałkami.

– Dzwoniła mama? – zapytała Mariana.

– Nie.

– Jak zadzwoni, powiedz jej, że przyjechałam sama.

– W pewnym sensie wcale nie byłoby to kłamstwo. Dlaczego on ze mną nie rozmawia? I gdzie się podział?

Mariana nie odrywała wzroku od sufitu. Wydawało się, że czyta.

– Pewnie kręci się gdzieś w pobliżu i maluje łoskot pociągu. Zasadniczo jest fotografem, ale najbardziej lubi malować. Chodź, wujku, usiądź sobie.

– Przyniosłem ci kolejną porcję pracy – wskazał głową arkusze papieru. – Rzuć na to okiem, jeśli masz ochotę. Ja coś przekąszę.

– Za dużo poprawiasz, panie wytrawne pióro. Nigdy nie skończysz.

Gdy wychodził z zamiarem udania się do kuchni, Mariana obróciła się w łóżku i ziewając, wyciągnęła ramię w stronę biurka. Zapaliła lampkę, zebrała papiery i sennym wzrokiem powiodła po najświeższych wstawkach, pisanych drobnymi, rwącymi się literami. Uwagę jej przyciągnął dłuższy dopisek na marginesie, wijący się w poszukiwaniu wolnej przestrzeni, z którego biła pewna tajemnicza nerwowość, przyczajone napięcie. W jakiś sposób Mariana wykryła zafałszowanie, jeszcze zanim zaczęła czytać. Dopisek, uzupełniający ustęp traktujący o jakimś wydarzeniu z poprawioną datą, był pełen niedopowiedzeń i mętny:

1942, październik. Umiera mój ojciec, w środę smaganą dmącym od trzech dni mistralem. Coraz gorzej rozumiem się ze sobą samym. Stojąc przed lustrem, śmieję się z tego, czego nie

da się już odwrócić, i zakładałam na ramię czarną opaskę, śmieję się ze swojej przebiegłej, bojaźliwej twarzy, z tego przystojnego chłopaka z przylizanymi włosami i równo przyciętym wąsikiem: za chwilę popełnię niebotyczne głupstwo. Tego dnia (czytała powoli Mariana, mrużąc oczy nad gęstym pismem, jakby unosiły się z niego opary kwasu) postanawiam ostatecznie zmasać ze swojego oblicza to, co dotąd było nie tyle zawadiacką ozdobą fizis – wątpliwej zapewne skuteczności, sądząc po pogardliwych docinkach, którymi nieustannie raczyła mnie szwagierka Mariana – co szablonowym sposobem identyfikowania się jako adherent zwycięskiej sprawy. Będzie to, jeśli mnie pamięć nie myli, drugi już raz, kiedy zaczerpuję oddechu prywatnej wolności, podczas gdy kraj – już wtedy tak mi się wydawało – zaczyna cierpieć powszechny ucisk. Ale nie jest to jeszcze prawdziwy kryzys sumienia – którym zajmę się w dalszej części – nie będę miał więc najmniejszych skrupułów, by uczestniczyć w pogrzebie ojca, odzianego w mundur i...

Usłyszała drzenie szyb w galerii zwiastujące czyjeś kroki. Wuj wracał z kuchni z kieliszkiem czerwonego wina, długim kawałkiem manchego<sup>10</sup> i wrażeniem, że coś gdzieś zapadział.

– Nie miałem tu przedtem zapalonego papierosa?

– Nie wiem.

Potężnymi ziewnięciami i wystudiowanymi gestami opadających rąk Mariana wyraziła swój sprzeciw wobec poczynionych w ostatniej chwili uzupełnień, które zmuszały ją do coraz to nowego wstukiwania na maszynie tego samego rozdziału, w ten sposób przecież nie posuniemy się do przodu i co za beznadzieja. Wymachiwała w powietrzu kartkami udręczonymi bezlikami wstawek i skreśleń, podczas gdy wuj słuchał jej z oderwanym od rzeczywistości skupieniem natury ściśle syntaktycznej, przeciąganym, jakby w każdej chwili spodziewał się usłyszeć nieodzwonne w takiej sytuacji przymiotniki, choćby spóźnione o parę chwil względem momentu, w którym powinny być użyte. Przyznał, że, w rzeczy samej, jest fanatykiem czystych stronic i nie toleruje skreśleń.

– Ale najgorsze jest to – dodał nieco przygnębionym głosem, skrywając cwany uśmieszek za kieliszkiem wina – że wcale nie jestem pewien, na ile interesujące mogą być te wstawki.

– Masz na myśli pożegnanie ze swoim obrzydliwym wąsikiem? – spytała i stwierdziła konspiracyjnym, choć nieco lekceważącym, tonem: – To dosyć jasne. Według tego, co piszesz, minęło już kopę lat, odkąd zaczęła słabnąć twoja wierność ideologii, która uwiódła cię w trzydziestym szóstym. A wiesz, że to w pewien sposób ciekawe z antropologicznego punktu widzenia? I mocno przemawia na twoją korzyść. Nic o tym nie wiedziałam i przypuszczam, że inni też nie. Ale powiedz, wujku: po co to całe asekurantwo? Czemu od razu nie przejdziesz do rzeczy? Te aluzje są, że tak powiem, bardzo symboliczne, niejasne.

– Widocznie jeszcze wierzę w symbole – odparł ze śmiechem. – Oczywiście mam na myśli symbole literackie. Tak czy owak, w rozdziale poświęconym śmierci ojca zamierzam opowiedzieć tę zabawną historię o goleniu w najdrobniejszych szczegółach i z pełnym realizmem właśnie po to, żeby spotęgować jej wymowę symboliczną. Zawsze wolałem opisywać, niż udzielać objaśnień.

– Tak jest rozsądniej.

– No proszę, widzę, że trochę znasz się na tej robocie.

– Znam parę sztuczek.

– Szkoda tylko, że przez te wyrwy w pamięci muszę tyle poprawiać...

---

10 Manchego – ser z mleka owczego produkowany w hiszpańskim regionie La Mancha.

W rogu pokoju stała stara szafa, której lustrzane drzwi otwierały się czasem same z siebie, jakby za dotknięciem niewidzialnej ręki. Właśnie w tym momencie z cicha obracały się na zawiasach i w matowe zwierciadło wniknął półmrok, zwyczajny dla tego pokoju nieład, skotłowana pościel i mnóstwo pełnych popielniczek – w jednej z nich, tej stojącej na stoliku nocnym obok pomarańczowej lampki z porcelany (z jej wnętrza prześwitywała na wpół oskubana z płatków margerytka i znieruchomiła w locie żółta osa), Forest dopatrzył się – tak mu się przynajmniej zdawało – dymiącego, opatrzonego ustnikiem robaczka popiołu. Gdy jego oczy szukały, już poza lustrem, prawdziwego obrazu zagubionego niedopałka (i osy), usłyszał głos ziewającej krewniaczki:

– *À propos* twoich trudności z połapaniem się: przepisywanie na czysto tej hecy z twoim ukochanym emblematem na fasadzie, z tym twoim nagłym porywem gniewu, wystrzałem i śladem, który, jak twierdzisz, jeszcze jest widoczny, to istna tortura. Jednej rzeczy nie rozumiem.

Opowiedziała mu o swojej ostatniej sprzeczce z Elmyrem, o strzałce wbitej w mur i dziurze przez nią pozostawionej, przytaczając również odbytą później rozmowę z Teclą oraz starą plotkę, którą ta jej zdradziła i która przedstawia zastanawiająco odmienną wersję zdarzenia relacjonowanego przez wujka w pamiętnikach, zawiera bowiem nowe elementy – pijanego mężczyznę, znie wagę i przestrzeloną rękę – mamy tu, no cóż, wiele uderzeń, a tylko jeden ślad, podsumowała przemądrzale.

– Jeśli pominiemy, jak moim zdaniem należy uczynić uśmiechnął się wuj – ową przejmującą zgrozą kulę z opowieści Tecli, która nigdy nie została wystrzelona i która zrodziła się z plotek i ludzkiej złośliwości, pozostaje tylko jedna kula, moja, równie nieszkodliwa jak strzałka twojego przyjaciela rozkochanego w nocnych pociągach. Przypadek zdarzył, że ta jego strzałka po trzydziestu siedmiu latach trafiła właśnie w odprysk w murze będący rezultatem mego przygnębienia, gdy tamtej nocy spacerowałem samotnie plażą.

– Nie strzelałeś do człowieka, który sikał na mur?

– Strzelałem do symbolu, którego zaczynałem nienawidzić.

– Ale na symbolu była czyjaś ręka. Mówią, że zakapowałeś tego elektryka, który potem poszedł na dziesięć lat do więzienia...

– To oszczerstwa.

Do pokoju wszedł Mao, przyczajony, sprężysty, niosąc w zębach książkę w czarnej okładce z białymi gwiazdami. Skulił się w kącie, upodabniając się do cienia, a gdy doszedł do wniosku, że ludzie zachowują się w sposób dla niego przychylny, wślizgnął się pod łóżko. Forest odwrócił głowę i z chytrym uśmieszkiem na ustach zbliżył twarz do lampki, która stała na biurku pod otwartym oknem, obramowanym czerwonymi bugenwillami, rzucając lekko krwawe światło. Przez chwilę miał wrażenie, że w półmroku ogrodu tężeje jakiś niewyraźny kształt.

Usiadł na krawędzi łóżka nieobecny myślami, zapatrzony w krąg światła padającego na jego sandały. Mariana po omacku szukała bluzki na krześle, trzepocząc rzęsami pod niechlujną płataniną włosów.

– Ale jak się teraz nad tym zastanawiam – mówiła – to jako dziecko pamiętam cię z wąsami.

– Możliwe, że pozbyłem się ich trochę później. Myślisz, że to ważne?

– Sam wiesz lepiej, wujku. To dzieło to twoje dziecko.

I jakby nagle poczuła się znużona całą sprawą, jakby odrzucała ją gwałtownie od siebie wraz z prześcieradłem, pod którym dotąd dyskretnie – choć bezskutecznie (ani razu nie udało

jej się ściągnąć na siebie kpiącego spojrzenia błękitnych oczu wuja) – kusiała niewidoczną grą swoich ud, Mariana wyskoczyła z łóżka.

– Niech to szlag!

– Dokąd idziesz?

– Obawiam się, że oglądać pociągi. – Siedząc w kucki, przewracała ubrania w otwartej walizce. – Kurde, znowu majtki.

– To oczywiście sprawka Mao. Kiedy jest w domu, nic nie leży na swoim miejscu. – I nie do końca wiedząc dlaczego, wstydliwie odwróciwszy się do dziewczyny plecami, dodał, wychodząc z pokoju: – Jeszcze tego mi brakowało.

Przechodząc przez galerię, kątem oka dostrzegł drugie niebieskie oko, śledzące go pomiędzy zielonych źdźbeł w ogrodzie, i poczuł, że czegoś mu brakuje w dłoni: znowu miał wrażenie, że zapodział gdzieś zapalony papieros albo niedopity kieliszek.

Nie dawała mu spokoju błyszcząca osa, wścibska i kapryśna, ciało o intensywnej żółci.



## 4

Przechadzał się po gabinecie – który dawniej był sypialnią jego rodziców – wymijając nieistniejące już przeszkody i w zamyśleniu postukując pustą fajką o meble, które spłonęły lata temu albo butwiały jeszcze w szopie w głębi ogrodu, o wysoki stojak na miednicę, o zjawy zawieszonych pod sufitem boi, żerdzi i wiosł składających się na daleki krajobraz dzieciństwa, który spustoszyła śmierć ojca i w którym usiłował przywołać z przeszłości widmo pewnej brzytwy o pięknej rękojeści z czarno żyłkowanej masy perłowej, złożonej prawdopodobnie w pół na miseczce z mydlaną pianą... Choć jeśli się dobrze zastanowić, lepsze będzie golenie na sucho, dziewczyna ma rację: realizm opisu, lakoniczny styl, niepozwalający dostrzec zamierzonej alegoryczności.

Jakiś czas później, słysząc przeciągły dźwięk szklanych drzwi szorujących lekko o próg, ujrzał w myślach, jak bosa i wściekła Mariana rzuca się w objęcia nocy w znoszonych dżinsach i popielatej bluzce. Przez otwarty balkon zobaczył gwiazdę spadającą do morza. Jakby w odpowiedzi na znak, usiadł przy biurku. Nabił fajkę, nacisnął „play” i przyjmując ponownie ton głosu z poprzedniego dnia, jednostajny i obcy, zaczął znowu nagrywać.

– Tamte burzliwe lata, które uczyniły ze mnie nomadę, obcego nawet we własnym mieście, miały na zawsze zaważyć na przyjaźniach i scenariuszach życiowych, przeistaczając mnie w poszukiwacza utraconej inności, uwięźleń w bagiennym zapale owych aroganckich lat. We mnie osiągnęło pełnię pragnienie Lowry’ego: gdybym mógł, sam do siebie odwróciłbym się plecami. Dlatego czasami nie potrafię się odnaleźć, nie wiem, co było najpierw, a co potem. Owszem, pamiętam, że gdy zmarł mój ojciec i wróciłem do tego domu z żoną, świeżo po ślubie, nic nie znajdowało się na swoim miejscu – tak starannie zacząłem wybierać obiekty swojego zapomnienia...

Nacisnął „stop”, przesunął taśmę do tyłu i wykasował nagranie począwszy od „aroganckich lat”, na które nakładało się dobiegające skądinąd szczekanie psa, drapaniem w drzwi dającego znać, że chce wyjść. Nagrał jeszcze kilka minut, choć nie za jednym zamachem. Podczas pauz jego oczy barwy zgaszonego błękitu zatrzymywały się na starych regałach, piętrzących się wokół otwartego na plażę balkonu. Przyglądał się przeredzonym rzędom tomów, liczył brakujące egzemplarze, niepowetowane straty; tu oto znajduje się nisza, którą zajmował niegdyś Federico de Urrutia po sąsiedzku z Eugeniem i Leopoldem przez kto wie ile lat, na pewno nie dłużej niż do pewnej zimowej nocy, kiedy to wylądował w kominku na dole. Wojowniczy poeci dnia wczorajszego, dziś profanowani i ośmieszani, płonący w ogniu nocy ukradkowego seksu jako rozgrzewka dla durnego krocza jakiejś usługowej przyjaciółki moich synów. Albo obgryzani gdzieś w kącie przez Mao.

Obracając się w ciszy, taśma syczała i nagrywała pustkę. Forest odchrząknął zdeorientowany. Czuł się tak, jakby miał opowiadać to, co zapomniał, jakby dzień po dzikim pijaństwie próbował w wielkim zamięcie i wstydzie odnaleźć choćby jeden rozsądny lub przynajmniej dorzecznym postępek. Aż w końcu to, co apokryficzne, to, co się nie wydarzyło, odziane tym razem w szatę treściwego i szczerego wspomnienia, przyjść miało niemal

niezauważone wraz z majestatyczną, przyprószoną popiołem postacią ojca i skrupulatnym wyliczeniem upokorzeń, których nie potrafiłem mu oszczędzić pod koniec jego życia: poczucie porażki, niedoszła emigracja, więzienie, syn walczący po drugiej stronie barykady. 1942., luty. Dzięki znajomościom w miejscowym urzędzie propagandy wreszcie udaje mi się wyciągnąć ojca z La Modelo<sup>11</sup>. Wciąż jeszcze widzę, jak siedzi na tym balkonie, kiwając zwróconą ku morzu głową, napuchnięte stopy bez paznokci moczy w miednicy z solanką, pozwala mojej siostrze zapinać sobie koszulę, sobie pozwala umrzeć. Najbardziej, i o wiele boleśniej niż jego załamanie fizyczne, uderzała mnie degradacja jego umysłu, zawrotny upadek w jakąś rozszerzającą się odśrodkowo niepamięć, jak w jakiś przerażający wir – przerażający dlatego właśnie, że zachodzący w samym środku czegoś, czego nigdy bym się nie spodziewał: tego wymuszonego, zadekretowanego spokoju.

Następnie opisał pogrzeb na wzgórzu, nad którym srożył się biblijny wichur, odnotował oskarżycielskie spojrzenia rzucane wskroś zimnej mżawki, płacz matki uwieszonyj na trumnie, kielnie układające cement i swoją własną twarz, która odbijając się przypadkowo w nikczemnym szkle grobowej niszy, przekazuje mi wątpliwe pocieszenie w postaci nowej wersji mego oblicza: rozwiane wiatrem włosy, cienkie, wykrzywione bólem usta, przyzwicie gładką, czystą i obcą skórę pod nosem. Jako ostatni hołd złożony nieustająco dzielnemu i czujnemu duchowi, w moim odczuciu ocierający się w pewnym sensie o grozę i szaleństwo, na pewno nic wielkiego. Dodam, że ta idiotyczna parodia miała miejsce na wiele godzin przed pogrzebem: stojąc sam przed lustrem, przymierzając żałobne szaty, niemal z wściekłością będę próbował odzyskać ów hipotetyczny cień samego siebie; ustaliłem nareszcie dzień, miejsce i okazję, wybrałem brzytwę – podarek od szwagierki – i oto powraca do mnie obraz małego lusterka migoczącego w ogrodzie, zawieszonyego na pniu sosny, moich palców podciągających nos do góry i blask ostrza, gdy po raz pierwszy przesuwaj się po skórze. Mojej ręki na pewno nie prowadzi jakiś banalny bodziec estetyczny; jest rok 1942, mam zaledwie dwadzieścia sześć lat i ze swoimi rysami, przyznaję, że nieco ściągniętymi i nieustępliwymi, czuję się doskonale. Chodzi raczej, jak sądzę, o zaczerpnięcie swego rodzaju wstydlwego oddechu wolności (miał w tym też swój udział szumiący mi w głowie penedés<sup>12</sup>: z poczucia winy sam jeden opróżniłem całą butelkę), o zadrwienie z siebie samego, o pewną ekstrawagancję, przeprowadzoną z pieczołowitością do dziś dla mnie niewytłumaczalną. Bo po zgoleniu tego fatalnego wąsika przychodzi mi na myśl, żeby ukoronować to głupstwo, zbierając ścięte włoski i przyklejając je, jak się da, dość niezgrabnie, klejem szybkoschnącym do jednej z gwiazd wędrujących po czarnym tle okładki tomiku Urrutii, wydanie z 1938 z pompatycznym prologiem Halcóna. Po co ta cała błazenada, jaki to ma sens? Czy muszę mówić, jak bardzo kochałem ten zbiorek wierszy, ile on dla mnie znaczyl?

Pozwolę sobie jednak skrócić opowieść o całym repertuarze popełnionych głupstw. Książkę, brzytwę i lusterko ukryłem w należącym niegdyś do ojca pudelku z kraciastymi apaszkami, na którego wieczku widniała złocista końska głowa; ale ten żart zaczął mnie w końcu nudzić i omal nie wyrzuciłem wszystkiego zaplot. W porządku. Strona 69, rozdział VI, wstawić od nowego akapitu po wersie trzecim.

Kiedy podnosił się zza biurka, zadzwonił telefon. Rozpoznał głos szwagierki, uzbroił się w cierpliwość i usiadł w fotelu. Ostatni raz widział się z Marianą na długo przed śmiercią Soledad i teraz spodziewał się reprimendy: dlaczego przynajmniej nie przyjechał na pogrzeb,

---

11 La Modelo – więzienie w Barcelonie.

12 Penedés – wino pochodzące z regionu w Katalonii o tej samej nazwie, w którym leżą m.in. miasta Calafell i L'Arboç.

dlaczego po powrocie z Rzymu nie zatelefonował, chociażby po to, żeby dowiedzieć się, co się stało, po co zamknął się w tej chałupie nad skażonym morzem. I kiedy wreszcie skończy te cholerne memuary?

– Dzwoniłem do ciebie do redakcji, ale powiedziano mi, że jesteś w podróży – tłumaczył się bez przekonania. – Rozmawiałem z synową, zanim wróciła z Xavierem do Niemiec, ale wiele się od niej nie dowiedziałem. Wygląda na to, że biedna Sole źle się poczuła, wchodząc po schodach, winda była zepsuta... Nikogo przy niej nie było?

– Była ciocia Marta, wyobraź sobie. Osiemdziesięciolatka.

Niemal widział już te palce zaciśnięte na balustradzie, szeroko otwarte usta łapiące powietrze i przerażone oczy, kiedy odezwał się stanowczy głos szwagierki:

– Dzwonił do mnie twój syn Rodrigo. Martwi się. Co zamierzasz zrobić z mieszkaniem na Via Augusta?

– Niech sam do mnie zadzwoni, jeśli czegoś chce. Przecież pozwalam mu tam mieszkać z dziewczyną w ciąży, tą zwariowaną kozą. Nie zamierzam ich wyrzucać, ale niech się trochę pomęczą. Nie mam im za co dziękować poza tym, że podczas mojej nieobecności zajęli się psem. Wpadłem tam tylko na chwilę, tyle, ile potrzebowałem, żeby zabrać swoje papiery i album ze zdjęciami, i przysięgam, że nieprędko zobaczą mnie ponownie. Myślę, że się już stąd nie ruszę, Mari. Opowiedz mi o Soledad. Pojadę do Madrytu, zaniosę jej kwiaty...

– W samą porę. Właściwie nie była to niespodzianka. Już od jakiegoś czasu bardzo źle się czuła. Odwiedzę cię w przyszłym miesiącu i opowiem... Ale powiedz mi: jest u ciebie moja córka?

– Sporadycznie.

– Pracuje?

– Tak.

– Tak się cieszę, że w końcu mnie posłuchała. Ostrzegam cię, że to diabeł wcielony i że nie ma szacunku dla starej gwardii.

– Wiadomo, w kogo się wdała.

– Nie, ona nie jest taka jak ja. Po matce odziedziczyła tylko zwyczaj chodzenia po domu tak, jak ją Pan Bóg stworzył.

– To ciekawe.

– Uważaj, bo ona coś kombinuje...

– To niezwykła i wspaniała dziewczyna. – Zmienił temat: Słuchaj, Mari, czy to w czterdziestym drugim sprezentowałaś mi brzytwę?

– Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek sprezentowała ci brzytwę.

– Ależ tak. Z rękojeścią z masy perłowej, czarno żyłkowanej.

– Nie...

– Spróbuj sobie przypomnieć.

– No, nie wiem. Ale jeśli tak twierdzisz...

– Na pewno.

– Niech ci będzie. Wracając do Mariany, słyszałam, że chodzi teraz z jakimś malarzem czy coś w tym rodzaju, chorym na depresję, który ćpa i ciągle gada o samobójstwie, wyobraź sobie, ona, która nawet mnie potrafi przebić, jeśli chodzi o depresję... – Jej głos znikł za jakimś narastającym zwirowatym zgrzytem, nastąpiła przerwa, w której brzęczała tylko dal albo pustka, i znów się pojawił – ... wzorcowy przykład epileptyka i oligofrenika, jeśli zjawi się u ciebie, wyrzuć go bez zastanowienia. Obiecuj mi to, Luys. Pilnuj Mariany, bardzo się o nią martwię...

Nie miał najmniejszego zamiaru nikogo pilnować, ale przytaknął, żeby jak najprędzej skończyć rozmowę. Odłożywszy słuchawkę, wyjął taśmę z magnetofonu i zszedł z nią do pokoju dziewczyny. Było po północy.

## 5

– Pomówmy o twoim systemie pracy. Czy redagując swoje pamiętniki, posługujesz się jakąś ściągawką?

– Opieram się na dzienniku, który mniej lub bardziej starannie prowadziłem od trzydziestego dziewiątego do pięćdziesiątego siódmego.

– Mogłabym go obejrzeć?

– Nie, moja droga, przykro mi.

– W porządku. Co my tu mamy: urodzony w 1916 roku w Calafell, w prowincji Tarragona. Metr osiemdziesiąt wzrostu, ostre rysy, niebieskie oczy, przyglądzone siwiejące włosy, lekko utyka na lewą nogę... Rana wojenna, prawda? Chodź bliżej, wujku, usiądź koło mnie, przy magnetofonie.

– To był wypadek. Zupełnie bez znaczenia.

– Inaczej niż okres rekonwalescencji, który był w twoim życiu przełomowy.

– To zależy. Tym zajmiemy się później. Teraz chciałbym wyjaśnić, że przyczyną tego utykania nie jest dawna rana z frontu...

– Po kolei. Czy to prawda, że przed rekonwalescencją w szpitalu w Pampelunie Luys Forest pracował dla SIFNE<sup>13</sup>, którymi kierował z Biarritz Bertrán y Musitu?

– SIFNE? Podaj mi zapaliki. Powinnaś zapalić tu górne światło.

– Tak jest dobrze. Łatwiej się zwierzać.

On również miał przecucie, że ten półmrok do czegoś się przydaje, nie wiedział jednak jeszcze do czego. W pokoju pachniało jakąś pogańską odmianą kadzidła. Nalał sobie drugą whisky, tym razem bez lodu, i odstawił butelkę na biurko. Zrezygnował z dalszego chodzenia po pokoju – nie do końca jednak przekonany: niektóre wyznania brzmią wiarygodnie tylko wtedy, jeśli czyni się je na stojąco – usiadł na krawędzi łóżka Mariany, która oparta plecami o podglówek paliła papierosa. Zakrył sobą delikatne światło księżycy wpadające przez okno i w ten sposób dziewczyna znalazła się w gęstszym cieniu, tak że widział już tylko jej błyszczące źrenice i nagie ramiona. Mariana pólzła ze zgiętymi kolanami, z prześcieradłem przyklejonym do ciała, jakby dopiero co wyszła z łazienki, trzymając w dłoniach notes i długopis, których jeszcze ani razu nie użyła.

– Służby Informacyjne Północnego Pogranicza Hiszpanii – rzekła z przekąsem. – Nacjonalistyczne, ma się rozumieć. No, dalej, wujku, nie udawaj Greka. Czy to prawda, że byłeś podwójnym agentem w Marsylii, z której informowałeś Burgos<sup>14</sup> o ruchach statków z zaopatrzeniem dla strefy republikańskiej?

– Zaraz, zaraz, to pudło na pewno nagrywa? Gdzie to ma mikrofon?

---

13 SIFNE (Servicio de Información de la Frontera del Norce de España - Służby Informacyjne Północnego Pogranicza Hiszpanii) - frankistowskie służby wywiadowcze, działające w czasie wojny domowej w Katalonii, kierowane przez Joségo Bertrána y Musitu (1875-1957).

<sup>14</sup> Burgos – miasto w północnej Hiszpanii, w którym podczas wojny domowej miał siedzibę rząd frankistowski.

Mariana poprawiła ułożenie magnetofonu na poduszce tuż przy biodrze.

– Nie ma. Przysuń się bliżej, to nie gryzie, ja też nie... No, słucham, zadałam ci pytanie.

– Prawie nie ruszałem się z Burgos i Salamanki. Mój pobyt w Marsylii dotyczył spraw ściśle związanych z dziennikarstwem, moją pracą. Widzę, że zaplanowałaś nie wywiad, diabelskie nasienie, ale prawdziwy akt oskarżenia.

– Mów, proszę, trochę głośniej.

– Obudzimy go – wskazał na czerwoną kapę zwiniętą w nogach łóżka, spod której wystawała noga o gładkiej, nieowłosionej skórze.

– Śpi jak zabity. Opowiedz mi o Katalończykach z Burgos, o tej ferajnie, którą połączyła jedność „Przeznaczenia”<sup>15</sup>, i całym tym kramie.

– Bardzo poważni ludzie, bardzo przedsiębiorczy.

– Jak opisałbyś siebie samego w Burgos w trzydziestym szóstym?

– Powiedziałbym, że byłem szczupłym chłopakiem o ciętym języku i ognistym spojrzeniu. Widzę się w mundurze kogoś jakby szofera bogatej rodziny, w sztylpach po kolana przypinanych na taśmy i zapinki, w niebieskich spodniach jeździeckich i koszuli tego samego koloru...

– Bardzo ładnie. Ustaliliśmy, że wróciłeś do Barcelony w końcu stycznia trzydziestego dziewiątego. Opiekowałaś się serią Kroniki, wydawaną przez Ediciones Jerarquía<sup>16</sup>, bez żadnego entuzjazmu, jak twierdzisz. Czy wiedziałeś już wtedy, że twój ojciec został uwięziony?

– Dowiedziałem się po przyjeździe.

– A że go torturowali?

– Nie.

– Co zrobiłeś, kiedy się dowiedziałeś?

– Opowiadam o tym w rozdziale, który jutro będziesz przepisywać.

– Możesz mi go streścić.

Półleżąc, oparty na łokciu, Forest widział przez ramię, że fotograf powoli gramoli się pod kołdrą i przesuwają się między jego plecy a biodro Mariany. Jedną z nóg dojrzałego już chłopca skrzyżowała się z nogą dziewczyny, która zsunęła się nieco w dół, jakby chcąc ułatwić ten kontakt. Mimo to jej skupiona, nieobecna mina nie zdradzała najmniejszego śladu poruszenia. Nawet chwilę potem, kiedy na jej biodrze spoczęła mała, blada dłoń i zaczęła gładzić jej nogi ostrożnie i niespiesznie, Forest nie dostrzegł w twarzy dziewczyny niczego, co wskazywałoby nie tylko na jej przyzwolenie, ale nawet na to, że cokolwiek czuje. Schyliła się obojętnie i sięgnęła po stojącą na stoliku filiżankę z herbatą.

– W tamtym czasie – mówił Forest – bardzo zaprzętało mnie organizowanie struktur urzędu propagandy. Mieliśmy biura na Diagonal, przy Paseo de Gracia, w pierwszych tygodniach po zajęciu miasta był ogrom pracy. Zanim mogłem wyjechać do Calafell, upłynął prawie miesiąc. Jak tylko dowiedziałem się, że ojciec jest w La Modelo, natychmiast uruchomiłem swoje wpływy. Ale udało mi się go wyciągnąć dopiero po długim czasie, kiedy już było za późno... Po co lejesz w siebie tyle tej herbaty?

---

<sup>15</sup> „Przeznaczenie” („Destino”) – czasopismo wydawane od 1937 roku w Burgos przez Katalończyków (tzw. Katalończyków z Burgos), którzy w wojnie domowej poparli stronę nacjonalistyczną. Jego tytuł, jak również zamierzona tu gra słów, nawiązuje do pojęcia „jedność przeznaczenia” („*unidad de destino*”), użytego przez założyciela Falangi Joségo Antonia Prima de Riverę (1903-1936) w odniesieniu do Hiszpanii.

<sup>16</sup> Ediciones Jerarquía – wydawnictwo nacjonalistyczne, przekształcone w 1941 w Editora Nacional, którą kierował Pedro Laín Entralgo (1908-1001).

– Bo daje mi kopa. Gdzie mieszkałeś w Barcelonie po jej zajęciu<sup>17</sup>?

– Znaleźć kwatery nie było łatwo. Najchętniej zamieszkałbym wtedy w Ritzu, ale cały był zapchany wojskowymi z wyższego szczebla. Za sprawą starań Joségo Maríi Teya poczułem się zobligowany do przyjęcia zaproszenia i zamieszkania w pewnym domu na ulicy Aragón. W ten sposób dzięki uprzejmości różnych rodzin lokum znalazło wielu pracowników Delegatury do spraw Prasy i Propagandy takich jak ja... Resztę znasz. Pani tego domu, wdowa po szanowanym fabrykancie papieru, to twoja przysła babcia Isabel, a jedna z jej córek, starsza, to twoja ciocia Soledad Monteys, która była prawie narzeczoną Joségo Maríi Teya; druga z nich to twoja matka, która już wtedy pisała doskonale artykuły o wystroju wnętrz i meblach antycznych dla pisma „Vértice”<sup>18</sup>...

– Wiem. Opowiedz mi o mieszkaniu babci. Czy kiedy zobaczyłeś je po raz pierwszy, wydało ci się mieszkaniem bogaczy?

– Nie wiem, co masz na myśli. Twoja babcia bez wątpienia była bogata.

Mariana uśmiechnęła się, zamknęła oczy i odrzuciła w tył głowę. Forest, przesunawszy nieco tors i otworzywszy drogę światłu z okna, dojrzał ukradkową rękę, znajdującą się teraz na jej piersi, i podskakującą między palcami brodawkę. Ale dziewczyna ani drgnęła. Ręka fotografa znieruchomiła z nagłą, jakby usnęła.

– Ujmę to w ten sposób, wujku: byłeś nikim, synem rybaków.

– Byłem nim i jestem.

– No właśnie. Wiedziałeś, że babcia jest bogata, zanim przyjąłeś gościnę w jej domu?

– No cóż. Chema opowiadał mi o siostrach Monteys. A w Pampelunie poznałem ich brata, Enrique, który potem zginął na froncie. Ale wyjaśnij mi, proszę: co to ma być za złośliwy reportaż? Co ty knujesz?

– Zbieram informacje i tyle. Kontynuujmy. Mam ci przynieść lodu? Odwróć się, wujku, nie widzę twojej twarzy.

– Powiniennem iść spać. Już po drugiej, ten twój papieros strasznie śmierdzi, a ja jestem zmęczony.

– Proszę cię – dmuchnęła w żar miękkiego, rozjarzonego papierosa, rozświetlając sobie twarz. – Masz pasjonujący życiorys.

– Nie udawaj naiwnej. Twoja matka mnie ostrzegła, że jesteś przygotowana, że wiesz o mnie wszystko... Jeśli dobrze pamiętam, pisałaś pracę dyplomową o moich wypoczynach.

– Nie zmieniaj tematu. Zajmijmy się tym, co działo się do ślubu i pierwszego kryzysu świadomości, wiem, że bardzo chcesz o tym pogadać. Ale najpierw powiedz, jak wyglądało ognisko domowe panien Monteys.

Elmyr prawdopodobnie znowu zapadł w sen. Jego ręka, zeszywniała, zsunęła się na kolana Mariany i ponownie zniknęła pod czerwoną kapą. I zupełnie jak przedtem dziewczyna wydawała się nie zdawać sobie z tego sprawy. Wuj, niezbyt skwapliwie przywołując z przeszłości obszerne mieszkanie w Ensanche<sup>19</sup>, pełne wonnych roślin i mebli w japońskim stylu, z mnóstwem laki i masy perłowej, widział, jak na słabo widoczną pierś, z której niemal całkiem ześlizgnęło się prześcieradło, opada powoli popiół papierosa z iskrzącym się odpryskiem żaru. Pomyślał, że być może o tej porze nocy działanie ziół potęguje odczucia innego rodzaju, bardziej duchowe i subtelne.

---

17 Barcelona została zajęta przez siły nacjonalistyczne w styczniu 1939 roku.

18 „Vertice” – czasopismo falangistowskie wydawane w latach 1937-1946.

19 Ensanche – centralna dzielnica Barcelony.

– Pamiętam też wielką donicę z miętą przy wejściu. Mieszkanie zawsze tonęło w mroku, takim przynajmniej widzę je

– dzisiaj, z wiecznie zamkniętymi balkonami wychodzącymi na ulicę Aragón, na wykop, którym wówczas jeździły pociągi. Chroniliśmy się przed sadzą, przed gwizdami, jazgotem wagonów i rzecz jasna – dodał z uśmiechem, którego nie uchwyciła – przed niedobitkami czerwonych i masonów

– Co zrobiło największe wrażenie na ambitnym prowincjuszu, którym byłeś, kiedy po raz pierwszy wszedłeś w progi tego domu?

– Zapach wosku do podłóg i ostra woń terpentyny dobywająca się z mahoni, podniecający aromat czystości, ładu, dbałości o szczegóły.

– Świetnie. Jaka była babcia Isabel?

– Delikatna, dystygowana, przemiła. Miała wtedy jakieś pięćdziesiąt lat. To była niezwykła kobieta. Pod żalobą skrywała duszę żywiołową, nietuzinkową i sarkastyczną.

– Jak rozkochałeś w sobie ciocię?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Nie wybiegajmy za bardzo do przodu. Jak wyglądało twoje życie jako gościa w szacownym domostwie rodziny Monteys?

– Widzę w nim siebie jako zamkniętego w sobie i nieco ponurego młodzieńca, bez przerwy ściskającego pod pachą tomik Garcilasa<sup>20</sup>, z białą koszulą rozpiętą po bajronowsku i od paru dobrych lat romantycznie utykającego. Faceta, którego, jak się obawiam, z trudem dawało się znieść. Bez trudu zaciekawisz naiwnych czytelników swojego pisma, jeśli opiszesz, jak w owym tonącym w półmroku saloniku czaję się na panny Monteys, drzemiąc w głębokim fotelu z książką w ręce, z rozszerzonymi żrenicami i dyskretnym napięciem w rozporoku. Możesz mnie tak scharakteryzować, jeśli ci się podoba, i niech się tym udławiają... To prawda, dążyłem do przypadkowych spotkań w domu z obiema siostrami, choć w tamtym czasie skłaniałem się bardziej ku twojej matce. Obie grały na pianinie i lubiły robić to po ciemku, być może przyzwyczaił je do tego częsty brak prądu. Twoja matka na przykład co wieczór siadała przy instrumencie, grając to swoje omdlewające *J'attendrai*, ze śliwkowym szalem narzuconym na ramiona, który przy ostatnich taktach niezawodnie zsuwał się i spadał na podłogę, dzięki czemu mogłem zbliżyć się do niej, elegancko kulejąc, i powiedzieć coś nonszalanckiego...

– Masz odjazdowy styl, wujku.

– I nie widzę nic zdrożnego w wyznaniu, że przydała mi się moja sytuacja samotnego, pozbawionego środków gościa, bohatera wojennego, moja laska, moje lekkie, wyrachowane, nieprawdziwe rzecz jasna utykanie. Zadowolona?

– Chciałeś się wzbogacić.

– Takie oskarżenie mogło mnie zabołec dawniej, dziecko, dzisiaj tylko skłania mnie do uśmiechu. Zresztą wzbogacić się wcale nie jest trudno, trudniej umieć być bogatym. Ale tobie, łotrzyco, pewnie matka coś naopowiadała i chcesz ze mnie wyciągnąć jakieś inne rzeczy – dodał, poklepując na ślepo krzepkie biodro dziewczyny – które oczywiście pominię w swoich pamiętnikach. I bądź pewna, że nigdy bym ci tego nie opowiedział, gdyby biedna Soledad była wśród żywych...

---

20 Garcilaso de la Vega (zm. 1556) – dworzanin i rycerz króla Hiszpanii Karola I (Karola V Habsburga), jeden z najwybitniejszych poetów hiszpańskich okresu złotego wieku; tworzył w języku hiszpańskim i po łacinie.



– W porządku, głędo. Nie nagrywam. – Wyciągnęła dłoń w kierunku magnetofonu i nacisnęła przycisk. – Zrobione. Ale przysuń się bliżej. Wygodnie ci? Oprzyj się o mnie, nie wstydz się, kurczę. Przecież cieszyłeś się w rodzinie tak złą sławą! Kiedy przestałeś sprowadzać sobie tutaj kobiety?

– Zostawmy to. Na pocieszenie wypiję jeszcze jeden łyk... Na czym to stanęliśmy? Aha. Twój wiekowy wuj Luys nie

– przeczy, że wobec panien Monteys zastosował pewną subtelną strategię miłosną. W dzisiejszych czasach takie rzeczy są już niemodne...

– Kawa na ławę, wujku. Czy byłbyś gotów się przyznać, że ożeniłeś się dla pieniędzy?

– Byłbym gotów, ślicznotko, gdybym był tego pewien. Ale nie jestem, jak wielu innych rzeczy. Z drugiej strony, moja romantyczna strategia wkrótce okazała się zbędna i śmieszna. Siostry Monteys, a w szczególności twoja ciotka, miały temperamenty seksualne pierwsza klasa i przejechały się po moich subtelnych podchodach, poetyckim utykaniu i ukochanych książkach jak prawdziwe lokomotywy.

– Fascynujące. Czy to prawda, że ciocia pieprzyła się z tobą przy fortepianie?

– Wyrażaj się przyzwoiciej. To było proste, zwyczajne pianino. Odłóżmy jednak na jutro tak wytworną kwestię. Chciałbym jeszcze chwilę popracować.

Wstał, ze źle ukrywanym pośpiechem poprawił poły szlafroka, i stojąc już w drzwiach, odwrócił się. Mariana, pozbywszy się resztek snu, z błyszczącymi źrenicami drapała się długopisem po głowie, wpatrując się z uśmiechem w wuja, a drugą ręką szukając po omacku ciała przyjaciela.

– Będziemy na ciebie czekać, wujaszku.

## 6

Zrelacjonował spędzone w zaciszu miasteczka dzieciństwo, zdradę wobec morza i ojcowskiego rzemiosła; opowiedział o ucieczce z domowego ogniska w trzydziestym czwartym, o znojmym terminowaniu w jednej z regionalnych gazet i przełomowym przeniesieniu się do Barcelony; opisał brudny hotelik na ulicy Paralelo, wspomniął głód jako zjawisko literackie, nieukończone studia prawnicze, gorączkowe sny i uwielbianą samotność; następnie, uruchomiwszy dialektyczne powątpiewanie, wyznał swe młodzieńcze poparcie dla czynu wojenno-heroicznego i chrzest ogniowy (dopiero co ze wstydem zastąpiony trywialnym upadkiem do oddziałowej latryny, w wyniku którego złamał nogę), rekonwalescencję w szpitalu w Pampelunie oraz zażyłą przyjaźń z Josém Marią Teyem, owym chimerycznym duchem, który pisał mu na gipsie sonety i który na nowo popchnie go ku łacinie i zabierze do Burgos do pracy w Delegaturze do spraw Prasy i Propagandy; wspomniął pierwsze kontakty z kolegami literatami z kręgów nacjonalistycznych, zjednoczonymi w nadziei na ojczyznę zdolną łączyć i przewycięzać<sup>21</sup>, pierwsze artykuły w czasopiśmie i dziennikach, pierwszą odpowiedzialną funkcję i pierwszą książkę, zbiór opowiadań wojennych, którą oddał do druku; ze szczegółami przeżywał na nowo powrót do Barcelony, kiedy to deptał po piętach generałowi Yagüe<sup>22</sup> na wzgórzach Pedralbes<sup>23</sup>, pomoc, której udzielił Teyowi przy zakładaniu służb regionalnych, oraz zawite pakt z intelektualistami katalońskimi oraz z drukarniami, wydawnictwami, kinami i bibliotekami, które odtąd miały pracować dla Editora Nacional<sup>24</sup>. Równie wiernie odtworzył to obszerne i rozbrzmiewające muzyką mieszkanie na ulicy Aragon i pierwsze spotkanie z siostrami Monteys, ich śliwkowe szale, ciężkie od snu oczy i lśniąca jędrność łydek spowitych w żałobne pończochy, jak również przydzielony mu pokój naprzeciwko pokoju brata, który zginął w przepaściach Sierra de Cubilfredo i który stałe spoglądał nań z zaświatów z portretu w srebrnej ramie na ołtarzyku w korytarzu, uśmiechnięty, w berecie na bakier, w czarnym trenczu z podniesionymi klapami; opowiedział o długich wieczornych rozmowach w salonie z dziarską wdową i jej córkami, podczas których raz po raz odwoływał się do wzniosłych ideałów i więzi koleżeństwa łączącej go z bohaterskim żołnierzem oddziałów nawarskich poległym w Pirenejach, a także o dyskretnym, lecz wymownym i rozczulającym obie siostry utykaniu, o miłości, ślubie, podróży do Włoch... Wreszcie w niekończących się barokowych tyradach odnotował swoje pierwsze rozczarowania w pracy w delegaturze, pierwsze tarcia z

---

<sup>21</sup> Zdolną łączyć i przewycięzać (hiszp. *asuntiva y superadora*) - wizja państwa i kultury, które po wojnie domowej połączą ludność kraju wokół jednej idei i przewyciężą podziały, pojawia się w pismach niektórych pisarzy nacjonalistycznych, m.in. we wspomnieniach Pedra Laína Entralgo (zob. przypis na s. 40) pt. *Descargo de conciencia 1930-1960*, których styl i treść parodiuje w wielu miejscach *Dziewczyna w złotych majtkach*.

<sup>22</sup> Juan Yagüe Blanco (1891-1951) - generał, w wojnie domowej jeden z głównych dowódców sił nacjonalistycznych. Zajął Barcelonę na czele oddziałów marokańskich.

<sup>23</sup> Pedralbes – dzielnica w zachodniej części Barcelony.

<sup>24</sup> Zob. przypis na s. 40.

Josém Marią Teyem i jego brak zrozumienia, gorzkie porażki podczas prób publikowania autorów piszących w lokalnym języku i przebicia się z ideą pojednania i poszanowania dla języka i kultury, które ustawicznie deptano...

Mimo to nie omieszkął przyznać się do pewnych grzeszków pychy, nie zaprzeczał, że w pewnej mierze wykorzystał tę sytuację. Jedno z nagrań zawierało następujące słowa:

– I chcę wyznać, że w tamtym okresie, kiedy wiele podziwu godnych talentów musiało zamilknąć i cierpieć udręki, dałem do druku pewien tomik poetycki, którego tytuł wolę przemilczeć, rozbuchany romans rycerski, który dziś słusznie spoczywa w lamusie zapomnienia, chociaż autor chętnie ocaliłby z niego pewien łaćniński pierwiastek epicko-liryczny.

W tej chwili pamiętnikarz odniósł wrażenie, że w powietrzu unosi się słodki zapach kleju. Z dołu schodów dobiegł go głos Mariany:

– Wujku, jak będziesz wychodził na spacer, daj mi znać. Zrobimy parę zdjęć.

– Dobrze.

Albo zapach padliny, delikatna woń padliny, którą Mao wygrzebał na plaży lub w ogrodzie.

– Będę u siebie w pokoju – dodała Mariana. – Zawołaj mnie.

Zajrzał do wnętrza starej maszyny do pisania, przepatrując wysoką klawiaturę underwooda. Przypomniało mu się, jak pewnego razu w klawiszach uwięzła i zdechła mała myszka, wypełniając cały gabinet mdlącym zapachem, którego źródło udało mu się odkryć dopiero po wielu godzinach.

Pracował do zmierzchu, z trzema umiarkowanie alkoholizowanymi wypadami do kuchni, z których ostatni okraślił dodatkowo serem i szynką. Bardziej niż redagowanie tekstu zajmowało go jednak przesłuchiwanie taśm nagranych już jakiś czas temu. Ponieważ najpierw musiał przekonywać sam siebie, jego brudnopisami w pierwszej instancji były ustne, powolne i modulowane nagrania, cierpliwie sylabizowane, powtarzane, cykliczne, ta często odwiedzana przezeń pamięć, którą trzymał na taśmach posegregowanych i ustawionych w stosy na regałach pokrywających ściany pokoju niczym – tak lubił o tym myśleć – materiał izolujący od budzącej podejrzania teraźniejszości, ciągnących się po obu stronach korytarza aż do drzwi wychodzących na taras, na drugim końcu domu. Często sięga! do tego lasu puszkowanych wspomnień, chcąc wyłowić z niego jakieś zapomniane nazwisko lub datę, a czasem, gdy słuchał siebie po raz wtóry, wydawało mu się, że we własnym głosie z przeszłości rozpoznaje jakąś inną postać, niewyraźną, lecz słyszalną. Przesłuchując najstarsze nagrania, miał wrażenie, że mówi do niego nieznajomy: nie pamiętał własnego głosu ani tego, co mówił, przypominał sobie jednak sposób mówienia. Zawsze wyczulone na kwestie tonu i rytmu – duetu, który tak naprawdę jako jedyny jego zdaniem potrafił w opowiadaną treść wlać prawdę i życie – jego ucho rejestrowało teraz ukradkowe modulacje i cieniowania, które podyktować mogła jedynie ostrożność i nieufność. Czyżby już wtedy, gdy uwieczniał te fakty, by ocalić je od zapomnienia, przeczuwał ową złośliwość wirusa, który pewnego dnia miał stoczyć sztuczną scenografię, owo bezlitosne przeinaczenie pamięci?

Przeglądając stare zapiski w notesach w czarnych okładkach, w których prawdziwe – lecz zapomniane – nazwiska i adresy mieszały się z zanotowanymi tu i ówdzie zdarzeniami fikcyjnymi, uwiędłymi metaforami, snami i dawnymi zaczynami przebiegłej i butnej prozy, stwierdził, że przewija się w nich niebieska furgonetka dostawcy koniaku, niemal podświadomy obraz niesprawnego reflektora w deszczu, kabiny z zaciemnionymi szybami i pustym miejscem kierowcy. Zastanawiające wzmianki o tym widziadle na wilgotnym asfalcie

powtarzały się, szkicowane grubo, czasem wręcz zupełnie nieczytelnie, w zapiskach na przestrzeni dziesięciu lat. Liryczny kaprys zapisywany podczas nocy alkoholowych uniesień? Nie wiedział, co to mogło znaczyć, ale był zafascynowany. Postanowił odratować ten obraz, przenosząc go na margines zapisanego na maszynie arkusza... Potem ogarnęło go zmęczenie i dał sobie z tym spokój.

Nieco później, wybierając w sieni łaskę na spacer, krzyknął na Mao. Ale pies nie dał znaku życia, podobnie zresztą jak Mariana.

Spotkał ją, gdy minął ostatnie domy przy plaży. Siedziała na pniu figowca do połowy przysypanego piaskiem naniesionym przez fale. W starym sanatorium, na którego rozpadający się taras wdzierał się piasek i suche trawy, bawiły się dzieci, a na podjeździe, z twarzą przykrytą gazetą i rękoma założonymi za głowę, spał jakiś mężczyzna.

– A Mao? – zapytała Mariana.

– Siedzi gdzieś pod łóżkiem i cuchnie. Chyba się najadł padliny. Czy nie mieliśmy robić zdjęć?

– Właśnie się robią.

Forest odwrócił się. Jakies pięćdziesiąt metrów od nich, czając się między wydmami, Elmyr mierzył do niego z aparatu z teleobiektywem. Przybliżał się, oddalał, obchodził wkoło. Forest poczuł się niezręcznie. Mariana zapytała, co nowego u jej kuzynów, których nie widziała od sześciu lat.

– Bo ja wiem – odparł wuj. – Starszy posiada, jak się zdaje, wybitny i nudny mózg komputerowy. Nadal siedzi w Niemczech, wplątany w te swoje awantury nuklearne i małżeńskie. Nawet już do mnie nie pisze. Młodszy zajmuje się reklamą i wygłupami, mieszka z tą zwariowaną kozą w mieszkaniu na Via Augusta, łązi z zawszoną brodą i w dzinsach z obcisłym krokiem, jakby wciąż miał osiemnaście lat.

Szedł pośpiesznie, ścigany przez obiektyw. Zdjął okulary i przetarł je chusteczką.

– Zobaczysz, będzie dobrze – powiedziała Mariana. – Zrobimy coś w stylu: pisarz dręczony przez widma, morze, wiatr, samotność i tak dalej.

Żałowała, że nie ma psa, z nim reportaż miałby większą wartość dokumentalną.

– A ten się nie nada? – zapytał Forest z uśmiechem.

Zobaczyła chłopca idącego plażą w ich stronę, ciągnącego starą smycz zakończoną obrozą i dzwoneczkiem, które pozostawiały na piasku ślad natychmiast zacieranym przez fale. Ubrany był w brudne od smoły pomarańczowe kąpielówki, kolana miał popaćkane jodyną. Jak dowiedziała się później, był to wnuk Tecli, półsierota bez ojca. Nie mógł mieć więcej niż sześć lat. Sądząc po kierunku jego spojrzenia, biegnącego znacznie wyżej niż smycz, zwierzę musiało być ogromne, wysokie niemal jak sam chłopiec, prawdopodobnie był to wilczur. Jakiś czas potem, gdy rozmawiała z wujem o tym niezwykłym wydarzeniu, dziewczyna miała przyznać, że także ona uległa sugestii Davida, który zmusił ją do pogłaskania psa o nie wiadomo jakiej sierści, wątpliwej rasy i nijakiego umaszczenia, a nawet wydało się jej, że słyszy szczekanie. W momencie gdy chłopak zbliżał się do nich, Forest streścił jej jego niezwykłą historię: opowiedział o chorobliwym wręcz pragnieniu posiadania psa, o tym, jak chłopiec zazdrościł innym dzieciom, które miały to szczęście, jak raz usiłował ukraść dalmatyńczyka synowi jakiegoś letnika i jak bez przerwy wiercił dziurę w brzuchu matce i sąsiadom; i powiedział, że pewnego razu zastał go w swoim domu ze smutkiem wpatrującego się w starą smycz Mao zawieszoną na wieszaku; Forest podarował mu ją i obaj wymyślili wtedy tego niewidzialnego psa, którego chłopak codziennie wyprowadzał na spacer, dumnie pokazywał kolegom i którego znało już całe miasteczko.

– Dzień dobry, panie Forest.

– Dzień dobry, Davidzie. To Mariana, córka mojej szwagierki.

Mariana pieszczotliwie zmierzwiła mu włosy. David szarpnął ostro za smycz i pusta obroża zakręciła się w miejscu.

– Spokój, Iskra. – Poważny, brudny jak święta ziemia, czujny i sztywny, trzymał mocno smycz w drobnej, nerwowej dłoni, tak ciemnej, że zlewała się z pierwszymi cieniami nocy. Nie bój się, nie gryzie.

– No, widzę.

Przy szarpnięciu smyczy zadźwięczał dzwoneczek. Biegając dokoła nich z kpiącym spojrzeniem, które od czasu do czasu wymieniał z Marianą, nieuchwytny fotograf nieprzerwanie pstrykał zdjęcia. Mariana już chciała zacząć stroić sobie żarty z chłopca, ale powstrzymało ją zmęczone błękitne spojrzenie wuja, który ze skupieniem i namysłem wpatrywał się w widmo. Speszona skierowała swój wzrok w ten sam punkt zawieszony w pustce, patrząc nań z podobnym natężeniem i uwagą, a potem, ciągnąc tę zabawę dalej, umknęła przed hipotetycznym atakiem białych kłów i odeszła w stronę morza, gdzie różowy i fioletowy welon wody zagarnął jej boscie stopy. Poczowała, jak falujący chłód otacza jej kostki, a po chwili, jak zawzięta woda, cofając się, wypłukuje piasek spod stóp, pozostawiając rozedrganą próżnię, odbijającą się echem w umyśle.

– Mi nie rób zdjęć – rzekła z udręką do Elmyra. – Fotografuj wuja.

– Iskra też lubi się kąpać – rzekł David, biegając po wodzie tam i z powrotem. – Świetnie pływa.

– Mówiłem ci już, że kąpiel w morzu nie służy jego sierści pouczał go Forest. – Ani jego uszom.

Kiedy David odchodził, Mariana wyciągnęła rękę i lekkim ruchem dłoni w powietrzu musnęła domniemanego psa parabolą głośnięcia.

– Do widzenia, Iskro, dobry piesek...

Wuj patrzył na ten gest, świadczący o dobrej woli i wyobraźni, z wyrazem – jak zauważyła kątem oka – bardziej serdeczności niż ironii, niemal rozczulenia.

- Nic musisz tak się wycofywać rakiem.
- Liczyłem dziś na to, że zastanę cię śpiącą.
- A co? Nie masz ochoty porozmawiać?
- Wręcz przeciwnie. Tylko że bardzo już późno.
- Stanęliśmy na tym, że ciocia zgwałciła cię przy pianinie pewnej burzliwej nocy, kiedy odcięli prąd...

– Powoli, Mariano.

Patrzył z bliska na palce dziewczyny nerwowo skręcające papierosa, na uwijające się wte i wewte kciuki. Miała na sobie jasnoniebieską rozpiętą kamizelkę. Reszta pozostawała jeszcze niewiadomą, Forest nie potrafił nawet stwierdzić, czy była w łóżku sama.

– Powoli. Mówiłem ci już, że wtedy bardziej podobała mi się twoja matka... Tak, to było coś jak zauroczenie. Nigdy przedtem nie widziałem podobnej gorączki i ferworu na obliczu osoby wychowanej w szczęściu i godności. Te ciężkie od senności powieki, tak typowe dla kobiet z rodziny Monteysów, twojej babki nie wyłączając, te policzki zdolne wchłaniać światło... Ale powiedzmy sobie też: co za duchowa lipa! Widzisz, ten fałszywy blask pogody, ową iluzję obojętności odnalazłem ponownie dopiero tu i teraz właśnie, po tak długim czasie – przebłykują z twojej piegowatej twarzyczki przez ten duszący dym skręta... Kto wie, może gdyby twoja matka nie zadała się z Josém Marią Teyem... Los jednak chciał, że sprawy potoczyły się inaczej, jak zaraz zobaczysz. – Przez chwilę milczał w zamyśleniu. – Nigdy przedtem o tym nie mówiłem.

Ta uwaga najwyraźniej nie zainteresowała Mariany. Zsunęła się trochę niżej i opierając plecy na poduszce, kreśliła bazgrały w notatniku. Pozostałe szczegóły były takie same jak poprzedniego wieczoru. Jej przyjaciel spał na boku między nimi obojgiem, zawinięty w kapę. Mariana paliła z przymkniętymi oczami i opuszczoną głową. Popiół, a z nim jakieś jarzące się ziele, spadał miękko na jej lewą pierś wychylającą się z rozpiętej kamizelki.

– Stało się to pewnego dnia, kiedy twojej babki nie było w domu – kontynuował Forest. – Robiłem u siebie w pokoju korektę do drugiego wydania tych moich nędznych opowiadań wojennych, o których parę lat temu pisałaś w jakimś piśmidle, jedyne fragmentu mojej twórczości, który miałaś ocalić od ognia...

– Kiedy pisałam recenzje twoich książek, byłam pretensjonalną dziewczynką.

– Nie, miałaś rację.

– Proszę cię, nie zmieniaj tematu.

– W porządku. Zapadał zmierzch, kiedy dobiegły mnie akordy pianina, obsesyjne nuty *J'attendrai*, utworu, który twoja matka wykonywała ze szczególnym uczuciem. Uznałem, że pora na chwilę odpoczynku, i udałem się do salonu. Panowała w nim niemal całkowita ciemność, zatrzymałem się na progu. Na pianinie paliły się świece w dwóch srebrnych kandelabrach, a na podłodze, tuż przy taborecie, zobaczyłem szal twojej matki. Włosy miała uczesane w koński ogon, pochylała się nad klawiaturą... Dziecko, poparzysz się.

Niewinne łapsko strzepnęło popiół z jej piersi, dwa, trzy razy. Forest poczuł, że ogarnia go nagła rzewność, nieokreślony smutek (nie wiedzieć dlaczego dotyczący jego samego) wobec obojętnego drżenia galaretki jej sutków, których żar i jedwab trwały w uśpieniu. Spróbował wyobrazić sobie jakąś pobudzającą reakcję, że na przykład brodawka podskakuje, że dziewczyna, ni to speszona, ni co przestraszona, wygina w zakłopotaniu plecy; ale nawet na niego nie spojrzała, ani na niego, ani na jego drżącą dłoń, i nie rzekła słowa komentarza.

– Skończ opowiadać ten ekscytujący melodramat o kandelabrach, szalu i pianinie. Jestem urzeczona, wujku.

– Nie miałem odwagi wejść, choć wiedziałem, że im dłużej będę zwlekał z ujawnieniem swojej obecności, tym trudniej będzie mi ją usprawiedliwić. Nagle instrument zamilkł i zobaczyłem, że ona powoli pochyła głowę, jakby symbolicznie inicjując oddanie się. Do dziś się zastanawiam, jak to się stało, że znalazłem się za jej plecami, podniosłem z podłogi śliwkowy szal i kładąc go jej na ramionach, złożyłem długi pocałunek na karku. Zaczęła grać dalej.

– Przekomiczne.

– Och, wierz mi albo nie, nagle usłyszałem Beethovena w rytmie swinga!

Roześmiał się głośno i sięgnął po butelkę ze stołu. Mariana poklepała go po ramieniu.

– Uwierzę we wszystko. Chcesz lodu?

– Nie. Ciemność i podekscytowanie zaślepiły mnie... kontynuował wuj, przyjmując teraz ton zdecydowanie zgryźliwy. – Okręciwszy się na taborecie niczym bąk, objęła mnie i pocałowała w usta. Jasne, moja droga, ty się śmiejesz. Wszystko odbyło się w sposób wysoce zadowalający i stosowny, jeśli wziąć pod uwagę nagłość zdarzenia, właśnie tam, w salonie.

– Śmieszne – stwierdziła bez wielkiego entuzjazmu. – To wszystko? Podaj mi herbatę.

– Opowiadam ci o twojej matce, cyniczko, a może do ciebie nie dotarło?

– No, wychodzi na to, że co mama cię przeleciała. Co z tego?

– Aha, najlepsze dopiero będzie. Ale w twoim półnagim towarzystwie będę się musiał mocno starać, żeby poetyckie wspomnienie nie spadło do poziomu wodewilowej farsy...

– Śmiało, wujku.

– Rzecz w tym, że nie widzieliśmy swoich twarzy i nie odezwaliśmy się ani słowem. I dopiero kiedy sapnąłem na jej ciele po raz ostatni, zdałem sobie sprawę z pomyłki... Serce podskoczyło mi do gardła. Muszę tu dopowiedzieć coś w związku z *J'attendrai*, które – jak mi się zdawało – słyszałem, idąc do salonu: ten ulubiony utwór twojej mamy, którego słuchałem w swoim pokoju podczas samotnych gorączkowych nocy, tak mnie opętał, tak mnie dręczył, że postanowiłem go zapomnieć; sądząc po tym, co nastąpiło później, nie tylko wcale mi się to nie udało, ale przestałem wręcz słyszeć jakąkolwiek inną muzykę. Intryga miłosna to dla intelektualisty i racjonalisty takiego jak ja widmowa pajęczyna, w którą człowiek tym bardziej się wplątuje, im bardziej próbuje się z niej uwolnić. Tylko w ten sposób można wyjaśnić, że słyszałem żwawe, porywające nuty *J'attendrai*, podczas gdy to, co dobywało się z instrumentu, było przygaszoną wersją tego cholernego *Le Lac de Côme*, jedynego utworu, który potrafiła zagrać ze słuchu twoja nieszczęsna ciocia Soledad, bo oczywiście to właśnie ona siedziała przy pianinie... Śliwkowy szal był jak najbardziej własnością twojej matki, ale na podłodze leżał prawdopodobnie przez cały dzień.

– To naprawdę śmieszne. Wujku, nie kładź, proszę, swojej łapy na moim biodrze, ten kontakt mógłby ciebie i moją skromną osobę doprowadzić do zguby.

– Myślałem, że tego nie czujesz.

– Nie czuję, ale widzę.

Palila z rozluźnieniem, które przypominało raczej skrajne wyczerpanie, z policzkami pełnymi miętowego płynu, który – gdy wzięła kolejny łyk zimnej herbaty – wyciekł z kącików jej ust aż na piersi, gdzie zmieszał się z popiołem. To właśnie wtedy Forest domyślił się, o co mogło chodzić: otóż ta porcelanowa skóra nie odczuwała dotyku albo odczuwała go w sposób tak silny i porażający (słyszał o takim zjawisku), spotęgowany aż do obłędu, że odbywało się to już poza jej świadomością. Wyobraził sobie, że ją szczypie, a ona nie zdaje sobie z tego sprawy. Ostatecznie ciekawość wzięła górę nad strachem i opierając się na boku, rzucając teraz więcej cienia na Marianę, zgiał prawe ramię za swoimi plecami, żeby ukryć je przed jej wzrokiem, i po omacku posuwał dłoń w górę, tą samą drogą, którą wczoraj przebyła senna kończyzna fotografa, śpiącego teraz jak kłoda. W najgorszym wypadku pomyśli, że to ręka Elmyra... Poczul, jak między jego palcami nabrzmiewa wisienka jej brodawki. Dziewczynie nawet nie drgnęła powieka.

– W gruncie rzeczy pomyłka ta przesądziła o wszystkim podsumował Forest. – Sole była kobietą, która mi odpowiadała. Bogiem a prawdą, to dzięki niej jestem tym, kim jestem.

– Wujku, jesteś jakiś spięty. Chcesz, żebyśmy przerwali?

– Co?

Wciąż nie mógł uwierzyć, że możliwe jest tak astronomiczne oddalenie od własnego ciała, tak niebezpieczne odrętwienie.

– Przez ciebie mówię o rzeczach, o których mówić nie powinienem – dodał, chcąc zyskać na czasie i przekonać się o wszystkim. – Pomówmy o czymś innym. Na przykład o ślubie. Chyba że to cię nie interesuje?

– Jak wyglądał? Pewnie był bardzo niebieski.

– Odbył się w rodzinnym gronie. Siostry nosiły jeszcze żałobę po ojcu i bracie. Był to ślub bez zakietów, bez organów, bez przyjęcia w Ritzu. Świadkami byli José María Tey, Ignacio Agustí, Germán Barrachina i Luis Ros.

– A podróż poślubna?

– Pojechaliśmy do Włoch. Do Wenecji, Florencji... Ale wcale się nie udała. Przez połowę podróży Soledad miała grypę. Po powrocie ulokowaliśmy się w mieszkaniu jej matki. Nie zamierzaliśmy zostawać tam długo, ale teściowa coraz częściej przebywała u swojej siostry Marty w Geronie, a w końcu zostawiła nam mieszkanie.

– Mama mieszkała z wami?

– Na początku tak. Dużo podróżowała. Podsumowując ten pełen nadziei i szczęśliwy okres, muszę wspomnieć o oficjalnych zaręczynach twojej matki z Chemą podczas wyjazdu do Berlina z jakąś delegacją kulturalną; o moim nowym biurze w Dziale Wydawniczym; o pierwszym lecie w Calafell spędzonym z Sole i na koniec o śmierci mojego ojca, która miała wywołać we mnie pierwszy poważny kryzys.

– Pomówmy może o tym, jak wzięły w łeb twoje najbardziej niebieskie złudzenia, co? Czy to już wtedy zacząłeś czuć się niezręcznie w cieniu niewzruszonych i niezmiennych zasad?

– To bardzo długa opowieść, która może zaczekać. Będzie parę niespodzianek.

– Na przykład?

– Na przykład taka, że już trzydzieści lat temu chciałem wsiąść z tej łodzi.

Mariana zmarszczyła brwi:

– Serio? Nie sądziłam, że usłyszę coś takiego. I co cię powstrzymało?

– Choroba Sole. Myślę jednak, że powinniśmy oszczędzić twoim czytelnikom szczegółów kryzysu, który nawet dla mnie samego nie jest jeszcze dość jasny...



– Nie mogę się połapać w datach, wujku. Kiedy w końcu zacząłeś wątpić w ideologię, która nie była niczym innym, jak tylko zlepkiem klasowych interesów, że ujmę to w twoich własnych dzisiejszych słowach? Przed ślubem czy po nim? Innymi słowy: przed wżenieniem się w bogatą rodzinę czy potem?

– To wartościowanie jest niewłaściwe.

– Dlaczego? Czyżby twój ślub nie był interesowny? I wiesz, że ja tego sobie nie wymyśliłam, tak gadają ludzie: nie słyszałeś nigdy w miasteczku komentarzy na temat twojego ożenku z panną Monteys? Byłeś bardzo przystojny, miałeś nieodparty urok...

– Jeśli coś takiego kiedyś słyszałem, to zapomniałem. Twój oczerniany wuj ożenił się z miłości.

– No dobra, jesteś żonaty. Zadowolony ze swojej oficjalnej posady? Jak wyglądała twoja praca w Dziale Wydawniczym?

– Ciągłe kłótnie z Chemą. Deptano kulturę, język, a ja byłem temu przeciwny. W wielu kwestiach nie zgadzałem się z partią, przestałem zapalać lampiony na 18 lipca<sup>25</sup>, składać powinszowania... Zanim postanowiłem to wreszcie rzucić, przez długi czas udawałem przed przełożonymi, nawet przed samą Sole. Między pracą a życiem małżeńskim tkiałem swoją codzienną sieć z błahych przykrości. Mundur na przykład wkładałem najrzadziej, jak mogłem. Twoja ciotka to zauważyła, ona odgadła, co się ze mną działo. Kiedy czytała artykuły, które pisałem do gazet, zawsze odkrywała jakieś zdanie znamionujące zawód, świadczące o rozczarowaniu. Nie wiem, kiedy – dokładnie zaczęła się ta niema wściekłość, ten wstyd. Kiedy wychodziłem z biura albo z oficjalnych przyjęć, chowałem czerwony beret do kieszeni, gniołem go, czułem, że w dłoni trzymam martwego ptaka... A w drodze do domu, widząc, jak niezawodne rynsztoki ulicy Aragon zieją pod moimi stopami, nieraz odczuwałem pokusę, by pozbyć się tego trupka.

– Trupka – ładnie powiedziane, wujku.

– Rok po pogrzebie ojca ostatecznie zdecydowałem się na ten wielki krok...

– Dlaczego przez tyle lat trzymałeś to w tajemnicy?

– Nie uwierzysz, nikt mi w to nie uwierzy.

– Śmiało, kombatancie, naoliw starego mauzera i namierz dylemat na horyzoncie.

– Najpierw musiałaby się o tym dowiedzieć moja żona, a wiedziałem, że moja decyzja sprawiłaby jej śmiertelną przykrość. Sole była niezmiernie aktywną zapaloną instruktorką w Sekcji Kobiecej<sup>26</sup>, pracowała w delegaturze prowincji jeszcze przez ponad piętnaście lat. Poświęciła życie upartej walce, ideałom, w które razem wierzyliśmy. Dla pokonanego marzyciela (marzyciela, który, wbrew moim ówczesnym pragnieniom, nie był ani silny, ani bezlitosny) nie do zniesienia była myśl, że Sole miałyby się spotkać z takim wiarołomstwem. Znak jarzma i strzał<sup>27</sup> miała wyszyty nawet, jak ktoś to ujął, na koszuli nocnej.

– Bo pękne, wujku.

– Razem ze swoimi najlepszymi przyjaciółkami Lulą de Soto, Araceli Elolą i Vicky Pradą przygotowywała dziewczyny z SK i układała programy występów, organizowała manifestacje poparcia dla rządu i oficjalne wizyty. Wybrała skład grupy katalońskiej, którą w roku 1948 wchłonął Zespół Pieśni i Tańca...

---

<sup>25</sup> W Hiszpanii frankistowskiej 18 lipca, dzień upamiętniający bunt wojsk nacjonalistycznych i początek wojny domowej w 1936 roku, był świętem państwowym.

<sup>26</sup> Sekcja Kobięca (Sección Femenina) – kobiece sekcja Falangi.

<sup>27</sup> Znak jarzma i pięciu skrzyżowanych strzał, zapożyczony z heraldyki królów katolickich, był symbolem Falangi.

– Ja to wszystko wiem. Do rzeczy, proszę.

Twardy i gorący pączek skurczył mu się, zapomniany, w palcach. Forest chrząknął:

– Posłuchaj, co się stało... Na początku 1943, prawie dwa lata po naszym ślubie, nie musiałem się już dłużej nad niczym zastanawiać. Cały świat przeżywał dni zamętu, docierał do nas gęsty i słodko mdły odór pieców krematoryjnych, nazistowski bucior rozdeptywał coś w moim sumieniu...

– Ejże, przesadzasz. Zapalisz?

– Nie, dzięki. Chociaż zdaje się, że wtedy o tym nie myślałem... Miałem już gotowe podanie o zwolnienie ze służby, czekałem w biurze na Joségo Marię Teya. Przed starciem się z lokalnymi hierarchami chciałem pomówić z Chemą; potem zamierzałem wrócić do domu, zebrać się na odwagę i porozmawiać z Sole. Wtedy do mnie zadzwoniła. Była w domu sama, twoja matka wyjechała do Madrytu. Bardzo zmęczonym głosem pytała, czy długo jeszcze mnie nie będzie, nie najlepiej się czuła. Powiedziałem jej, że powinna zadzwonić po lekarza, ale już to zrobiła. Było w jej głosie coś, czego się przestraszyłem. Nie czekałem dłużej na Chemę i pojechałem do domu z podaniem o zwolnienie w kieszeni. Pamiętam jak dziś, jak wchodzę do sypialni, swój przestraszył, kiedy widzę Soledad w łóżku, bardzo bladą, w różowej koszuli nocnej, oddychającą nierówno, a u jej boku starego doktora Godoya, być może go pamiętasz, był dobrym przyjacielem rodziny...

– Umarł, kiedy byłem bardzo mała. Mów dalej.

– Dalej nie działo się wiele. Wygląd Sole mnie przeraził. Porozmawiałem z Godoyem i jako że była bardzo chora, zdecydowałem się odwlec realizację mojego postanowienia. Co do podania, wolałem go nie wysłać, póki moja żona nie wróci do zdrowia... No, ale którą to mamy godzinę, Mariano?

– Wczesną. Co się stało potem?

– Opowiem ci kiedy indziej. Ale już teraz mogę ci zdradzić, że tym razem twoja ciocia nie była chora na grypę, do której zawsze miała skłonności. Koniec rozdziału. Muszę uporządkować wspomnienia... Jeśli chcesz, pogadamy o czymś innym, daję ci minutę.

– Zmuszasz mnie, żebym znowu sięgała po plotki: czy prawdą jest, że przez ciebie ciocia była bardzo nieszczęśliwa, zwłaszcza w tym miasteczku?

– Powinnaś wiedzieć, że osoby publiczne takie jak ja, poza tym że się ich nienawidzi, także się szkaluje.

– Więc dzięki tobie była szczęśliwa?

– Powiedzmy, że nie zawiodłem jej romantycznego poparcia dla systemu.

– I szlus. – Wyrzuciła niedopałek przez okno i dodała: – Siku.

Możliwe, że to, co wydawało się słowną nieźbornością, było komunikatem, ale Forest nie zwrócił na to uwagi. Bolało go ramię, którego zasięg go zadziwił: od pewnego momentu Mariana niemal cała zsunęła się do łóżka, układając się obok fotografa śpiocha, którego ciało Forest wyczuwał – bardziej jako pulsujące ciepło niż kształt – ściśnięte między swoimi plecami a Marianą.

Nagle zobaczył, że Mariana wyskakuje z drugiej strony łóżka, i krew zmroziła mu się w żyłach. Powodem jego konsternacji nie był rzecz jasna jej naturalny brak zawstydzenia, lecz ten niezwykły fakt, iż kiedy dziewczyna nie znajdowała się już w zasięgu jego ręki czyniącej odkrywcze wycieczki, on wciąż dotykał pod prześcieradłem piersi... Forest odniósł przejmujące zgrozą wrażenie, że urwało mu dłoń, która wisi teraz przyczepiona do ciała dziewczyny stojącej o całe dwa metry od niego.

– Co z tobą, wujku, odechciało ci się spać?

W oszołomieniu wycofał nieprzyzwoite łąpsko, teraz zamarłe (co więc, u diabła, obmacywało?), wsadził je do kieszeni szlafroka i wstał jak lunatyk. Ano, pomyślał, to koniec mojej wątpliwej kariery starego zbereźnika.

– A tak przy okazji – wybąkał, żeby coś powiedzieć, kierując się w stronę drzwi i czując, jak zimny pot ścieka mu po plecach – byłaś w Madrycie, kiedy umarła twoja ciotka? Często się z nią widywałeś?

Gdy się odwrócił, Mariana stała przed nim z lśniącą szczoteczką do zębów w ustach i z ręką na kroczu, jak gimnazjalistka z pilną potrzebą. Ale wuj, pochłonięty sobą, zamknął jej drogę, opierając się ramieniem o futrynę i udając, że nie traci rezonu.

– Ostatnio rzadko bywałam w domu – westchnęła dziewczyna. – Ciocia za mną jakoś szczególnie nie przepadała, a poza tym mieszkała daleko. Kiedy umarła, byłam na Ibizie.

– Aha.

– Przepraszam, ale strasznie chce mi się siku.

Forest, stojący dotąd w drzwiach jak słup, wciąż jeszcze nie mogąc się pozbierać, odsunął się gwałtownie na bok i pozwolił jej przejść:

– Aha.

## 8

Po wielu wahaniach, nieuniknionych pomyłkach, wątpliwościach i skrupułach wprowadzonej w ruch pamięci – której stare tryby nie zawsze chciały się wpasować w zębate koła fałszu Luys Forest uznał w końcu, że może dokładnie ustalić datę, ów świetlisty poranek, kiedy uczynił ten wielki krok.

Palpitacje, przyspieszony oddech i różowa koszula nocna to chyba dobry wybór; dziwne natomiast były zimne ręce, niebieskawy kolor warg i niepokojące odrętwienie; nierozstrzygnięta do czasu konsultacji z lekarzem pozostawała kwestia choroby, symptomów i kuracji zaleconej przez starego doktora Godoya.

– Zaraz po moim wejściu do sypialni doktor Godoy zaleca mi, abym pod żadnym pozorem nie narażał chorej na wysiłek ani zmartwienie. W jego starych, zasmuconych oczach, niemal skrytych pod krzaczastymi brwiami, wyczytuję, że to coś poważnego i że chciałby porozmawiać ze mną na osobności. Siedzę na łóżku i gdy chwytam żonę za zimną dłoń, słyszę, jak w kieszeni szeleści moje podanie o zwolnienie ze służby, bezsenność i zgryzota pięciu dni i pięciu nocy. Słońce rozpala długie białe lniane firanki z arabeskami i stamtąd pada na Soledad niczym naręcze ciętych lilii...

Tym razem zrezygnował z nagrywania i wyjął z pokrowca underwooda. Siedząc przed pustą kartką, po raz kolejny przypominał sobie to, co powinno się było zdarzyć, co potajemnie zostało już zapisane w pamięci przyszłej i koniecznej, czyhając tylko na datę i scenerię: na ten dzień wiosenny i tę białą sypialnię z kasetonowym sufitem i półkolumnami oplecionymi laurem, na tę wyspę zatopioną na zawsze wraz z jego postanowieniem tak dokładnie przemyślanej rezygnacji. W swoim dzienniku nie znajdował rzecz jasna ni śladu całej reszty (ani wyrzutów sumienia, ani „trupka” beretu chowanego do kieszeni, ani podania o zwolnienie: nie dysponował takim alibi, ono nigdy nie istniało), wzbogacił jednak tę scenę o zdarzenia – lekko wyretuszowane – które w istocie wiązały się z gripą żony, jedną z wielu, które zanotował był w dzienniku w tym właśnie celu. W rzeczywistości poważna grypa dopadła Soledad po urodzeniu pierwszego dziecka, rok po wydarzeniach, które właśnie zamierzał zrelacjonować.

Wybrał tę scenę, aby wydobyć z niej siłę tego, co prawdziwe: ust bezbarwnych jak starannie przemyta rana, głowy zanurzonej w poduszce, złotawego meszku na kocich, niewyraźnych policzkach i kropelek potu na lekko opuchniętej wardze, zasadniczych i pewnych elementów nigdy nieukończonego, obsesyjnego portretu, które rozproszone były pod różnymi datami intymnego dziennika i które nosiły w sobie zarodek wersji ostatecznej, portretu-hołdu, który zawsze chciał złożyć Soledad Monteys: kobiecie tęgawej, z nagłą pociągającej, odznaczającej się zdrowymi, czerwonymi, jakby plastikowymi dziąsłami, panicznymi przebudzeniami, szarymi, z lekka wylupiastymi oczyma i różaną, krwistą, wściekle seksualną cerą.

W tym systematycznie zaplanowanym i urzeczywistnionym dzięki twardej woli syntezę krótkim epizodzie przeznaczonym jako dodatek do rozdziału XV, oczekującym późniejszych

uściśleń natury medycznej, powoli zaczynała się odzwierciedlać szlachetna podwójna moralność i umysł postawiony przed dwoma przeciwstawnymi zadaniami:

Jej słowa musiały zapodziać się gdzieś w pamięci albo też litościwie nie dosłyszał ich, kiedy dobywały się z ukochanych bladych ust, po dziś dzień zachował jednak w pamięci gorączkowe napięcie widoczne w jej lodowatych oczach. Soledad patrzy na mnie, przerażona. Jest marzec 1943, dzień świetlisty i zimny.

– Nie powinnam była po ciebie dzwonić – mówi mi zlna potem, leżąc w łóżku na wznak.  
– Niepotrzebnie cię przestraszyłam. Byłeś na jakimś zebraniu...?

– Nie, nie.

– Co z tobą, Luys?

– A co ma ze mną być? Wolałbym nie oglądać cię w takim stanie.

– Coś ci chodzi po głowie.

– Przykryj się i postaraj wypocząć.

W jej wilgotnej, nabrzmiałej ręce, którą ujmuję w dłonie, wyczuwam pulsowanie krwi.

– Nie oszukuj mnie. Chciałeś mi coś powiedzieć. Znowu pokłóciłeś się z Josém Marią?

– Ależ skąd, poszło o to, co zwykle. Jest kiepskim malarzem i nie cierpi, jak mu to ktoś wypomina. Chce malować mój portret... Bądź spokojna, nic się nie stało.

– Nie, ty coś przede mną ukrywasz.

Niezawodny instynkt – ten sam, który pozwalał jej wykryć zmięty beret w mojej kieszeni, nawrót zwątpienia w dziennikarskich tekstach albo kłótnię z kolegami z biura – przestrzegł ją po raz kolejny. Nie uchodzi jej uwadze, że po tej niezgrabnej prośbie, żeby się przykryła, uporczywie milczę. Zaczyna mnie egzaminować, wypytywać wzrokiem. Mimo to wytrzymam i nic nie powiem, zwłaszcza po rozmowie na osobności z Godoyem, który potwierdza, że stan jest groźny.

Uznaję zatem, że informowanie Soledad o mojej doniosłej decyzji jest ryzykowne, i postanawiam czekać...

Wkrótce potem, paląc fajkę na balkonie i patrząc, jak David biegnie plażą ze swoją wierną Iskrą w stronę przystani rybackiej i stojących w piasku łodzi (wokół których, no właśnie – pomyślał z tą samą żelazną logiką, co mały marzyciel – lubią kręcić się psy w poszukiwaniu rybnych resztek), Forest zdał sobie sprawę ze słabości tego obrazu: wprawdzie choroba żony usprawiedliwiała owo nagłe zamknięcie w japońskiej sypialni, było jednak jasne, że nie pozwalała mu odwlekać w nieskończoność zrzeczenia się funkcji i wystąpienia z partii; chyba że diagnoza doktora Godoya wykazałaby jakąś dolegliwość związaną ze szczególnym, utajonym zagrożeniem, które miałyby trwać latami...

Czyż dwa logicznie splecione ze sobą kłamstwa nie tworzą prawdy? Jeszcze zanim ukończył pierwszą wersję, już narzucała mu się druga i nieubłagany cyngiel pamięci zmuszał go, by postąpił krok dalej. Przed oczami stanął mu stary lekarz (z bladą cerą i zadbaną śnieżnobiałą bródką), który mówi: To nie jest zwykła grypa, Luys, i nie jest to nic nowego. Ona prosi, żeby nie mówić rodzinie, ale ty powinieneś znać prawdę. O co chodzi, doktorze?...

Tego samego dnia w kuchni wspominkarz zapytał Teclę która przygotowując posiłek i szorując naczynia z poprzedniego dnia, pomstowała w gniewie na nieład panujący w domu, odkąd zjawiała się w nim ta „bezczelna dziewucha, co kurzy jak smok” – czy nie zna jakiegoś lekarza, im starszego, tym lepiej, ale żeby nie był z Calafell, może jakiegoś letnika...

– Jest taki jeden w San Salvador – powiedziała Tecla – ale nie wiem, czy przyjmuje, a w dodatku to straszny złośnik... A czemu ma być stary?

– Muszę się dowiedzieć, co przepisywał czterdzieści lat temu. Gdzie on mieszka?

Tego Tecla nie umiała powiedzieć, ale obiecała zapytać Pua z Comarrugi, starego emeryta, który dla zabicia czasu doglądał ogrodu lekarza. Tecla kupowała od niego świeżą sałatę i pomidory, ale tego, zastrzegła, lekarz nie musi wiedzieć.

Forest zobowiązał się dotrzymać tajemnicy.

## 9

– Możemy dzisiaj pogadać o czasach, kiedy paradowałeś po miasteczku z rzemieniami i pistoletem, zadając szyku swoim chwalebny utykaniem.

– Wyjaśnijmy to raz na zawsze. Wróciłem z frontu z kontuzjowaną nogą, ale utykać zacząłem dopiero po latach, i to z mniej heroicznych przyczyn. Potrafiła mnie na Ramblas furgonetka dostawcza, która potem zwiłała...

– Zaraz, zaraz, czy nie mówiłeś, że kulawość już u sióstr Monteys i że wykorzystałeś swoje koślawe kopyto, żeby uwieść...

– W rzeczy samej. Udawałem, że jestem kulawy, a później rzeczywiście się taki stałem.

– Niezły ubaw. I tylko dla flirtu?

– Powiedzmy, że ze względów historycznych albo nacjonalistycznych, jeśli wolisz.

– A więc nie zostałeś ranny w Sierra de Cubilfredo?

– Nie w walce – skłamał Forest, uśmiechając się pod nosem. – Przykro mi, dziecko, że zawodzę twoje rozbudzone nadzieje na ponabijanie się z rzekomego bohatera faszyzmu, ale prawda jest taka, że wpadłem do latryny podczas załatwiania przyziemnej potrzeby, dość daleko od frontu, a upadłem tak niezręcznie, że złamałem sobie nogę. Dziesięć lat potem pewna tajemnicza niebieska furgonetka, która nie zahamowała na czas, chociaż na pewno mogła, najechała na tę samą nogę, pozostawiając jej na pamiątkę właśnie wtedy ten elegancki, stonowany krok, którym tak się ekscytujesz...

Gdzieś poza sypialnią usłyszał metaliczny dźwięk. Jednocześnie przez ułamek sekundy po raz pierwszy ujrzał samochód dostawczy, który pędził na niego po mokrym asfalcie, wyłaniając się z niesprawnym reflektorem z jakichś starych zapisków bez daty.

Mariana wstała, by wziąć z biurka teczkę. Wychyliła się przez okno, jakby z kimś rozmawiała, i gdy odwróciła się do wuja plecami, ten zobaczył rysujący się w mroku złoty trójkąt wieńczący blade uda.

– Powiedz, wujku – rzekła Mariana, stając twarzą do łóżka – czy w twoich wspomnieniach pojawia się moja skromna osoba?

– Oczywiście... Któregoś lata, miałaś chyba czternaście wiosen, coś ukąsiło cię w ogrodzie w plecy. Bałem się, że to skorpion... Wysłałem ukłucie i wyplułem krew...

– Potem znów wyszałeś i wyplułeś, potem znów, aż do znudzenia. Pamiętam dokładnie twoje gorące usta, pamiętam też, że to coś ugryzło mnie bardzo nisko na plecach, tak, bardzo nisko, i że trzęsłam się wtedy jak listek. Tobie, wujku, było w to graj. Ale ja byłam wtedy jeszcze głupią dziewczynką. Czy w którymś z rozdziałów opisałeś, jak wyglądam? Masz zamiar to zrobić?

– Nie wiem, to zależy.

– Chciałabym, żebyś to zrobił. Chcesz poznać swoją sylwetkę, którą przygotowałam jako wprowadzenie do reportażu? – Otworzyła teczkę i uśmiechnęła się. – Posłuchaj: Kiedy wstaje, unika swojego odbicia w lustrzanych drzwiach szafy. Żyje na wyżynach samotności i nieślaski, łagodny w ruchach, szczupły. Cienkie siwe włosy mocno zaczesawszy do tyłu, z

czarną apaszką na szyi, w partyzanckiej koszuli pieczołowicie odbarwianej rozpoczyna swą cowieczorną przechadzkę po plaży, sam albo z psem, głuchy wobec własnej głuchoty i słuchu poetyckiego, niegdyś bardzo dobry w zmyślaniu i tworzeniu mitów na użytek władzy (która dekretem narzuciła rzeczywistość, własną interpretację rzeczywistości), dzień w dzień tworząc sam siebie, wskrzeszając swą postać powierzchownie młodego człowieka w lustrach, sprzed których zmyka jednak czym prędzej i w które spogląda z ukosa, by śledzić samego siebie. Chodzi po domu tam i z powrotem z jakimś sztywnym napięciem mięśni ciała i twarzy, lekko wygięty do tyłu, jakby w każdej chwili coś mogło strzelić mu w twarz. Głos chropawy, dobitny. Dojrzały i wciąż atrakcyjny mężczyzna. Mimo odpychającej przeszłości wciąż przyciąga uwagę kobiet, po co zaprzeczać oczywistościom?

– Myślę, Mariano, że ta ostatnia uwaga jest zbędna. Reszta jest sugestywna, chociaż, mówiąc szczerze, wszędzie zgrzyta. To zbyt dosadne i pretensjonalne.

Mariana podała papier i rozrzuciła strzępki w powietrzu.

– No więc do roboty. – Sprawdziła, czy działa magnetofon. – Potrzebuję więcej szczegółów na temat tej dziwnej choroby cioci.

Żrenice dziewczyny były rozszerzone i błyszczące. Z popielniczki wysypywały się niedopałki. Forest, słuchając, rozgniół jeden z nich paznokciem i ujrzał delikatny błysk zielonych włókienek.

– Ja też potrzebuję tych szczegółów – rzekł. – Tylko że pamięć mi szwankuje. Jutro będę się widział z lekarzem... Wolałbym się nie pomylić.

– No dobra. Stało na tym, że to poważne pogorszenie się zdrowia cioci zmusiło cię do odroczenia twojego słynnego odejścia z pracy. Przypuszczam, że będziesz jeszcze próbował.

– Oczywiście.

– Musisz mi kiedyś o tym opowiedzieć. Teraz chcę spytać o coś innego. Pan Tey namalował kilka portretów mamy, również twoich, ale nic mi nie wiadomo, żeby choć raz sportretował ciocię. Nie wydaje ci się to dziwne?

W głowie Foresta coś się zapaliło i zgasło.

– No cóż, właściwie to chyba masz rację...

Przez okno wpadało do środka ciche poskrzypywanie jakiegoś urządzenia. Forest widział teraz, że Mariana ubrana jest tylko w szarą koszulkę z bawełny i swoje ulubione majtki. Na szyi miała coś, co zlewało się z półmrokiem, może jakąś czarną opaskę.

– Kto tu jeszcze jest? Twój kolega?

– Nie. Kontynuujmy. Byli prawie narzeczeństwem, a kiedy ciocia wyszła za ciebie, nadal pozostawali ze sobą w bliskich stosunkach. Zdaniem mamy, która przez sześć lat kręciła z Teyem (zgroza), ciocia Soledad była jedyną kobietą, wobec której ten pyszałkowaty sobiepanek zdobył się na jakieś uczucie...

– Do czego ty zmierzasz, dziecko?

– Do niczego. Ale trudno mi uwierzyć, że o swojej chorobie ciocia nigdy nie powiedziała swemu serdecznemu przyjacielowi. Pracowali razem przez wiele lat.

Forest palcem wskazującym zsunął na nos okulary i wstał, żeby nalać sobie whisky. Zagłębiając się w swą drugą pamięć, tę z opóźnionym zapłonem, dojrzał przez okno Chemę malującego w ogrodzie, nieco przesadnie wyprostowanego przed sztalugami: w czarnych butach z ostrogami, w spodniach jeździeckich, białym golfie, w lewej ręce paleta z maźnięciami ochry i fioleto, konwencjonalny widoczek wieczorny.

– Masz rację – rzekł. – Możliwe, że Chema o tym wiedział. Mimo to nigdy mi o tym nie mówił.



Ale nie myślał już o tym. Myślał o obsesyjnym, na w pół ukończonym zdaniu, które czekało na niego pod palącą się na biurku lampką. Jak zawsze, dając się zwieść fałszywej eufonii, całe popołudnie spędził na doskonaleniu tego rozwlekłego ustępu, którego akcenty, padając w oszukańczej kadencji, w dziwny sposób wydawały się mieć więcej sensu niż same słowa. Był to obraz malującego przyjaciela, któremu pozowała Soledad siedząca na bujanym fotelu pod kwitnącym migdałowcem i robiąca na drutach niebiesko-czerwony szalik; wiedział jednak, że to obraz nieprawdziwy, wspomnienie na opak (kraj obraz odbity w jeziorze, j eden z idiotycznych ulubionych tematów Teya), przywołane nie przez pamięć, lecz przez jakąś tajną oniryczną potrzebę albo wręcz ruch samego zdania: podniecająca myśl, że po raz kolejny coś znajduje się tuż obok z od dawna gotowym ładunkiem.

– Wujku, skup się. Toni!

Speszył się. Najwyraźniej to nie on był wzywany, wyjrzał więc przez okno. U dołu, przykucnięty na trawie, jakiś cień z kręconymi włosami robił maszynką papierosy. Skrzywienie ucichło, cień wstał. Forest rozpoznał piekielną machinerię, która dawniej należała do jego ojca. Pewnie Mariana wyszukała ją w starych gratach w szopie.

– Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza, wujku.

Zaraz potem osobnik ów pojawił się w drzwiach sypialni z maszynką i woreczkiem tytoniu. Stał sztywno w półmroku, bosi, ubrany w pomarańczowy kombinezon zapinany na zamek, wąty w ramionach, niezdecydowany, z tych, co podobali się Marianie. Sprawiał wrażenie niby rozbawionego, jakby znalazł się na niewłaściwym przyjęciu, a mimo to się nie przejmował.

– Chce ci się spać? – spytała Mariana. – Ile masz?

– Mało... Nie wychodzą najlepiej.

– Daj jednego. Możesz tu zostać, jeśli chcesz, albo połóż się na chwilę. Zaraz kończymy.

– Jest sflaczały.

Podał jej papierosa i wyszedł ze swoim ustrojem i woreczkiem, podczas gdy Forest podnosił właśnie okulary, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

– To dobra dziewczyna – powiedziała Mariana. – Pracuje w restauracji Giorgio. Nie miała dzisiaj gdzie spać, więc ją zaprosiłam. Masz coś przeciwko temu?

Wuj roześmiał się.

– Twoje przyjaciółki są moimi przyjaciółkami – rzekł i ogarnął go nagły smutek, kiedy pochylał się z zapalniczką ku Marianie, by podać jej ognia. Zrobiła zeza i Forest dostrzegł w świetle płomienia, że krawędzie jej powiek są ostre jak noże.

– Wyglądasz na przybitego, wujku. Wolisz, żebyśmy to zostawili i żebyś zawołała Toni?

– I...?

– I nie wiem. Ale jeśli ja podobam ci się bardziej... Chcesz, to ci obciągnę? To dobre na dola.

Forestowi udało się trafić ze szklanką z whisky do ust za pomocą jednej ręki, nie rozlewając przy tym ani kropli. I powiedział:

– Byłaby z tego przynajmniej taka korzyść, że na chwilę przestałabyś pleść bzdury.

– Mylisz się, wujaszku. Potrafię robić obie rzeczy naraz.

– Nie wątpię, bezwstydnico. Do jutra.

– Pa.

## 10

Szedł plażą w kierunku San Salvador krokiem nieco żywszym niż zwykle, sprężystym i bardziej metodycznym, obie dłonie zacisnąwszy na lasce założonej poprzecznie na karku. Kiedy minął sanatorium, zwolnił. Słońce mocno grzało i zaczynał żałować, że nie zabrał kapelusza. Porywisty wicher, pozostałość porannego mistralu, kręcił młynki z piasku i zmuszał Mao do cięższego niż zazwyczaj biegu.

Z granatowego nieba zwiślały ciemne pionowe chmury, postrzępione i nieruchome, jak spalone gałgany albo resztki gigantycznej scenografii strawionej pożarem. Morze było wzburzone i brudne, w falach kipieli cuchnęła jakaś zapiaszczona piana i dryfował w nich, kręcąc się w kółko, kloc drewna. Mao zatrzymał się w biegu, ujadając na kłodę, podczas gdy Forest, minąwszy wydmy, wkraczał już w widmowe ulice przyszłych osiedli; asfalt i suche trawy żyły w zgodzie na tym rozległym pustkowiu, samotne bezkresne krawężniki, pomyślane jako części nieistniejących jeszcze trotuarów, gubiły się w oddali, tnąc na kawałki rosnącą jeszcze swobodnie trawę; nowe i zardzewiałe latarnie czekały na prąd wzdłuż opustoszałych, wysypanych żwirem alei pośród martwych winnic, wzdłuż nierzeczywistych ulic prowadzących donikąd. Forest pomyślał o nowym krajobrazie, który kiedyś będzie trzeba opisać, o niełaskawości pogody, która szpeciła go, jeszcze zanim powstał, i o morzu powtarzającym ten sam szum, spokojnym i wszechobecnym: morze przesiąkało już w jego tekst, zalewało słowa wczorajsze i jutrzejsze, mieszało sen zjawą...

Doktor Pla mieszkał w jednym z pierwszych białych, zdobnych w portyki domów w San Salvador. Forest zastał go siedzącego w bujanym fotelu na werandzie, przy wiklinowym stoliku. Był to starzec o ruchliwej zuchwie, maleńkich oczach i okazałej, kwadratowej głowie, z fryzurą niegdysiejszych gimnazjalistów. Wątle, zapadłe ramiona przydawały mu sztywności ślepeca, nieco agresywnej. Na stoliku leżała wyświechtana niebieska teczka na gumkę, a dłonie doktor miał zajęte wyciąganiem ulotki z opakowania zawierającego jakiś syrop.

– Zdaje mi się, że coś pana czytałem, ale nie pamiętam burknął na powitanie. – Niech pan siądzie.

– Dziękuję.

– A pan *encara*<sup>28</sup> gada tu językiem imperium, *cagun Deu*<sup>29</sup>?! – ryknął niespodziewanie.

– Ach, pamięta mnie pan – rzekł Forest, lekko stropiony.

– Znałem pańskiego ojca. Mówił mi ten wałkoń Pau, że chciał się pan ze mną spotkać. Pan wie, że jestem na emeryturze?

– Tak, wiem. Ale widzę, że nadal interesuje się pan zawodem – rzekł Forest przyjaznym tonem, wskazując świstek od syropu. – A wie pan, ja również od lat młodzieńczych chciwie pochłaniam tę dziwną literaturę o syropach i pigułkach na trawienie...

---

28 *Encara* (katal.) – jeszcze.

29 *Cagun Deu!* – katalońskie przekleństwo.

– Nic z tych rzeczy – odparł doktor Pla prędko, jakby obudził się z transu. – Ktoś, kto ma czterdziestkę i wciąż czyta recepty, jest idiotą. Mnie interesują tylko opakowania, wnuk lubi się nimi bawić. Niech pan siądzie.

Układ jego kości twarzy wskazywał, że za młodu musiał mieć piękną, surową mongolską fizjonomię. Była to twarz jakby wyrażająca idee ogólne. Skrajnie niebezpieczna.

Forest usiadł w słońcu, bo inaczej nie mógł. Doktor Pla, który zajmował cały cień rzucany przez parkan, był nieczuły na blask bijący z okularów gościa, chociaż odbijające się w nich słońce raziło go, kiedy podnosił wzrok. Dzięki chmurze, która pojawiła się przelotnie, Forest widział przez moment jego cienkie, przeżarte tytoniem usta i złośliwe oczka.

– Nie zajmę panu dużo czasu. – Uparł się na wstępne grzeczności, wydawały mu się konieczne. – Jak pan się miewa, doktorze? Słyszałem, że się pan przewrócił i złamał kość udową...

– A skąd, panie! – z pośpiechem zaprzeczył staruszek. Złamała się kość udowa i wtedy się przewróciłem. To nie to samo. Powinien pan wiedzieć, że to się dzieje właśnie w odwrotnej kolejności.

– No tak.

I przeszedł do rzeczy. Wyjaśnił, że pisze powieść, w której pewna kobieta cierpi na pewną chorobę, i że nie wie, na jaką się zdecydować; że musi szczegółowo opisać objawy i leczenie; że ma to być choroba długotrwała i w pewnym sensie poważna, jednak bynajmniej nierzucająca się w oczy, jako że chora mogła latami ukrywać ją przed wszystkimi poza swoim mężem. Podkreślił, że to bardzo istotny szczegół, więc jeśli to możliwe...

– Dla was, powieściopisarzy, wszystko jest możliwe.

– Myli się pan, doktorze Pla.

– Pladellorens.

– Och, myślałem, że to dwa nazwiska.

– Pomyślmy. Ile lat ma ta kobieta?

– Dwadzieścia pięć mniej więcej. Zastanawiałem się nad jakąś zadawnioną dolegliwością sercową, chorobą z dzieciństwa, którą wszyscy zlekceważyli i która teraz się odnawia...

– Hm – odezwał się starzec, bawiąc się teczką na kolanach. Kiedy się zastanawiał, niestrudzona mechanika jego zuchwy przywodziła na myśl lalkę zmontowaną z kilku elementów: reszta twarzy nie wykazywała najmniejszego dynamizmu. Zwężenie zastawki mitralnej. Jego najczęstsza przyczyna to proces reumatyczny z okresu dzieciństwa. Zwężenie zastawki mitralnej to jest to, szanowny panie.

Dodał, że jego bohaterka poddawana właściwemu leczeniu mogłaby żyć tyle lat, ile zapragnie, jeśli nie wykonywała pracy wymagającej wielkiego wysiłku. Nawet w pierwszej fazie, w wieku od pięciu do dziesięciu lat, objawy mogły być mylnie diagnozowane jako zwykłe trudności z oddychaniem, lekkie zmiany nerwowe i inne. Forest wyciągnął notes i zapisywał: obrzęk płuc tworzący się w wyniku utrudnionego przepływu krwi z lewego przedsionka do lewej komory. Objawy: zmęczenie, zimne dłonie, opuchnięte kończyny, cyjanoza.

– Co to takiego, doktorze?

– Sinoniebiskie wargi. W którym roku choroba daje znać o sobie?

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim.

– Mężatka?

– Tak.

– Dzieci ma?

– Będzie miała.

W takim razie, wróżył lekarz, powikłania nastąpią w okresie ciąży, a zwłaszcza po porodzie, pojawią się trudności w oddychaniu i opuchnięcie kończyn, a skończyć się może nawet niewydolnością serca. Forest rzeki, że taka diagnoza jest dla niego w sam raz i że musi jeszcze poprosić o rzecz najtrudniejszą, zarys leczenia. Najtrudniejszą, ponieważ wymaga to cofnięcia się w czasie o czterdzieści lat i być może doktor nie będzie w stanie sobie przypomnieć. Być może jednak po zjrzeniu do jakiegoś starego *vademecum*...

– Nie potrzebuję żadnych poradników. – Nieruchomy niczym sfinks, gniotąc na kolanach pękatą teczkę, ciągnął w zamyśleniu: – No więc tak: obecnie takie problemy rozwiązuje chirurgia, ale wówczas leczenie obejmowało cztery zasadnicze elementy: wzmocnienie serca, polepszenie wentylacji płuc, środki uspokajające i moczopędne. Stosowano leki recepturowe...

– W porządku, nie potrzebuję tak dokładnych danych.

– Pewnie, a potem wam wychodzą takie powieści.

– No dobra, niech pan mówi.

Lekarz przedstawił hipotetyczny przebieg leczenia: w latach czterdziestych sam zapisałby pigułki digitoksyny f.s.a. (*fiat secundum artem*, czyli „przygotować według prawideł sztuki”, musiał dodać, widząc pytające spojrzenie Foresta, który słysząc rozwinięcie hieroglifu, uśmiechnął się drwiąco) i zestaw zastrzyków, na przykład novuritu, w tamtych czasach był to najczęściej stosowany diuretyk. Eufilina w czopkach dla ułatwienia oddychania i bellergal na uspokojenie. A później, jakoś od roku pięćdziesiątego piątego do sześćdziesiątego piątego, glikozyd nasercowy, cedilanid w kroplach firmy Sandoz.

Forest wszystko starannie notował, a gdy skończył, zobaczył, że z domu wyszedł mężczyzna z grabkami. Przez chwilę stał obok nich, słuchając zawitych wskazówek udzielanych mu przez lekarza w sprawie zwalczania mszyc pożerających krzewy różane. Domyślił się, że to Pau. Ten odpowiadał lekarzowi monosylabami i ani razu nie spojrzał mu w oczy. Zwracając się do Foresta, lekarz wspominał coś o niewiarygodnym próżniactwie „tego ogrodnika, co podlewa geranium, siedząc na krześle”. Był to astmatyczny, gburowaty mężczyzna z wiecznie otwartymi ustami, jakby zaraz miał zacząć coś krzyczeć; w jego jasnych dziecińczych oczach tkwił jakiś przestach, który Forestowi wydał się niepokojący, ale i znajomy. Udając, że słucha starego medyka, i przytrzymując nogami grabie, związał papierosa jedną tylko ręką, cierpliwą i węzlastą, i robił to z zawrotną szybkością; druga dłoń spoczywała bezwładnie u boku, ale jej przegub, jakby wyczuwając na odległość podwójny wysiłek drugiej kończyny, pracującej bez żadnego wsparcia, drgał i na krótką chwilę słońce wydobyło z jej gładkiego grzbietu błyszczącą różową gwiazdkę.

Nagle Forest usłyszał, jak lekarz wyrzuca z siebie dosadną frazę, która wyrwała go z krętych i dość posepnych rozmyślań. Okazało się, że z grubej teczki, którą doktor trzymał na kolanach, a która zleciała mu na ziemię i otworzyła się, wysypały się setki aptekarskich ulotek wszelkich możliwych formatów i kolorów, cała kolekcja. Wyraźnie zmieszany tym zajściem, które tak brutalnie i niespodziewanie obnażyło jego tajone przed światem zamiłowanie do czytania recept (a grubo przekroczył już czterdziestkę), przebiegły lekarz bujał się w swoim fotelu jak kukła, usiłując pozbić i ukryć tę fascynującą i banalną prozę wodzącą go na pokuszenie.

Nie mogąc stłumić szelmowskiego uśmiechu zrozumienia, Forest pochylił się, by pomóc, ale starzec zabronił mu czegokolwiek dotykać, *cagun Deu*, nie trzeba, niech pan już idzie.

Litościwie spełnił żądanie, przeprasząc za kłopoty i raz jeszcze dziękując.

Wróciwszy do domu, otworzył w kuchni puszkę piwa, wszedł do gabinetu i przejrzał rozdziały, w których pojawiała się Soledad. Począwszy od kluczowego rozdziału XV, ilekroć była o niej mowa, choćby pobieżnie, dodawał skwapliwą wzmiankę o jej zimnych dłoniach, biednych opuchniętych nogach, zastrzykach i pigułkach albo o ścisłym harmonogramie leczenia, który odtąd miał być przestrzegany w całym wymiętoszonym brudnopisie aż do wiosny roku sześćdziesiątego dziewiątego, kiedy Sole go zostawiła.

W oknie widział błyszczący księżyc, oblewający swoim światłem morze oraz zwinięte parasole i porzucone tu i tam rowery wodne, które swawolny, pocziwy, niezawodny biały pies zbieg zbryzgiwał sporadycznymi, pogardliwymi siknięciami.

Kiedy zszedł na dół, było po północy. W galerii paliło się światło, w ogrodzie również, ale w pokoju Mariany panowała ciemność. Stojąc w progu, Forest zwietrzył spoconą scenę demaskującej się impotencji.

Elmyr, odwrócony do niego tyłem i klęczący na łóżku, nie zauważył go. Wydawało się, że walczy z rozporkiem dżinsów zsuniętych do połowy pośladków. Ale w jego biodra, które niespodziewanie okazały się kobiece, wczepiały się czyjeś nieukożone palce, podczas gdy on rzucał spazmatycznie głową. Proste włosy obcięte na pazia uderzały jego nagie chude ramiona.

Ubierają się czy rozbierają? Kochają się czy biją? Forest nie mógł się powstrzymać, by nie popatrzeć przez parę chwil, potem zrobił kilka kroków naprzód, odnajdując w mroku biurko i wnikliwie wpatrując się w to widowisko, próbując odróżnić pozory od rzeczywistości. Nagle zza jasnego pośladka fotografa wyłonił się rozpaczliwy błysk czyjegoś oka, na pewno niebędącego okiem Mariany, a za nim rzadki purpurowy zarost. Z jakimś niebezpośrednim zdumieniem, hamowanym i stopniowo coraz weselszym, pamiętnikarz rozpoznał w tej twarzy spopolitowaną mizериę *à la* Jezus Chrystus z fotografii przypiętej strzałkami do ściany. To bez wątplenia jakiś znajomy Elmyra. Długie, muskularne, złane potem ciało wycofało się, przetaczając się po łóżku, i skryło przed wzrokiem Foresta. Ten podszedł bliżej. Wtedy Elmyr odwrócił głowę i spojrzał na niego przez ramię.

Ta druga niespodzianka była większa, ale przynajmniej przywracała tradycyjny układ płci, który na początku Forest przypisywał parze, z tym, że teraz odwróceniu uległy role: o ile najpierw ona okazała się „nim”, o tyle teraz Elmyr okazywał się „nią”. Jej dzika, rozpalona twarz, która patrzyła na Foresta przez ramię, wyrażała jakieś egzaltowane zarozumiałstwo, a zarazem mroczną nieufność. Sprawa pozbawiona większego znaczenia, uznał, zbierając myśli, niech już tam Mariana sama dochodzi do ładu z tymi swoimi cudacznymi znajomościami, mężczyznami i kobietami, niech oni sami sobie z tym radzą. Ale nie ruszał się z miejsca. Jego zdumienie, obwarowane ciemnością, było dość ograniczone, radosne niemal. Skąd w takim razie ten zimny pot na rękach, ta narastająca irytacja na siebie samego, na swoją ślepotę i starczą naiwność? Całkiem sensowne usprawiedliwienie wymyślone naprędce i poparte zdrowym rozsądkiem – komu w dzisiejszych czasach nie zdarzyło się wziąć chłopaka za dziewczynę i odwrotnie? nie było w stanie przekreślić oczywistości złudzenia, mającego być może rozmiary znacznie większe i działającego również wstecz, i tym bardziej przez to upokarzającego. To jasne, że mało miał okazji, aby przyjrzeć się Elmyrowi, i zawsze uważał go za postać całkiem nierealną: powinien był jednak domyślić się prawdy po tych wiotkich, opadających ramionach, tej delikatnej szyi i tych małych, zaborczych dłoniach. Teraz dostrzegał także zarys piersi i sterczącą brodawkę, młodzieńcze piersiątko (którego zwodniczy jedwab poznały już jego palce, to pewne, w trakcie innej, nie mniej zaskakującej pomyłki), a przede wszystkim śliczne wyżłobienie kręgosłupa, podobne

do zboczą szpady, wcinające się między wysokie i chłopięce, aczkolwiek niepozostawiające wątpliwości, pośladki. Skóra na plecach była nieco jaśniejsza niż włosy. Tym razem Forest nie zlekceważył żadnego z tych drobnych szczegółów, ale doznał tylko ogólnego wrażenia nieprzyzwoitości.

Rzekomy Elmyr był najzwyczajniej kościstą, opryskliwą, bladawą, wysmukłą dziewczyną – mało istotne nieporozumienie.

– Ej, wy tam, co się dzieje... – wbrew sobie, zaskoczony, Forest usłyszał własne słowa. Brodacz już wiał przez okno. Widząc to, Forest zaczął ochryple wrzeszczeć na Elmyr, jazda mi stąd, wynocha, zabieraj swoje rzeczy i też się wynoś, pokrako zafajdana.

Jakby spodziewała się tak gwałtownej reakcji, dziewczyna ubiegła go: bezszelestnie poruszając się w ciemnościach, siłąc się na kpiący uśmiech, wyciągnęła spod łóżka swój plecak i skórzaną torbę, a następnie zaczęła, z niechęcią, aczkolwiek i ze spokojem, zbierać swoje ubrania, pędzle, lekarstwa, szkicowniki, rolki z filmami, pistolet i strzałki, drewnianą łódkę z niebieską stępką, dziwne nieukończone twory, plecionki z liści palmowych, muszelki, małże nawleczone na sznurki... Wobec tych ubogich przedmiotów i irytującej delikatności dotykających ich rąk Forest poczuł potrzebę wycofania się, ganiąc się za brak wyrozumiałości i taktu.

Odprowadził ją do drzwi, nie powiedział, że zostawiła na wieszaku beret, i patrzył, jak oddala się pod latarniami pustego deptaka ze swoim frędzelkowatym plecakiem, wyświeconą torebką płaczącą się między nogami i zgnębioną miną. Zawołał, żeby wracała, ale ona go nie usłyszała albo nie chciała usłyszeć – choć przystanęła na moment, żeby poprawić na nodze żółty plastikowy sandał, nie odwracając głowy, łapiąc chwiejną równowagę, sprawiając wrażenie bezbronnej na skraju plaży a w końcu zniknęła na dobre: w kamizelce z ćwiekami, z papierosem za uchem i liliowym grzebykiem wystającym z tylnej kieszeni spodni.

Od zawsze całą duszą miłujący domowy ład, ściśle przyporządkowanie każdej rzeczy do jej miejsca, cierpiał w ciszy z powodu narastającego chaosu i bałaganu, który dzień po dniu coraz bardziej panoszył się na parterze i w ogrodzie. Nie licząc niemej wojny personalnej, którą wiecznie toczył z Teclą (upierającą się z nieubłaganą i niezawodną skrupulatnością, która dla niego pozostawała zagadką, przy stawianiu bujanego fotela równolegle, a nie pod kątem do kanapy, i przy umieszczaniu kosza z gazetami pod schodami zamiast obok fotela przy kominku *et cetera*), teraz jeszcze dodatkowo miał do czynienia z Marianą, cichą żmiją, która po całym domu rozsiewała strzępki swojej skóry: naszyjniki z paciorków albo pestek, popielniczki pełne rytualnie wypalonych ziół, kasety, książki, czasopisma, zmięte papiery, koszulki i majtki poważnie zaburzały – czasami z wyrachowaną pomocą Mao domowy układ odniesień: nie dość, że żadna z jego rzeczy nie leżała już na swoim miejscu, to jeszcze wszystkie lądowały w miejscach dla nich najmniej odpowiednich. Jego ulubione laski na przykład znikwały ni stąd, ni zowąd, aby po wielu dniach odnaleźć się wśród wysokiej trawy w ogrodzie, z zadrapaniami i szramami świadczącymi o bóg wie jakich przygodach, lub pojawić się na gałęzi drzewa, na dnie wanny czy też w łóżku Mariany.

Tego wieczoru, wychodząc na spacer, nie znalazł na swoim miejscu jesionowej laski ani Mao, który zwykle czekał na niego przy drzwiach i merdał ogonem. Z goryczą pomyślał, że z szerzącym się nieładem kolaboruje nawet jego wierny przyjaciel, zaślepiony nikczemnymi mirażami i nieustannie żgany ostrogami genetycznej pamięci: jego pan widział, jak zakopuje w ogrodzie nieokreślone przedmioty, zasadza się na muchy i motyle w takiej samej inteligentnej i posągowej pozie – podniesiona przednia łapa, długa napięta szyja, nastawione uszy z jaką zasadzałby się na królika, widział też, jak biegnie po plaży za gazetą lecącą z wiatrem.

Udając się w poszukiwaniu laski do pokoju Mariany, zobaczył włączony telewizor ze ściszym głosem. Nierzadko po całym domu dudnił jeden z tych trafiających do jej gustu pomyślonych programów muzycznych, co bynajmniej nie świadczyło o jej obecności: prawie zawsze zapominała o wyłączeniu odbiornika.

Zwinięty w kłębek w głowach łóżka, zdrajca kładł po sobie uszy, patrząc nieufnie na pana. Na stojącym w pościeli magnetofonie leżała napisana na maszynie prośba: „Włącz mnie, proszę”. Kiedy Forest pochylił się nad urządzeniem, jego nos po raz kolejny wyczuł mdlący, zepsuty zapach, mieszaninę kleju i padliny, który niewątpliwie pochodził od psa. Ten zaś, widząc docieklive spojrzenie pana, podwinął ogon i nie pozwalając się schwytać za obroże, wymknął się z pokoju. Forest nacisnął przycisk i usłyszał zaspany, pościelowy głos Mariany:

– Muszę się dowiedzieć, gdzie jest Elmyr i co się z nią dzieje. Zaczynaj nagrywać romans mojej nieustraszonej mamy z panem Teyem z lata w czterdziestym trzecim...

Nabijając fajkę, patrzył na panujący w pokoju chaos. W kącie zobaczył, albo tak mu się wydało, wypchaną ubraniami walizkę, na biurku kasety z przyprawiającą o mdłości muzyką pomieszane z kartkami papieru, maszynę do pisania, niedojedzoną kanapkę, butelkę whisky i

szklankę, której tylko on jeden używał. Rozkopane prześcieradła ze śladami sierści Mao, jesionowa laska, przygaszone widmo śnieżnych ud, jej wulgarne i występne słowa i ten cholerny magnetofon, jak zawsze podłączony niedbale do gniazdka lampki ze stolika. Wyobraził sobie, że taśma obraca się w nim bez przerwy, dzień i noc, rejestrując ciszę albo szum morza, skrzypienie starych mebli i oddech młodej krewniaczki podczas snu...

Zrezygnował z przechadzki, w nadziei że spotka Marianę: chciał z nią porozmawiać. Słońce zaszło już, gdy wyszedł do ogrodu i położył się z piwem w hamaku. Na marmurowym stoliku zauważył tangram, niemal poprawnie ułożony w szpiczasty kształt sztyletu, niedokończony jednak. Wkrótce pojawił się Mao, niosąc w zębach brakujący kawałek, który Forest odebrał mu, aby machinalnie uzupełnić czarną figurę. Wtedy ciepła paszcza zwierzaka na nowo buchnęła słodką wonią zgnilizny. Forest pogładził go po grzbiecie dłonią, do której przywarła sierść i smród. Może gdzieś w ogrodzie, pomyślał znowu, jest zdechły szczur.

Idąc za psem, skierował się ku rozbebeszonej łodzi leżącej w trawie. Pod poobtrącanym żebrowaniem leżało pudełko z farbami należące do bladej i milkliwej Elmyr. Gdy Forest przykucnął obok łódki, Mao tarosił wielką, zmaltretowaną i rozbabraną tubę kleju, której zawartość całkowicie zaschła. Forest zauważył, że pies przywłókł także stary pędzel do golenia i miseczkę na mydło. Kiedy okręcił się na czubkach palców i przesunął bardziej w prawo, okazało się, że kartonowe pudełko, oparte kantem o zmurszałą deskę, jest półotwarte.

Wyczuł w pobliżu, bardzo blisko siebie, podstępny sygnał czegoś utajonego. Było to, oczywiście, pudełko na apaszki: ze złocistą końską głową na wieczku, taką, jak ją sobie wyobraził i opisał. Zawierało zszarzały tom wierszy, brzytwę i lusterko; przedmioty, które wyraźnie postarzały się razem, które dzieliły ten sam spleśniały i kłamliwy zapach zapomnienia. Zauważył też z niekończącym się dreszczem przerażenia zbieżność szczegółów: czarne żyłkowanie w perłowej masie na rękojeści brzytwy, patynę czasu pokrywającą lusterko, autentyczne wydanie książki Urrutii z 1938 roku z pompatycznym prologiem Manuela Halcóna...

Pomyślał od razu, że to ekscentryczny dowcip Mariany i jej przyjaciółki.

Wieczorem piętnastego lipca, trzy dni po odejściu Elmyr (Forest nie miał możliwości porozmawiania o tym przykrym zajściu z Marianą, która nie sypiała w domu), wracając ze spaceru, zajrzał do sąsiadującego z jego domem baru L'Espineta, w którym dziewczyna zwykła jadać o dziwnych porach i spotykać się z przyjaciółmi. Tam jej jednak nie było, nikt też jej nie widział. Forest zaczynał się niepokoić i pomyślał, że może trzeba by zadzwonić do jej matki.

Wchodził właśnie po schodach, rozważając w myślach osobliwe znalezisko w ogrodzie i jego niewątpliwy związek z dziewczyną (była jedyną osobą, która czytała ten tekst, jedyną, która mogła odkryć sfałszowanie daty i manipulowanie symboliką nigdy nieistniejących przedmiotów), kiedy z kuchni doleciał go brzęk tłukącej się porcelany. Zawrócił i zobaczył w niej Marianę, klęczącą na posadzce przy tacy nad kałużą parującego wrzątku. Zbierała skorupy po czajniku i szklance z gałązkami mięty na spodzie. Była bosa, w cynamonowych spodniach, z plamami od trawy na pośladkach. Forest przyglądał się jej grubawym, różowym kostkom. Nie miał odwagi jej pomóc. Kiedy się pochylił, nie uszła jego uwadze niebieska, wściekła iskra w jej oku.

– Żeby tak ją wyrzucić na ulicę, draniu – powiedziała, nie odwracając się.

– Pozwól, że ci wyjaśnię... Ale... gdzie ona teraz jest? Widziałaś ją?

– Jest na torach. Weź to.



W otwartej dłoni trzymała nad głową kawałki rozbitego czajnika. Forest odebrał je i wyrzucił do kosza.

– Położyła głowę na torach – rzekła Mariana. – Obie położyłyśmy. Ale w ostatniej sekundzie zrezygnowałam. Cholera.

– Co ty opowiadasz, wariatko!

Wstała i spojrzała na wuja. Na jej ustach, z których zwykle emanowała melancholia, teraz malował się leniwy grymas ironii.

– Wzięła kwas i odleciała.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że nie mogła wrócić.

– Ale ja ją wołałem, krzyczałem, żeby wracała...

Mariana zaśmiała się chrapliwie i z pogardą.

– Nie chodzi o wracanie tutaj. O tym nawet nie myśli. Mówię o tym, co się wydarzyło na torach kolejowych. Ale uspokój się, nic się nie stało.

Kiedy wyrzekła te słowa, uśmiechnęła się mgliście.

– Powinni ją zamknąć – stwierdził Forest. – Jak ona się naprawdę nazywa?

– Myją nazywamy Elmyr.

– To nie jest imię.

– No to co. Chcesz, to ci opowiem, jak ją poznałam.

– Chcę wiedzieć, jak się nazywa.

Musiał jednak wysłuchać, ze źle maskowaną obojętnością, mętnej opowieści o dzieciakach, które dwa lata wcześniej zaplanowały swoje nudne wyzwolenie seksualne w Maroku, opowieści, w której miała się pojawić ich wspólna przyjaciółka o imieniu Flora, a zgnębiony cień Elmyr miał chodzić za nimi krok w krok ze swoimi aparatami, malunkami, beretem oraz doskonałym i banalnym połączeniem nimfomanii z oziębłością. Mariana opowiadała, że kiedy na Ibizie Flora przedstawiła jej Elmyr, fotograf był czarującą, bezbronną dziewczyną, która prawie się nie odzywała. Była prawdziwą profesjonalistką, zrobiła zdjęcia do serii głupkowatych reportaży – o modzie i innych takich sprawach – które Mariana wysłała tamtego lata do czasopisma, ale panicznie bała się pracy i bez ostrzeżenia zniknęła na całe dni. Nigdy nie chciała przespaać się z Florą, szukała tylko jej opieki i czułości, ze mną za to było inaczej tłumaczyła, stojąc tyłem do wuja, wstawiając wodę i wyjmując z szafki nową filizankę – ze mną mogła zaznać orgazmu. Wyglądało na to, że tamtego lata Flora i Mariana czuły do siebie silny pociąg, którego nie ukrywały, przy czym Mariana uważała, że Flora postąpiła z małą Elmyr w sposób nieodpowiedzialny i egoistyczny, a Flora uważała, że to Mariana postąpiła z małą Elmyr w sposób egoistyczny i nieodpowiedzialny, zwłaszcza wtedy, gdy Flora musiała nagle wracać do Barcelony, Mariana popełniła wówczas poważny błąd, który na pewno powtórzy i tutaj: wdała się w romans z chłopakiem, nie wiedziała, jak go zakończyć, i pewnej nocy, kiedy już oboje byli ostro sobą zajęci, zrobiła dla Elmyr miejsce w łóżku i dosłownie rzuciła ją facetowi pod nogi. Mariana nigdy nie zapomni tej bezsilnej ręki szukającej jej dłoni na prześcieradle, ściskającej ją, ani tych przerażonych oczu, podczas gdy tamten dzikus zraszał nasieniem jej usta. A mimo to od tamtego dnia biedaczka starała się zadawać z chłopakami i według Mariany zdobyła przy którejś okazji jakieś pozytywne doświadczenia, choć nigdy nie chciała o tym rozmawiać.

– Niebywale budująca opowieść – rzeki Forest. – Powiedz: bardzo ją kochasz?

– Ja nie kocham nikogo. Ale to, co zrobiłeś, to czyste świństwo. Ta dziewczyna jest bardzo chora.

– Zdradzała cię z...

– My z nikim się nie zdradzamy. W tej całej sprawie tylko ty się zdradziłeś z brakiem domyślności. Ze mną też nie umiesz dojść do ładu? Taki to dla ciebie wysiłek przyjąć, że mogę być biseksualna?

– Nie to mnie spieszyło. Potrafię to oczywiście zrozumieć... Przecież w każdym z nas żyje, naszym własnym życiem, ten ktoś, kim chcielibyśmy być.

– Pusta gadanina! Elmyr jeszcze nie wie, kim chciałaby być, ja też nie... Zostaw mnie.

Chciał ponieść tacę ze świeżo zrobioną herbatą, ale zrobiła wymijający ruch i odsunął się, pozwalając jej przejść.

Mariana zamknęła się w swoim pokoju, a Forest, usiadłszy w salonie z dość mocną whisky, jął na nowo rozważać zasadność telefonu do szwagierki albo odesłania dziewczyny do Madrytu. Niedługo potem ta wychyliła się przez drzwi, żeby poprosić, aby przynajmniej – ujęła to właśnie w takie słowa, wypowiedziane tonem wyrażającym coś więcej niż wyrzut: upokorzenie, obrzydzenie i senność – powstrzymał się od opowiadania matce o zajściu, bo ona też nic nie rozumie.

Przestała wychodzić nocami i odwiedzać barowy ogródek, unikała słońca i plaży. W ciągu całego tygodnia zamieniła z wujem najwyżej dwa zdania. Trzymała się swojego zwyczaju jedzenia kanapek w łóżku i bardzo zaprzyjaźniła się z Mao. Nadal była gotowa przepisywać na czysto teksty Foresta, ale zawiesiła na pewien czas nocne nagrania, uzasadniając to koniecznością uporządkowania zgromadzonego materiału. Z rzadka, schodząc na dół po przekąskę albo kieliszek, Forest widywał ją, jak szła do łazienki albo ogrodu, bosa i nieuczesana, ubrana w te swoje pokręcone cygańskie spódnice, z piersiami prześwitującymi spod popielatej bluzki o tkaninie tak eterycznej, że powątpiewał o obecności w niej ciał stałych.

Pies, jakby zaraził się od niej gorączką i nieładem, biegał za nią wszędzie, wachając jej leniwe, upiaszczone kostki.

Parę razy wuj widział ją popołudniami w ogrodzie, jak ścinała sobie miętę, układała na stole figury z tangramu albo orzeźwiała się pod migdałowcem wodą z węża. Potem przeglądała to, co przepisała na maszynie, leżąc w łodzi (ogromne bezsenne niebieskie oko jakby szpiegowało jego teksty spod kasztanowych loków), a niekiedy odwiedzał ją któryś z jej atletycznych, zamkniętych w sobie przyjaciół z L’Espinety. Jej urażona godność nie powstrzymywała jej od oddawania się ulubionym rozrywkom; pewnego wyjątkowo skwarneho i dusznego popołudnia, kiedy Forest nie był w stanie pracować i wyszedł na taras na piętrze, przez gęstą koronę sosny ujrzał Marianę, klęczącą w trawie przed jakimś nieowłosionym, spieczonym od słońca torsem, rozstawionymi nogami i potężnym, czekoladowym członkiem, który ssła powoli, kuliście poruszając głową.

Wkrótce potem dowiedział się od Tecli, że Mariana znów zaczęła wychodzić, że jeździ rowerem po chleb, po gazetę, do apteki. Mimo to przynajmniej dwukrotnie, stojąc o zmierzchu na tarasie, Forest odniósł wrażenie, że słyszy jej ciche popłakiwanie. Skulona w narożniku okna jak jedwabnik, z beretem nasuniętym na oczy, spowita w papierosowy dym, czekała wśród czerwonych bugenwilli na nadejście nocy, by wtedy godzinami wściekle stukać na maszynie.

Rano w jej pokoju unosił się zwykle zapach chłodnej mgły. Ostrożnie, żeby nie zbudzić dziewczyny, Forest bierał z biurka przepisane na czysto arkusze, przystawał na chwilę, a wokół siebie widział niezwykłą emanację nieszczęścia i szału, zdrowe oznaki bujnej młodzieńczej wyobraźni. Wówczas, jeśli mięta w szklance z wodą była zwiędła i bez

zapachu, wychodził po cichu z pokoju, szedł do ogrodu, skąd wracał równie dyskretnie, by umieścić w naczyniu świeżą wonną gałązkę.

Raz w południe widział, jak stała tyłem do niego na trawniku, spryskując się dla orzeźwienia wężem, z włosami spiętymi w kok i w cienkich majtkach przylegających do pośladków, wyglądających jak lśniąca opalona skóra. Z opartego o pień migdałowca obrazu olejnego bez ramy spoglądała na nią jej matka; był to stary, fatalny portret pędzla Joségo Maríi Teya, który widać odkryła, myszkując wśród rupieci w szopie. Podczas gdy wuj i matka, nieruchomi w pewnej odległości od dziewczyny zwijającej się pod zimnym strumieniem, patrzyli na jej białą jak kość słoniowa skórę, kontrastującą z pośladkami, w których odbijał się blask słońca i wody – gdyby nie wiedział, że pokrywa je jej ulubiony złoty strój, nie bikini, którego za nic już sobie nie kupi, byłby gotów przysiąc, że to nie materiał, lecz jej własna skóra – dziewczyna, oganiając się od pszczoły, odwróciła głowę i nagle spojrzała na Foresta.

Musiał wtedy wyrzec kwestię, którą już dawno dokładnie sobie obmyślił, i to wyrzec, krzycząc: stał dość daleko, bo wołał trzymać dystans:

– Słuchaj, czy to pudełko z brzytwą i całą resztą to twój żart?

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Skąd wzięłaś ten tomik wierszy z gwiazdami na okładce? – Milczała, więc dodał: – Myślisz, że to mogła zrobić Elmyr? Ona lubiła takie kawały. Namalowała niebieskie oko na łodzi i ochrzciła ją. To pewnie jej sprawka?

– Wydawało nam się, że się nie pogniewasz.

– Pewnie, że nie. – Ujrzał, jak kostka mydła wyskakuje jej z rąk. – Wiesz, co znaczy „Lotofag”?

– Sprawdzę sobie w słowniku.

Mariana nadal stała do niego tyłem i polewała się wodą, szukając wzrokiem mydła w trawie.

– Tę łódź podarował mi ojciec na trzynaste urodziny rzekł Forest. – Koło wiosel...

– Spal je w końcu.

– Sprzętów rybackich się nie pali, moja droga, powinnaś o tym wiedzieć. To przynosi pecha. Koło wiosel jest twoje mydło.

– Dzięki.

Jednak ku jego zaskoczeniu kopnęła mydło i wysyczała przez zęby przekleństwo. Rzuciła wąż i odeszła ku szopie, żeby zakręcić wodę, uznając rozmowę za zakończoną.

Sytuacja nie uległa normalizacji aż do następnego tygodnia, kiedy to Forest zastał ją w jadalni, grzebiącą w narożnej szafce, w której znajdowała się apteczka. Drżąca, owinięta ręcznikiem kąpielowym, w berecie nasuniętym na bakier na mokre włosy wyglądała jak rozbitek. Zrobiła sobie na udzie uroczą plamkę z jodiny, przykleiła plaster, potem potarła o siebie kostki i nie patrząc na niego, powiedziała, że czeka wieczorem gotowa do kolejnej rozmowy.

## 12

Na plaży, z łodzią, którą podarował mi ojciec. Wiosła wciąż chlupoczą w mojej pamięci. Na stępcie wymalowana nazwa, którą jej nadałem: Loto. Rozmazane, kąpiące się postacie w de to chore na skrofulozę dzieci z Sanatorium Morskiego, otwartego uroczyście przez króla Alfonsa XIII w roku 1918.

Soledad wśród wydm za sanatorium ze swoimi dziewczętami z Zespołu Pieśni i Tańca, którejś niedzieli w lecie czterdziestego siódmego. Pierwsza z lewej, siedząca na piasku, w berecie na bakier, to Lali Vera. W głębi chaty rybaków i mój ukochany (utracony już) widok z łodziami na piasku.

Moja teściowa Isabel, ciocia Marta i wuj Enrique, kuzyni Ramon i Santiago razem z Soledad i Marianą w domu Monteysów w Geronie, Boże Narodzenie 1950 roku. Zdjęcie zrobił adwokat Germán Barrachina. Widać na nim też innych przedsiębiorczych członków rodziny, z Monteysów mieszkających przed wojną w Pampelunie. Teściowa umarła sześć miesięcy później.

Moja matka, siostra Rosa i jej mąż Juan, w drzwiach naszego domu w Calafell, na krótko, zanim cała trójka przeprowadziła się do pobliskiego miasteczka L'Arboç, w którym mój szwagier (dzięki wstawiennictwu Joségo Maríi Teya) został właśnie mianowany sekretarzem w Urzędzie Miasta. Ojciec umarł trzy miesiące wcześniej, na fotografii widać jeszcze wśród geranium na balkonie niski fotel, na którym siadywał w ostatnich miesiącach życia.

Ja z Soledad w ogródku baru La Puñalada w Barcelonie, w czasach narzeczeństwa, wiosną roku 1940. Chodziliśmy wówczas na wykłady do Instytutu Niemieckiego. Nieświadomie broniliśmy się przed tą kulturową przeciętnością, którą zaczynał budować rząd i na której miał się opierać przez tyle lat.

José María Tey siedzi w ogrodzie pod sosnami, z zamszową marynarką zarzuconą na ramiona, z napomadowanymi włosami i wybrzuszeniem pistoletu w kieszeni białych spodni – typowe dla niego połączenie elegancji i siły – czyta wiersze siostrze Monteys, wiosna albo lato roku...

## Rozdział XXIII

I widzę znowu, jak w cieniu sosny, na płóciennym fotelu, z ręką na otwartej książce, siedzi ten człowiek promieniejący pewną liryczną skłonnością do ryzyka, jakby zaślubiony ze śmiercią. Oczy niczym z zamszu, brwi ciężkie jak strzepy nocy i włosy zaczesane do tyłu ciężkimi, gęstymi, bezlitosnymi pasmami. W kieszeniach nosi płatki róż, które wyjmuje od

czasu do czasu i w zamyśleniu pięści palcami. Na udzie prawej nogi, założonej na lewą, tuż przy biodrze niewyraźny kształt pistoletu napina tkaninę spodni.

José María Tey we wrześniu 1947 roku (jak również z drugiej wersji mojego *Różańca z powtórnych spotkań*, gdzie zrobiłem z niego groźnego kapitana Carbó z moich dziecięcych przygód), z zagasłych żarów tego lata patrzy na mnie, w moją zakamuflowaną terażniejszość, wojowniczy i wyniosły. Ze wszystkich jego fotografii, które zachowałem, ta należy do moich ulubionych. Mimo sportowego stroju, celowo nieoficjalnego i nieskazitelnego – białych lnianych spodni, białego frotowego polo i butów w tym samym kolorze – mimo giętkiej łagodności pleców z gracją opadających w fotel, pokornej elegancji długich, założonych jedna na drugą nóg, ponad ramionami, ugrzęzłymi w piaskach pokoju, wciąż wisi niewyraźny trzepot orłów, skłębiony szcęk wojny.

Nawet w towarzystwie panien Monteys i pozostałych kwiatów o woni mniej być może egzotycznej, lecz silniejszej – o czym się wkrótce przekonamy – jego osobowość wydziela ostry zapach skóry, sztywniackiego, obozowego potu (adwokat Barrachina, który zrobił to zdjęcie, określał to jako „pot jego czarnych rzemieni”), podczas gdy on sam mruga w stronę huśtawki, choć obciążające ją zawieszono w powietrzu słodkie ciało z rozwianą blond czupryną i wspaniałym tyłkiem opiętym wiśniowym strojem kąpielowym nie jest na zdjęciu widoczne. Wciąż słyszę jeszcze bzyczenie pszczoły, szmer wiatru wśród sosen, rytmiczne poskrzypywanie huśtawki. Po prawej stronie zdjęcia widać siostry Monteys we wzorzystych strojach siedzące na trawie, Soledad szydełkuje – z motka różowego albo niebieskiego – jakąś cnotliwą robótkę, Mariana, jakby miała zaraz wybuchnąć płaczem, trzyma na kolanach małego, zaledwie rocznego Rodriga. Na stole butelki szampana i wina, kieliszki, *porrón*<sup>30</sup> mojego ojca... Ja wstałem właśnie z fotela na biegunach, przykucnąłem za moim drugim synem, Xavierem, który ma trzy lata, wzrok utkwilem w złowrogim wybrzuszeniu w spodniach Chemy (Jesteś pewien, wujku, sprytny podglądacz? Opisy scen statycznych potrafią człowieka zmylić – ujmując to w kategoriach estetycznych), ramię mam wyciągnięte ku ziemi, tym razem nie po to, żeby wziąć koszyczek z robótką Sole i postawić go poza zasięgiem małego, którego pociągają barwne motki – wiem, że wśród nich skryta jest fiołka z bellergalem, środkiem uspokajającym, który zażywa moja żona i z którym, nierozsądna, nigdy się nie rozstaje – lecz po to, by nasmarować je oliwką brązującą, która to czcza czynność bardzo irytuje Teya. Obok mnie stoi kuzyn Ramon Monteys, w zaawansowanym już stadium choroby, i jego żona, obejmują się, oparci o drewnianą ławkę, i uśmiechają, rozmarzeni, do przyszłości, ale oboje ustawieni są profilami, jakby na monecie, z której wpatrują się w oczekującą ich pustkę, znajdującą się już poza fotografią, gdzieś za moim grubym kciukiem, który ją właśnie trzyma. Przepiękna para, szczęśliwa aż do bezmyślności i samozniszczenia: w ten odległy weekend on piastuje jeszcze nie wiem jaką zbędną funkcję w jakiejś rodzinnej firmie – Monteysowie wciąż jeszcze chronią swoje własne szczenięta – ale już wtedy zastępowałem go na stanowisku dyrektora zarządzającego spółki, a wkrótce stanie się on moim podwładnym, dręczonym astmą i marzycielstwem. Oczywiście przeze mnie niechciana, lecz rosnąca odpowiedzialność za rodzinne interesy, która niedługo zmusi mnie do zrezygnowania z pracy w Delegaturze do spraw Prasy i Propagandy, psuje moje relacje z Josém Marią Teyem, i tak już nieco napięte z powodu jego niedawnego zerwania z Marianą. Tey nie pochwała, że godzę się na, jak on to nazywa, kumoterstwo i synekury, pasożytnicze

---

30 *Porrón* – tradycyjne naczynie z długim i wąskim dziobkiem, służące do picia wina w ren sposób, że unosi się je nad głową i nie dotyka ustami.

formy władzy. To jednak delikatna kwestia, którą zajmę się poniżej. (Uważaj, wujku, bo to można odczytać jako cwany wybieg narratorski; już za często się wymigujemy).

Chema i Mariana na tym zdjęciu są już po rozstaniu. W moim dzienniku nie ma zbyt wiele wzmianek o ich burzliwym narzeczeństwie; co do czasów poprzedzających ich zerwanie, zapisane tuż pod notatką o badaniu lekarskim, wówczas odbywającym się już dość często (S, leżąc w łóżku z silnym nawrotem choroby, ledwie wyszedł lekarz, który dał jej zastrzyk novuritu, obwieszcza mi z ulgą, że CH i M w końcu ze sobą zerwali. Poniżej data, 15 maja 1947, czyli jakieś trzy miesiące przed tym fotograficznym weekendem w Calafell), znajduję tylko dwie krótkie notki, które można uznać za istotne. Jedna dotyczy kłótni między mną a nim z kwietnia czterdziestego piątego na temat aborcji, której poddała się moja szwagierka i która mogła mieć opłakane skutki, druga zaś odnosi się do kolacji, na którą zaprosiła nas Mariana do swojego świeżo nabytego pałacyku Doktora Andreu – ponurego zabytku, zdaniem Teya cuchnącego nocnym jaśminem – i która zaczęła się od ubolewania godnej sceny zapoczątkowanej przez Chemę, kiedy wyraził niezręczny pogląd, iż ten zameczek wygląda jak gniazdko luksusowej dziwki, drwiąc w ten sposób z dążeń Mariany do niezależności. A wszystko zaczęło się od tego, że owego wieczoru miała na szyi apaszkę z czerwonego jedwabiu, Chema za wszelką cenę chciał dojść, od kogo ją dostała, a ona za żadne skarby nie chciała tego zdradzić... Tak czy owak, przez pewien czas mieszkali tu razem, co tylko przyspieszyło rozwiązanie, którego wszyscy się obawialiśmy i z którym tylko Mariana, zakochana po uszy, nie chciała się pogodzić. Następnej wiosny on wyszedł z propozycją definitywnego rozstania w atmosferze przyjaźni i zrozumienia. Zakończyło ono sześć długich lat niepewności. Moja szwagierka przyjęła to z wyraźną ulgą, ale ten właśnie dzień był początkiem jej niestabilności emocjonalnej i fizycznej oraz jej przywiązania (przez nią samą ironicznie określanego jako niezachwiane) do fundadora<sup>31</sup>.

Pamiętam wieczór miesiąc po ich rozstaniu, kiedy musiałem wyciągać ją pijaną z pewnego oficjalnego przyjęcia, na którym występowały dziewczęta z Zespołu Pieśni i Tańca kierowanego przez Sole i na którym Tey z mrocznym upodobaniem grał rolę mistrza ceremonii: jedna z najatrakcyjniejszych tancerek, Lali Vera właśnie, skręciła sobie nogę w kostce i Chema zaimprovizował zmysłowy opatrunek z czerwonej apaszki, którą Mariana miała na szyi i którą on, postępując bardzo nierozważnie, jej stamtąd zerwał...

To zakamarki pamięci, w których niechętnie się zatrzymuję. Niemniej jednak niżej podaję kilka spostrzeżeń na temat naszego nieustraszonego przyjaciela.

(Notatki oparte bezpośrednio na nagraniach nr C-15-3-75, które wstawiam zgodnie z twoimi niecnymi wskazówkami, wujku. Ich przydatność w tym miejscu wydaje mi się wątpliwa, a ich cel raczej niezbyt szlachetny. Zrobisz, jak uważasz).

Pochodził z rodziny zamożnej i liberalnej, lecz podupadłej jeszcze przed Republiką – zawsze odnosił się do niej z pewną melancholijną pogardą, jak ktoś, kto wspomina młodzieńczą miłośćkę niewieńczoną orgazmem. Zaczniemy od tego, jak bardzo podziwiam tego mężczyznę, który przez całą niemal wojnę miał swój złoty okres. Jego siła moralna jest dla mnie oczywista, nigdy jednak nie pochylałem jego stylu. Zachowywał się w sposób z konieczności romantyczny, czyli w tamtym momencie dziejowym: beznadziejnie polityczny, taki, który przy jakiejś okazji określiłem zgrabną frazą (z czasem stała się bardzo znana): jesteś, powiedziałem mu, czymś więcej niż przystojnym, pyszałkowatym *señorito*, jesteś luksusem systemu.

---

31 Fundador – marka hiszpańskiej brandy (potocznie zwanej koniakiem).

(Luys Forest parafrazujący Agustina de Foxę<sup>32</sup>. Nie upieraj się, wujku: na tym etapie czytelnik wie już, że jesteś gotów na wszystko – nawet na kłamstwo – byle tylko nie nudzić go swoimi wspomnieniami).

Nie był jednak bon vivantem ani nie gonił za własną korzyścią, mimo że w tamtych czasach wszystko do tego zachęcało; wręcz przeciwnie: był poszukiwaczem przygód, niezaradnym, lecz z powołania, przekonanym i wojującym, jakby chciał jak najdłużej wykonywać obowiązek, od którego wtedy wszyscy już uciekaliśmy. Nie chcę przez to rzec, że według mnie dotknęło go to romantyczne zboczenie, które siłą rzeczy musiała zrodzić ta szumna, buńczuczna oprawa zwycięstwa – tak to dzisiaj widzę – albo że był głupim marzycielem; miał dobrze umeblowaną głowę, tylko że te meble – surowe, ciężkie, przytłaczające – nie były wygodne. Przede wszystkim jednak miał dar uwodzenia, aurę i swadę wybrańców losu. W tamtych czasach wszyscy byliśmy nieustannie rozgorączkowani, on jednak umiał uporządkować swoje rozgorączkowanie w jakiś niezwykle, naturalny dla niego rytm. Jedynie kiedy z okazji uroczystości rządowych stroił się na wielkiego wojownika – sztywno wyprostowany, błazeński, odziany w czarny uniform jak w szesnastowieczną pelerynę (wysokie buty, czarne rzemienie i kurtka z pasem) – sprawiał wrażenie symbolu, nieprzystępnego, dalekiego jak asteroida.

Wracając do fotografii: co najmniej dwie osoby znajdujące się na niej doskonale pamiętałyby moment, w którym ją zrobiono. Mam na myśli Teya i kapryśną Lali Vere, tancerkę o zmysłowym orlim nosie i ognistych włosach, którą Sole traktowała jak córkę, odkąd przybyła do Barcelony z rodzicami, emigrantami z jakiejś wioski w prowincji Granada. Z wyjątkiem Sole, która na pewno by tego nie pochwałała, wszyscy wiedzieliśmy, że od miesiący kręci z nią adwokat Barrachina.

Wszystko odbywa się w sposób zaskakujący. Kiedy Tey zamyka książkę, z której przeczytał nam parę linijek („Zamglil lustro mej pamięci i ukotysz na swym łonie czas zraniony, by w końcu zasnął, by zasnął”), które tak naprawdę były chytrze zadedykowane Marianie, Germán Barrachina, bardziej prozaiczny, opowiada parę zabawnych dykteryjek o byłym konfidencie Juliu Muñozie i jego huczynym ślubie z panną Villalonga – ślubie, który ktoś nazwał wielką społeczną „prowokacją” tej epoki – następnie Tey zaczyna opowiadać kolejny dowcip w podobnym stylu. Mariana jednak, która nie słuchała, ubiega go, dosłownie wyjmując mu całą opowieść z ust. Tey milczy; wie, że to świetna anegdota i że Mariana ją spali – tak też się zresztą stało – a wiem, że to go niezmiernie irytuje, wiem, że od lat jest to jego ulubiona historyjka i że za każdym razem, gdy ją opowiada, robi to lepiej. Słuchając jednym uchem, zgryźliwie stwierdza tylko porażkę Mariany – która zdała sobie sprawę z wszystkiego i zdenerwowała się – wtedy my, z resztkami nikłych, współczujących uśmiezków na ustach, usłyszeliśmy jego grubiańskie słowa dotyczące koniaku i bełkotliwego sposobu mówienia, „jak najgorszym połączeniu u rozpieszczonej dziewczusi piszącej o sztuce kwiatowej dla luksusowego pisma »Vertice«”, by użyć tu jego własnych słów. Upokorzona Mariana spuszcza głowę. Powstrzymywany spojrzeniem Sole hamuję nerwy, ale Germán Barrachina tego nie potrafi i wybucha nieprzyjemną kłótnią, w której padają ostre słowa. To właśnie wtedy kuzyn Ramón, umiejąc się świetnie znaleźć w sytuacji, proponuje Barrachinie to słynne zdjęcie (przypuszczam, że robione z przykłęku, ale z podłożoną chusteczką: mama dość dużo opowiadała mi o tym schludnym i dziarskim adwokacie, moim ojczulku).

---

32 Agustín de Foxa (1903-1959) – hiszpański pisarz i dziennikarz, dyplomata: w trakcie wojny domowej przystąpił do obozu frankistowskiego.

Lali schodzi z huśtawki i żeby rozśmieszyć Xaviera, robi na trawie kilka koziołków, przypominając nam niechcący, że jej elastyczny strój kąpielowy, napięty w pachwinach a skąpy na pośladkach, należy do pani domu, niższej od niej o czterdzieści centymetrów.

– Lali, do licha, posiniaczysz sobie całą pupę – mówi Sole afektowanym tonem paniusi z Sekcji Kobiecej, choć tak naprawdę robi to po to, żeby rozładować napięcie.

Nieświadoma niczego Granadyjka za chwilę zjawi się z butelką wina między różowymi udami, ciągnąc oburącz za korkociąg. Chcąc pomóc, Barrachina rozlewa jej wino na nogi. Ona obwieszcza wówczas, że chce wziąć prysznic, i udaje się do domu, ciągnąc za sobą ręcznik, z odsłoniętymi pośladkami jak z dwoma uśmiechniętymi buźkami, niczego się nie domyślając – eteryczna, upstrzona sosnowym igliwem, czerwonym winem i zadrapaniami, po prostu urzekająca... Tey wstaje nagle i idzie za nią. Nie potrafię orzec z pewnością, czy już wcześniej coś go łączyło z tą dziewczyną – po wielu latach ona będzie mnie zapewniać, że nie, że tylko trochę flirtowali i że bała się tego mężczyzny – jest jednak jasne, że tym razem on chce ją tylko wykorzystać, żeby upokorzyć Barrachinę, który nazwał go zabijaką i „pistolero z Rosalesem<sup>33</sup> w kieszeni”. (Miejmy nadzieję, wujku, że czytelnik zrozumie, jaką to szpilę wbijasz mu retrospektywnie tym niezwykłym epitetem). Nie zamierzam tu wgłębiać się w szczegóły groteskowej sceny, która miała się odbyć w galerii – ani wściekłego stukania kostkami palców w drzwi łazienki, ani nerwowego śmiechu Lali, zapewne w porę zasłaniającej piersi ręcznikiem, by zachować pozory, ani mokrych z tyłu spodni wracającego do nas Teya – wspomnę tylko, jak w ślad za nią przeciął ogród odprowadzany naszymi spojrzeniami, i wspomnę tę zatrzymaną w mej pamięci chwilę, w której jego ręka bez skrępowania, jakby za sprawą przyciągania czysto dotykowego, ląduje na efektownym zadzie Granadyjki, który lekko wypina się wówczas na znak przyzwolenia i zadowolenia. Jej też szumiało już w głowie, jak teraz sobie przypominam, ale wszystko stało się za jego sprawą.

Na szczęście Mari i Sole były już wtedy w domu. Czy naprawdę coś zaszło w tej łazience? Kiedy Tey z niej wraca, wycierając sobie włosy ręcznikiem Lali, boso i ze zmoczonymi spodniami, w ogrodzie są już sami mężczyźni. Wśród geranium rosnącego koło szopy Barrachina szuka dwóch kul do petanki, które wcześniej posiadała gdzieś Lali.

– Gdybyś lepiej pilnował tej dziewczynki – mówi mu Tey z przekąsem – nie miałbyś teraz wrażenia, że zniknęły ci kulki.

Barrachina rzuca się na niego. Interweniuję ostro i zdecydowanie, a potem, kiedy obaj się uspokajają, napełniam kieliszki. Germán natychmiast – tancerka guzik go obchodzi – odzyskuje swoją krzepką, końską sympatyczność, tę w uzębieniu tkwiącą siłą uśmiechu, która irytuje Teya niemal tak bardzo, jak czerwone krawaty adwokata. Tey żartował sobie z tego koloru – i braku inwencji, co prawda, to prawda – i czasem dla zabawy rozwścieczał się jak byk, budził drzemiącą w sobie bestię. W rzeczywistości czerwona jedwabna apaszka Mariany, czerwony krawat Germána i wiśniowy strój kąpielowy Lali Very nie byłym niczym innym, jak tylko zwiastunami czerwonego światła i furgonetki dostawcy koniaku, która wiele lat później czekała na niego na rogu Vía Augusta w deszczu, z niesprawnym reflektorem i zaciemnionymi szybami w kabinie kierowcy...

Ale dopiero teraz myślę o tym w ten sposób, wtedy wszystko rysowało mi się zupełnie inaczej: usłyszeliśmy potężny huk i tuż pod naszymi nosami ładunek śrutu roztrzaskał w drobny mak stojące na stole kieliszki i butelki. Wciąż jeszcze widzę, jak Chema wyciąga

---

33 Luis Rosales (1910-1992) – poeta nacjonalistyczny. Jego nazwisko można rozumieć jako „krzewy różane”



pistolet z kieszeni i mówi: Spodziewałem się tego, teraz widzicie, po co to noszę przy sobie? Ale tylko mnie udało się dostrzec dwie czarne rury strzelby myśliwskiej, wystające nad murem otaczającym ogród, i błysk bladej, pozbawionej rysów twarzy, która skryła się z pośpiechem.

Oczywiście Tey do końca pozostał przekonany, że to on był celem zamachu: że wziął się na niego jakiś szaleniec (jak się później dowiedzieliśmy od Tecli, determinacja, z jaką wpełznął mojego szwagra do sekretariatu urzędu miasta L'Arboç, doprowadziła podobno kogoś do ostateczności). Aroganckie przespiewki, na które nieraz wybierał się konno do miasteczka, jego butne kawalkady, obelgi i groźby nie przyniosły żadnego rezultatu. Nigdy nie miał dojść prawdy. Owo mroczne trzepotanie skrzydeł, ów niespieszny cień szybujący nad jego ramionami, które widziałem tam zawsze, mnie tym razem szukały...

(Podsumowując, wujku: tekst trzeba by oczyścić, boś się ześlinił, kiedy go pisałeś, ale i tak, szczerze mówiąc, uważam, że tego rozdziału nie da się uratować i że jego miejsce jest w koszu na śmieci).

## 13

- No wchodź, nie stój tam jak kolek.
- Naprawdę mogę...?
- No pewnie, jestem sama.
- Myślałem, że nie będziesz chciała mnie widzieć. Martwię się o ciebie, moja mała.
- Serio?
- Zaraz, zaraz, nic nie widzę.

Przesunął okulary na czoło i wszedł do pokoju. Miał wrażenie, które miało wzmóc się z kolejnymi nocnymi wizytami, że łąduje się w pułapkę.

- Powinnaś przewietrzyć tę jaskinię.

Pośród strzępów dymu nieruchomo zawieszonych w powietrzu dopatrywał się czujnego łba Mao – pies siedział na środku łóżka w nieruchomej pozie władcy i stróża wiecznego nieporządku panującego w tym pokoju. Za nim, spowite jeszcze gęstszym mrokiem, błyszczało pod beretem blade czoło Mariany. Forest nie dostrzegał jeszcze jednak drwiącej senności jej powiek, tego przewrotnego wdzięku.

– Na stole – rzekła Mariana – masz teksty do fotografii. Swoją drogą, chciałabym obejrzeć ten album rodzinny.

- Jutro.
- Przepisałam też na czysto pewien mętny szkic rozdziału poświęconego panu Teyowi.
- Właśnie przyniosłem ci coś jeszcze o tej postaci...
- Tego się obawiałam. Było widać, że to wersja wstępna, więc pozwoliłam sobie dodać w nawiasach parę uwag.
- Jestem wdzięczny za pomoc, ale te złośliwe dopiski nie rozwiążą moich odwiecznych problemów z doborem właściwego tonu.
- Na twoim miejscu bym je zostawiła. Stanowią...

– Mariano.

–... stanowią uzupełnienie naturalistyczne, którego przedtem brakowało. No, siadaj. Cofnijmy się do tego dziwnego weekendu z Teyem i jego intrygującym wybrzuszeniem w spodniach.

- Mariano, czy już naprawdę wszystko w porządku?
- Czułam się fatalnie, beznadziejnie. Nienawidziłam cię, wujku.
- Rozumiem. I przepraszam.
- Już po wszystkim. Kontynuujmy, czcigodna matko.

– Nie, czekaj. Wyłącz magnetofon, porozmawiajmy trochę o tobie. – Brzęczało mu w uszach. Kadzidlany zapach wypełniający pokój łaskotał go w nozdrza. – Naprawdę bardzo mi przykro, że uraziłem twoje uczucia, nie wiedziałem, nawet się nie domyślałem...

Mariana odburknęła:

– Często mam styczność z tak zwanymi ludźmi pióra i zauważam pewną wspólną im wszystkim bardzo przykrą cechę. Wszyscy się, cholera, wysilacie, żeby zgłębić ludzkie

uczucia, ale poszanowaniem i zrozumieniem odmiennych sposobów myślenia i odczuwania odznaczacie się dość rzadko.

– Mam nadzieję, że nie dążysz do jakiejś feministycznej zemsty na zidiociałym starcu.

Teraz, gdy jego oczy przywykły już do półmroku, powoli dostrzegał jej nagie ramiona i tasiemkę na szyi.

– Cóż, skoro już o tym wspomniałeś – syknęła Mariana – najpierw planowałam, że jak już się zdecydujesz mnie przelecieć, wsadzę sobie w cipkę ostrze od golarki. Ale chyba wymyślę coś wygodniejszego i zabawniejszego.

– Czyli co?

– Dowiesz się w swoim czasie, wujku. Do dzieła, bo marnujemy taśmę na bzdury. Na czym stanęliśmy? Na pasjonującym wyciskaczu łez o perypetiach małżeńskich i politycznych.

– Najpierw zapal światło.

– Nie mogę tak się pokazać.

– I na miłość boską, ściągnij z głowy ten przeklęty берет.

– Wtedy nie będę mieć nic na sobie i mnie skrzyczysz.

– Nieprawda. Wiesz, że w tym domu możesz robić wszystko, na co ci przyjdzie ochota...

– Czasami nie śpię sama, jeśli o to ci chodzi. Uwaga, zapalam światło.

Jej kolejną niezwykłą ozdobą, poza беретem i tasiemką, były ospałe fioletowe powieki pomalowane w najlepszym wampirycznym guście. Nie to jednak przyciągnęło jego uwagę.

– Dziecko, coś ty sobie zrobiła!

– Nic, czego nie wyleczyłoby parę kapek gencjany. Przymuliło mnie i przypaliłam sobie piersi papierosem. Żadna nowość: wszystko przez te moje depresje. Możesz mi podać tamtą buteleczkę i watę?

– Trzeba zadzwonić po lekarza.

– Posmarujesz mnie? Chciałabym, żeby zostały mi takie zagadkowe blizny, takie, jak w twoich wspomnieniach... Jeszcze tu, niżej.

– Nie ruszaj się, poradzę sobie.

– To szczypie. Popatrz na tę brodawkę, jak się podnosi... Iiiii! Łaskoczysz mnie, wujku. Jeszcze troszeczkę, proszę cię.

– Jak twoja matka się dowie, zabije mnie. Uważam, że koniecznie powinien obejrzeć to lekarz.

– Bzdura. Czuję się doskonale i mam ochotę popracować. Już wystarczy, dziękuję.

– Nie rozumiem, jak ty potrafisz pracować w tym bałaganie. Tecla nie przyszła dziś sprzątać? Mao, złaż z łóżka! I wynoś się stąd! Nie powinnaś mu na to pozwalać, w łóżku jest pełno sierści.

– Daj mu spokój. Zmienia ubranko i przez to jest smutny, biedaczek. Zupełnie jak ty.

– Hm.

– Daj mi jednego z tych twoich papierosów, tych, co wywołują raka płuc, i usiądź sobie tutaj, bliżej. O czym to mówiliśmy? *À propos*, wujku, zajmowałeś się kiedyś relacją między narkotykami a literaturą?

– Mój narkotyk to literatura, innego mi nie trzeba.

– Wydaje mi się, że dla twojej pisarskiej roboty joint byłby jak znalazł: więcej byś widział, dostrzegłbyś inny wymiar, inną rzeczywistość.

– Tego mi tylko trzeba. Przeróżające.

– No dobra, zostawmy to na razie. Co się gapisz? Podaj mi tamtą koszulkę, włożę ją, jeśli w ten sposób masz się poczuć lepiej.

– Nie przeciągaj struny, nie kpij z bezbronного starca.

Mariana rzuciła okiem na podbrzusze wuja, zakładającego nogę na nogę ruchem mniej nonszalanckim i bezinteresownym, niż mu się wydawało.

– Nie jesteś aż taki stary ani taki bezbranny, sądząc po pośpiechu, z jakim poprawiasz szlafrok na swoim osławionym parabellum. A skoro już mowa o pistoletach, tak obficie występujących w twoich beletryzowanych pamiętnikach – jak tam z twoim?

– Na żarty ci się zbiera. Albo się naćpałaś.

– Chyba nie zaprzeczysz, że ci stanął.

– Od dawna mi się to nie zdarza.

– W porządku. Więc co się stało z twoją astrą?

– Pozbyłem się jej wiele lat temu. Niech pomyślę... Tak, w czterdziestym czwartym, kiedy sąd dyscyplinarny wszczął postępowanie w mojej sprawie.

– Ho, ho, nie wiedziałam, że było postępowanie w twojej sprawie.

– Powołując się na starania, które poczyniłem dwa lata wcześniej, żeby wydostać ojca z więzienia, a przede wszystkim, żeby dowiedzieć się, kto go torturował, ktoś uznał, że jestem jednostką obojętną wobec sprawy.

– Gratuluję. Jeszcze do tego wrócimy. Teya potracił samochód, który potem uciekł, stało się to nocą, kiedy razem przechodziliście przez Via Augusta.

– Tak. Przed moim domem.

– Dlaczego opowiadając o tym, sugerujesz, że Tey zginął zamiast ciebie?

– To nie do końca jasna sprawa. Może się wydawać, że biedny Chema zginął, bo nie spojrział na czerwone światło, bo zignorował oczywisty fakt... Ja jednak zawsze byłem przekonany, że to mnie chcieli przejechać.

– Dlaczego? Myślisz, że to potrącenie ma jakiś związek ze strzałem w ogrodzie?

– Jestem pewien. Poza tym rozpoznałem niebieską furgonetkę, śledziła mnie już nie raz.

– Ale czy Teya nie przejechał samochód osobowy? Seat 600?

– Furgonetka dostawcza – kłamał Forest – mocno rozklekotana, z niesprawnym reflektorem i zaparowanymi szybami... Nie wiem czemu, być może dlatego, że w pobliżu był sklep, często parkowała na rogu koło mojego domu. Ponadto otrzymywałem anonimy.

– Co w nich było?

– Że powinienem zdechnąć jak Świnia.

– A dlaczego?

Zastanawiając się nad odpowiedzią, na nowo doświadczył złowrogiego przecucia, niejasnego podejrzenia, że być może tworzy właśnie pojedyncze kawałki układanki, którą kiedyś w przyszłości ułoży przypadek... Mao zeskoczył z łóżka z kłębem waty w pysku i wyszedł z pokoju.

– Powiedzmy – wyburczał w końcu – że za coś złego, co kiedyś mogłem zrobić.

– Jakie to poetyckie.

– Możesz mi nie wierzyć, ale miałem też wrogów wśród partyjnych kolegów. Powiedziałem już, że było postępowanie w mojej sprawie.

– Uch, ależ ta koszulka drapie. Mów, mów dalej. Masz coś przeciwko temu, żebym sobie ją podciągnęła na piersi? Co za ulga! Popatrz na tę brodawkę, jak śmiesznie wygląda posmarowana, nie?

– Wiedz, że pozwalam ci torturować mnie tylko dlatego, że wiem, jak dobrze robi ci praca.

– Dziękuję, panie kombatancie. Nie masz ochoty na whisky? Dzisiaj chcę porozmawiać o twoich przygodach miłosnych.

– Dzisiaj sama nie wiesz, czego chcesz. Lepiej pójdę już spać.

– Opowiedz o swoich miłostkach.

– To nic ciekawego.

Wrócił pies, z jednym uchem obwisłym i drugim nastawionym, niosąc w pysku jakiś nowy przedmiot. Podkuliwszy ogon, kręcił się niepewnie po pokoju w poszukiwaniu kryjówki, gdzie mógłby w spokoju rozgryzać zdobycz, którą Forest próbował właśnie zidentyfikować. I prawie mu się już udało paczka papierosów? pudełko aspiryny? – kiedy Mao znowu wybiegł z pokoju.

– Wujku, widzę, jak w błękitach twoich oczu przepływają kobiety w sukniach z lamy i na wysokich obcasach – rzekła Mariana śpiwnie. – No dalej, opowiedz coś. Na pewno jesteś pisarzem, który potrafił zachować się w łóżku.

– Na jakiej podstawie posądzasz mnie o takie zdolności?

– Bo jesteś lekko koślawy. Krzywe nogi od zawsze, już od dziecka, kojarzyłam z mężczyznami z wigorem seksualnym.

– Teoria zabawna, ale nieprawdopodobna.

– Nie drażnij mnie. Kurde, właśnie sobie przypomniałam... Muszę kupić amfetaminę. Czy przypadkiem aptekarz nie jest twoim znajomym?

Forest nie odpowiedział. Czuł, jak okulary uciskają mu czaszkę, pobudzają jakiś nerw, który przesyłał do mózgu smagnięcia bólu. Pilna potrzeba, która zacięła mu się w podświadomości jak zamek pistoletu (poszukać Mao, który gdzieś w kącie drze zębami na sztuki coś, co Forest natychmiast powinien zidentyfikować), została zniemacka odblokowana głosem Mariany:

– Zrobiłbyś mi przysługę i przyniósł jeszcze trochę waty? Twój pies właśnie mi ją gwizdnął. W szafce w jadalni jest jeszcze jedna paczka.

Przydybał psa leżącego za kanapą i kłapsem skłonił go do oddania zdobyczy. Jeszcze zanim się przyznał, wiedział, że nie jest to ani wata, ani aspiryna, ani tytoń. Rzecz wyglądała na pudełko zastrzyków, podłużne i dotknięte zębem czasu, z zielonym napisem „Novurit” na wieczku. Pudełko było puste.

Zsunąwszy okulary na nos – nie były to jednak okulary do czytania z bliska – przeczytał napis ponownie i zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Podszedł do szafki w jadalni i przejrzał półkę z lekarstwami. Wszystkie były nowe. Wziął garść waty i wrócił do sypialni Mariany.

– Co ty sobie jeszcze wstrzykujesz? – zapytał, rzucając pudełko na łóżko. – Nie wystarcza ci, że palisz to zielsko?

Spokojnym wzrokiem i z wampirycznym grymasem na twarzy Mariana śledziła lot pudełka, które wylądowało jej na kolanach.

– O nie, wujku, ja się nie szprycuję. Podaj mi watę.

– A więc mam rozumieć, że to taki żart. Nie mam pojęcia, jak to cię może bawić... O co ci chodzi?

– Chwila! Co cię ugryzło? – Mariana rozszyfrowywała napisy na spodzie pudełka. – Nie zadasz sobie trudu, żeby sprawdzić datę? Trzeci listopada czterdziestego piątego. To pewnie zastrzyki cioci, przecież wspomniałeś o nich w różnych miejscach, które przepisywałam na maszynie...

Forest nie czytał daty, ale wiedział, że był to środek moczopędny, który „brała” Sole. Nie odrywał wzroku od dziewczyny, lecz nie potrafił dostrzec w jej minie, słowach ani w jej zachowaniu żadnej oznaki ironii czy też skrywanego zadowolenia z jego bezradności. Popatrzył więc w bok i poczuł niewyjaśnioną potrzebę, by poprawić w myślach urojone przekrzywienie (nieznajdującego się już w tym miejscu) portretu jego szwagierki pędzla Teya, obrazu, który kiedyś wisiał, zawsze krzywo, obok szafy z lustrem.

Zauważył nieruchome, zaciekawione spojrzenie Mariany, jej delikatny uśmiech i diaboliczne igranie ud pod prześcieradłem.

– Co jest? Coś tak zdębiał? Źle się czujesz...? Chcesz, to mnie jeszcze posmaruj, może się trochę ożywisz.

– Idę spać. – Odwrócił się bokiem. – A ty idź się przewietrzyć ze swoją paczką z L’Espinety. Dobranoc.

– Pocałuj mnie, wujku, i wybacz, że sprawiam ci kłopoty.

– Co proszę?

– Mówię, że zanim sobie pójdziesz, powinieneś pocałować nieszczęśliwą dziewczynę z bliznami na piersiach. Chyba że się mnie boisz?

Forest uśmiechnął się wreszcie, gdy kolejny raz powiązał w myślach dziewczynę (dla zabawy, rzecz jasna, przeprowadzającą akcję odwetową) z pojawieniem się starego leku, który niewątpliwie należał do jego ojca i pochodził z czasów bezpośrednio poprzedzających jego śmierć: to było logiczne. Poza tym udało mu się odwlec odpowiedź, zanim znów nie ukazały mu się udręczone fioletowe brodawki.

– W porządku. – Pochylił się nad nią, nie dotykając jej. Tak?

– Hm, nudziarz.

## 14

Chema w swojej czarnej pelerynie i butach jeździeckich stoi przed sztalugami rozłożonymi pod sosnami i maluje tył domu. Jesień 1946. Na obrazie widać stary eukaliptus, drewnianą ławkę i umywalnię (która zniknęła, gdy dobudowano galerię), co w onirycznej palecie dzieł Teya stanowi rzadkie ustępstwo na rzecz realizmu. Zwykł malować drzewa, których w tym ogrodzie nie było, najchętniej jodły, wierzby płaczące i palmy.

To jedyny obraz Teya, który zachowałem. Wisi w moim gabinecie w Barcelonie. Przedstawia otwarte drzwi domu w Calafell i cały parter zasypany od krańca do krańca piaskiem, tworzącym lekkie wydmy usiane rozgwiazdami, muszlami i kleistymi, uczesanymi przez fale wodorostami. Ta fantazyjna wizja rybackiego domu, do którego wdarło się morze, domu będącego niejako bezludnym przedłużeniem morza (Teyowi udało się też wiernie oddać pewne istotne szczegóły, jak żerdzie i stare bezużyteczne stery, wyłaniające się z piasku niczym szczątki wspomnień-rozbitków), to niezwykle malowidło to owoc marzenia albo tęsknoty; pamiętam rozmowę z Teyem o tym, jak wyglądały lub mogły wyglądać te domy w czasach mojego dziadka, kiedy piasek dochodził aż do werand.

Soledad i Chema na koniach, z Giralda<sup>34</sup> w L'Arboç w de, podczas jednej z przejazdów do tego miasteczka, w którym odwiedzają moją siostrę i szwagra. Zwróćmy uwagę na swobodę stylu jeźdźcy na białym wierzchowcu, nadąsany patos jego ramion, czarne rękawiczki i postawione kłapy kurtki.

### Rozdział XXIV

Mówią mi, że jest teraz ochroniarzem któregoś z miejscowych hierarchów. Nie widuję go: opieram się na tym, co zasłyszałem. Ciężaru jego żywota i tajemnego zapału nie podtrzymują już żadne ideowe wyobrażenia. Gdy niebotyczna chełpliwość jego wodzów wraz z ich chorągwiami, gwiazdami zaczynała gnić w zbędnych biurach, na niepotrzebnych przyjęciach, on zdążył już niemal zgnić na słońcu na ulicy, w knajpach i burdelach. Dawał nam przedsmak fizycznego i moralnego upadku, który dziś, w 1976 roku, dręczy Niebieski Eden. Dlaczego akurat on musiał zaznać tej hańby? Tak poskromiony został jego nierozważny duch.

Złośliwość czasu, wypalanie się tęgiego Weterana, krwawe ideały, okropne malarstwo, odgrzewane dykteryjki, wyrzucenie w kieszeni spodni, niepowściągliwy szach-mat, bezsenne uda Cyganki i rozstanie z mroczną pomadą (Ostrzegam cię, wujku: jeżeli ciągle będziesz gonił za wrzaskiem i wściekłością, wylądujesz w słowniku synonimów jak jakiś

---

34 Giralda w L'Arboç – budowla wzorowana na dzwonnicy katedry w Sewilli, tzw. Giraldzie (pierwotnie minarecie).

Gironella<sup>35</sup>) wraz z postępującym spłaszczeniem nosa i rozczulającą bokerską zuchwałością – która była w nim rzeczą niezwykłą – w końcu wpłynęły na jego wdzięk i szczególny sposób wykorzystywania go, a w rezultacie uszczupliły także krąg jego przyjaciół.

W kulminacyjnym momencie swojego barwnego życia José María Tey jest częstym gościem baru dla policjantów na ulicy Mallorca, świetnie gra w szachy, redaguje kącik krzyżówkowy w lokalnym czasopiśmie i publikuje niezwykłą książeczkę o *castellers*<sup>36</sup> z regionu Penedés, ciekawą, lecz napisaną przy użyciu niewłaściwej terminologii: żywych wież, które tak podziwiał, nie „buduje się” i nie „rozbiera”, tylko „naładowuje” i „rozładowuje”. Miał wręcz nadmiar talentu; na przykład umiał wymyślać genialne tytuły do niezwykłych powieści gotyckich, których nigdy nie miał napisać, do dziś pamiętam tytuł świadczący o zadziwiającej przenikliwości: „Małżeński koszmar w Saragossie”.

Jeśli chodzi o jego zacięcie malarskie, przestał wystawiać po pięćdziesiątym dziewiątym.

Ktoś widział go kiedyś pewnego deszczowego dnia w zatłoczonym autobusie: wychudł, pod pachą trzymał utyłaną aktówkę pełną kwitów, na klapach płaszczka miał łupież i popiół. Jest dwudziesty któryś marca albo kwietnia, nie pamiętam, sześćdziesiątego dziewiątego. Słyszac tę niepokojącą wieść, Soledad radzi mi, bym go odszukał i sprawdził, co się z nim dzieje. Na pewno jest bez środków do życia, bez przyjaciół i nadziei. Widzę przez okno deszcz padający na Vía Augusta. Zza rogu wyłania się furgonetka dostawcza rozwożąca jakiś koniak, boczne koła jadą po krawężniku, w kabinie siedzi cień bez twarzy, zaciśnięta dłoń obraca kierownicą, coś krótko błyska, może pierścień...

(Choć raz, Mariano, uprzedzam twoje irytujące wstawki w nawiasach. Nie to, żebym popisywał się tu pamięcią totalną, ani nawet przecuciem: ta powtarzająca się upiorna furgonetka nie jest prawdziwa – jak pewnie podejrzewałaś – lecz zmyślona. Istnieje tylko w mojej głowie. Jak wiadomo, Tey zginął na moich oczach pod kołami pojazdu, który potem uciekł i którego nigdy przedtem nie widziałem. Chodzi więc – była to silna pokusa – o pewien retrospektywny manewr prawdą, o pewne symboliczne czy też poetyckie ulepszenie, do którego mam pełne prawo także wtedy, gdy piszę autobiografię. Jeśli chcesz, możesz to uznać za prywatną ironię autora... Jakiż inny sens mógłbym przypisać temu makabrycznemu detalowi, że koniak rozwożony furgonetką, która przejechała Teya, był, jak głosił napis na jej drzwiach, marki Fundador? He, he, he. Tę wstawkę oczywiście pomin przy przepisywaniu na czysto).

Josému Maríi Teyowi pozostało jeszcze piętnaście minut życia.

Zdaję sobie sprawę z zainteresowania, jakie w dzisiejszych czasach może wzbudzać człowiek taki jak on. Otaczający go świat się rozpada, a on tego nie zauważa. W ciągu ostatnich dziesięciu lat, 1959-1969, potwierdza to każda wiadomość, która do mnie dociera: na schodach kościoła San José de la Montana spuścił porządne lanie pewnemu młodemu księdzu, którego kazanie brzmiało dla niego zbyt „czerwono”; w przychodni publicznej wyciągnął swój stary bojówkarski pistolet, bo lekarz odmówił przepisania penicyliny synowi pewnej starej prostytutki, jego znajomej; poturbował dyrektora jakiegoś czasopisma, który odrzucił jego artykuł: złapał go za kłapy i spoliczkował w Delegaturze do spraw Prasy na Ramblas, przez co ostatecznie wyrzucili go z posady cenzora. I tak dalej.

---

35 José María Gironella (1917-2.00\$) – prozaik hiszpański; podczas wojny domowej walczył po stronie nacjonalistów.

36 *Castellers* (katal.) – osoby, które tworzą żywe wieże (*castells* – zamki), piętrowe konstrukcje z ludzi stojących sobie na ramionach, będące tradycyjnym elementem katalońskich fiest.



Mieszka w dzielnicy Gracia w zrujnowanym pałacyku, który należał do jego rodziny, z Cyganką, przezacną kobietą, której syn pracuje w zakładzie pogrzebowym. Tey konfidentem Brygady Społecznej<sup>37</sup>? Pamięć ma swoje luki, sny przetykane snami, świadomość pustki. Tey nosi garnitury umarłych i gra sam ze sobą w szachy, idealne połączenie dla kogoś, kto chce pozbyć się luster i kalendarzy. Widziano, jak włóczy się po dzielnicy ogolony byle jak, w pękniętych butach, zagląda do knajp po nędzne pradawne grosze z Pomocy Społecznej<sup>38</sup>, ze składek, które utraciły już ważność, ale które część właścicieli nadal mu wypłaca z litości, a może wciąż jeszcze ze strachu.

Dziś zjemy u mnie, Soledad chce cię zobaczyć, Chema, odtąd wszystko będzie inaczej, nikt o tobie nie zapomni, a już na pewno nie ona... Chciałbyś powiedzieć: wasza miłość niezniszczalna? Miał lekką gorączkę, zmusiłem go, by narzucił mój szary płaszcz. Wszystko po staremu, kolego, szeregi zwarte<sup>39</sup>.

Jednak nigdy nie spotkamy się we troje, ani na kolację, ani w żadnym innym celu. Teraz tylko o jednej rzeczy myślę, obsesyjnie: dlaczego kiedy widząc czerwone światło, pociągnąłem go w deszczu za ramię, on stał na jezdni, stał sam, zamiast cofnąć się razem ze mną? Rozprawiając w zapamiętaniu, z wściekłością, nie pamiętam już o czym, nie widzi, że zatrzymałem się na krawężniku. Decyduję się skoczyć do rynsztoka i złapać go pod ramię, zmusić do biegu. Furgonetka już wyjechała z cienia – choć jeszcze jej nie widzę – z niesprawnym reflektorem i bladą dłonią obracającą kierownicą niespiesznymi, wyrachowanymi ruchami. Chwytam go za rękę, Chema, czerwone, krzyczę (zdaje mi się, że w zgrzycie hamulców słyszę jego pełen pogardy głos, który mamrocze: wszędzie, kurwa, czerwone), ale gwałtownie wyrywa mi się z ręki i staje na mokrym asfalcie. Ledwie miałem czas, żeby uskoczyć na bok.

Przez zaciśnięte na twarzy palce w ułamku sekundy widzę wyraźne, przepite oczy kierowcy, gapiącego się na moje osłupienie, moją rozpacz, podczas gdy ciało Teya pada przy krawężniku, bezbronnie, na wznak, a mocne, sztywno stojące klapy mojego płaszcza wciąż przykrywają wytarte klapy jego czarnej marynarki.

Furgonetka nie zatrzymała się. Zawsze uważałem, że w tym rzekomym wypadku mnie przeznaczone było zginąć.

---

37 Brygada Społeczna (Brigada Social, właśc. Brigada de Investigación Social) frankistowska policja polityczna.

38 Pomoc Społeczna (Auxilio Social) – organizacja założona podczas wojny domowej, mająca na celu pomoc sierotom wojennym, podporządkowana Falandze w roku 1937. Finansowana była m.in. ze składek, które mniej lub bardziej dobrowolnie płacili zamożni obywatele.

39 Szeregi zwarte (hiszp. *Prietas las filas*) – początek pieśni falangistowskiej.

## 15

– Jakie emocjonujące tematy czekają nas dziś wieczór?

– To od ciebie zależy.

– Chciałabym poznać parę szczegółów dotyczących związków pozamałżeńskich. Zdrad, aborcji, rzeźączek, ulubionych pozycji w łóżku... Wujku, jeśli za każdym razem, kiedy zadaję ci niewinne, a do tego pochlebne pytanie – uwzględnisz skromną sławę twojego fiutka – masz robić taką głupią minę, to możemy sobie to darować.

Z przytępieniem jeszcze umysłem, krótkowzroczny i półgłuchy, Forest usiadł na łóżku wyraźnie zrezygnowany.

– Nie będę tracił czasu – rzekł – na drobiazgowo omawianie czynności, którą uznaję za nudną i której nigdy nie wykonywałem ze szczególnym polotem.

– Czy to prawda, że ciocia cię zostawiła, bo przez dwadzieścia pięć lat małżeństwa miała tylko trzy orgazmy?

– Uważam, że to aż nadto. Czy możesz wyłączyć tę pomyloną muzykę?

Była to nowoczesna, schizofreniczna przeróbka spokojnego klasycznego utworu, poddanego elektrowstrząsom, zmasakrowanego, zniekształconego nie do poznania. Mariana skończyła ślinić i zwijać skręta, wcisnęła przycisk magnetofonu, wyjęła kasetę i włożyła nową, do nagrań. Wuj usłyszał w cieniu chrząknięcie i skrzypnięcie piasku pod butem.

Jakiś wysoki młodzieniec o prostych, przetłuszczonych włosach i wielkich ospałych dłoniach rozprostował się jak wąż w najciemniejszym kącie pokoju, wziął czerwoną koszulę i wymknął się przez galerię do ogrodu.

– Przepraszam – powiedział Forest. – Mogłaś mnie uprzedzić.

– Myślałam, że śpi. Wziął valium, miał złą podróż.

– Nie podoba mi się, że wpuszczasz ich i wypuszczasz tylnymi drzwiami...

– No bo wiesz, on stawia w ogrodzie swój motor. – Poprawiła poduszkę pod plecami i dodała: – No dobra, co mi powiesz? Na dzisiaj skończone już pieszczoty z oczyszczaniem sumienia<sup>40</sup>?

– Najgorsze u młodych ludzi – westchnął wuj – jest to, że nie umiecie przebaczać. Służyłem z bronią w ręku sprawie, którą uważałem za słuszną, i tyle. Masz normalnego papierosa?

– Z bronią i piórem, wujku. Nie tylko strzelałeś przeciw wolności, ale też pogrzebałeś ją w wierszach i powieściach, strasznie zresztą niestrawnych. Masz całego papierosa za uchem, a drugiego w ręce... Dobrze się dziś czujemy?...

Oczy Mariany błyszczały w gęstej plątaniu piegów i kręconych włosów. Forest podziwiał po raz któryś niezwykłą dostojność jej podbródka i władczość obrzmiałych policzków, harmonizujących z rozchyłonymi piersiami napinającymi bluzkę-pajęczynę.

---

<sup>40</sup> Oczyszczanie sumienia (hiszp. *descargo de conciencia*) - aluzja do tytułu książki Pedra Laína Entralgo *Descargo de conciencia 1930-1960* (zob. przypis na s. 48).

– Nie mogę cię rozgryźć, wujku – dodała, śmiejąc się. – To co robimy? Mam ci nalać kieliszek, zanim zaczniemy? Chcesz porozmawiać czy tylko się na mnie gapić, a może wolisz, żebym ci w końcu zwała konia?

Jej gruzliczy śmiech przeszedł w kaszel. Udając obojętność, Forest wstał, żeby nalać sobie odrobinę. Stojąc przy stole i nie odwracając się, powiedział:

– Pokaż mi te oparzenia.

– Jestem już zdrowa. Dużo dziś pracowałeś? Bóg jeden wie, z jakimi mrocznymi myślami o zemście spisujesz swój żywot. Boję się ciebie, nieszczęsna jednostko przeznaczenia<sup>41</sup>.

– Moje drogie dziewczę o żmijowatym języku, ja chcę tylko wrócić do utraconej młodości...

– Cynik z ciebie. *À propos* twojej młodości: twój znajomy aptekarz, dawny kompan z zabawy w kacyków i kapusiów, nie chce mi już sprzedawać amfetaminy. Może z nim pogadasz i nauczysz go moresu?

– Zrobię to.

Z głębi ogrodu rozległ się warkot motoru, który wylewał się na ulicę przez tylną bramę.

– Spodoba ci się – powiedziała Mariana. – Nabrałam ochoty...

– Seks, hałas i narkotyki – westchnął Forest. – Nie potrafię dostrzec w tej współczesnej trójcy nic poza smutkiem i nudą. Pójdę już, żeby twój przyjaciel mógł wrócić.

– Nie. Usiądź. Naprawdę nie chciałbyś poopowiadać o swoim życiu uczuciowym? Podobno nigdy nie miałeś kochanki.

– Nigdy – ziewnął. – Ale miałem uczucia.

– I nie relacjonujesz we wspomnieniach żadnej zdrady, żadnej burzliwej namiętności?

– Właściwie nie... To przeżycia marginalne i mówienie o nich nic by do tej książki nie wniosło, bo one patrzą w inną stronę, jak by rzeki Stevenson. A poza tym prawie nic nie pamiętam.

– Wyznam ci coś – szepnęła Mariana, opierając mu się na ramieniu. – Jeszcze niedawno wydawało mi się, że w twoim życiu jest cała masa pięknych kobiet. Byłam wtedy bardzo romantyczna, wujku, i lubiłam sobie marzyć, że jesteś syfilitykiem i że kiedy nadarzy się okazja, będziesz mógł mi go położyć tylko między nogami, ale i tak się spuścisz, a potem słodko zaśniesz w mych ramionach i będzie mnie spowijał odurzający zapach miłości, i poczuje się bardzo szczęśliwa...

– A niech mnie! To iście przezczysty sen.

– Nie udawaj cwaniaka, bo tak się rzeczy mają, że...

– Rzeczy nie tak się mają, jak się mają, moja droga, ale tak, jak się je pamięta.

– To powiedział Valle-Inclán<sup>42</sup>.

– Na pewno? Mógł to też powiedzieć de Gaulle.

– Aleś mnie zgasił. Wy, starzy, umiecie się wyrazić, macie gadane. A jeśli już mowa o językowej kuchni pisarza i o tym, co w niej pitrasi... Czytałam ostatnio jedną z twoich dokumentalnych ramot o wojnie i w jednej z kronik – wszystkie są oczywiście triumfalistyczne i nieprawdziwe – znajduje się przepiękny obraz, powracający przez całe opowiadanie: obraz spadochroniarza, który leci pośród nocy, zostaje poszatkowany kulami jak sito i zawisa ze spadochronem w gałęziach sosen, gdzieś w górach. Opisujesz, jak powoli

---

41 Nieszczęsna jednostka przeznaczenia (hiszp. *pobre unidad del destino*) – nawiązanie do wyrażenia omówionego w przypisie na s. 40.

42 Ramón María del Valle-Inclán (1866-1956) – pisarz hiszpański, jedna z najwybitniejszych postaci kultury hiszpańskiej XX wieku.

umiera w samotności, jak wykrwawia się na śmierć, pamiętasz? I piszesz, że kiedy przed śmiercią poczuł się jak na huśtawce, jak dziecko, nagle wydało mu się, że kiedyś już był w tamtym miejscu, że kiedyś widział już tamte spokojne okolice.

Ta wizja nawiedza narratora wiele razy, nawet w zaciszu domowego ogniska, na oficjalnym przyjęciu, na ulicznych manifestacjach poparcia dla reżimu. Nigdy nie napiszesz nic lepszego, wujku...

– Bardzo możliwe.

– A przecież to nieprawda. Tak, proszę pana, to bujda. Bo w tej waszej cholernej wojnie nie walczyli spadochroniarze i dobrze o tym wiesz.

– Zgoda. Ale to jedyny nieprawdziwy obraz w całej książce.

– Chciałabym więc zapytać: czy w swoich wspomnieniach stosujesz podobne zagrywki?

– Już o tym mówiłem. Furgonetka, która ścigała mnie w deszczu, która potrafiła mnie w czterdziestym ósmym i potem przez pomyłkę zabiła Teya... Ano, tak naprawdę biednego Chemę rozjechała zwykła sześćsetka.

– Ale po co to robisz? Jaki to ma sens?

– To *licentia poetica*.

– Aha. Są jeszcze inne poetyckie ozdóbki w twoich wspomnieniach?

Forest, z jakiegoś powodu nieswój, wstał i zaczął się przechadzać.

– Pewnie już zauważyłaś – powiedział – że na tym małym falszyku wspiera się retrospektywnie inny, pozwalający mi zamaskować pewne rzeczywiste doświadczenie, o którym dziś wolałbym zapomnieć: przyczynę mojego utykania. Była to jak najbardziej rana odniesiona na wojnie. Ale wolę, żeby to było potrącenie przez samochód: mam prawo naprawić swoje życie.

– No jasne! – klasnęła w ręce Mariana. – Jak mogłam wcześniej na to nie wpaść! Najpierw próbowałam to zamaskować głupim upadkiem do latryny, a potem dybiącą na twoje życie furgonetką. Aha! – Siedząc po turecku, podskakiwała rozbawiona na łóżku. – Co znaczy, że nikt nigdy cię nie ścigał, nikt nie mierzył do ciebie ze strzelby myśliwskiej, żaden z kolegów nie żywił do ciebie nienawiści z powodu... twojej rzekomej apostazji, która dzisiaj byłaby ci na rękę.

– Posuwasz się za daleko. Nie chcę się usprawiedliwiać. Chcę tylko dobrze pisać.

– Diabeł, nie literat.

Śmiejąc się, nakryła sobie głowę prześcieradłem. Forest, który właśnie szedł w jej kierunku, zatrzymał się na moment, by pomasażować sobie kulawą nogę, utykając przesadnie, zmienił krok i rytm chodu, jakby paraliżował go ból (przedstawienie tak naprawdę bezinteresowne, sztuka dla sztuki, jako że nie widziała go w owej chwili ani Mariana, ani nikt inny), aż dotarł do krawędzi łóżka i usiadł.

– Mam nadzieję, że w swoim reportażu nie wyjawisz mojego małego sekretu.

– W porządku. Zmieńmy temat – rzekła dziewczyna, odkrywając prześcieradło. – Pomówmy o fanfaronie Teyu: jaki był jako malarz i eksnarzeczony cioci?... Nigdy nie byłeś zazdrosny? Często tu przyjeżdżał?

– Ano właśnie, wertując swój dziennik, odkryłem, że Chema spędził tu więcej wakacji, niż mi się zdawało. Kiedy moja matka i siostra Rosa, już mężatka, przeprowadziły się do L'Arboç, dom stał przez rok pusty. Już wtedy Tey prosił mnie o klucze, przyjeżdżał tu na weekendy malować. Kiedy jego związek z twoją matką jeszcze trwał, czasami przyjeżdżali razem. Dużo pomagał Sole, kiedy postanowiła zmienić wystrój domu, potem stał się w nim częstym gościem. Swoje dramatyczne mariny malował w ogrodzie, nigdy na plaży, tylko raz

namalował to morze, a i tak nie było to to morze... Kiedy nie malował, rysował szablonowy wyszywanek dla Sole i jej skrzętnych dziewcząt z SK albo redagował kącik szachowy dla jakiegoś tygodnika czy też dziennika, nie pamiętam.

– Twój portret, który namalował w 1945, ten, który jest w domu mamy, nie udał mu się, ale ma pewną interesującą właściwość: z dnia na dzień stajesz się do niego coraz bardziej podobny.

Forest poruszył się z zakłopotaniem i zabełtał płynem w szklance. Snop światła ogrodowej latarni rozjaśniał czerwoną bugenwillę w oknie.

– To beznadziejny obraz, okropny. A tutaj – Forest wskazał miejsce na ścianie – wisiał przez wiele lat potworny portret twojej matki.

– Znalazłam go wśród rupieci w szopie.

– Mój dobry przyjaciel był koszmarnym malarzem, komediantem. Wciąż widzę go w tym ogrodzie pod sosną, jak w wysokich butach z ostrogami szkicuje na płótnie czarny fotel na biegunach, na którym siadywała twoja matka... Choć może to była Soledad? – Wyteżył myśli, by nadać kształt czemuś, co nagle wydało mu się najważniejsze, czemuś znajdującemu się w ogrodzie, głosem i gestom jakby pod wodą, obrazom dziś niemal bezbarwnym w akwariium pamięci. – Tak, było to wtedy, kiedy Tey wrócił z przejażdżki konnej z twoją matką, ale malował Soledad... Tak mi się zdaje. Było to przed moją podróżą do Buenos Aires albo po niej.

– To wszystko brzmi zbyt technicznie, wujku. Spróbuj to jakoś poukładać. Może skręcika? Łatwiej sobie przypomnisz.

Jej szyja wydała się nagle jakoś osłabła, a powieki zmęczone. Forest wstał, między innymi po to, żeby uciec przed aromatycznym dymem, w który go spowijała.

– Zostawmy to na jutro, moje dziecko.

Zmęczona Mariana walczyła ze snem. Ale powiedziała jeszcze:

– A właśnie, mieliśmy wrócić do twojego kryzysu sumienia, do twojej wiecznie odkładanej na później rezygnacji... Kiedy podjąłeś kolejną próbę?

Forest porządkował papiery na stole. Gdy się odwrócił, już spała. Głowa opadła jej na ramię, w spoczywającej między udami dłoni cmił się niedopałek. Forest ujął go z najwyższą ostrożnością, zdusił w popielniczce, zgasił lampkę nocną i wyszedł z pokoju.

## Rozdział XXXVII

W czwartek 17 października 1948 roku udaję się koleją do Calafell, nieco wcześniej niż Sole i dzieci, zamierzam bowiem w spokoju zrobić korektę autorską *Różańca z powtórných spotkań* (Madryt 1948). Dzień przedtem wróciłem z krótkiego pobytu w Buenos Aires, gdzie zaproszono mnie na usypiającą konferencję na temat „Hispanidad<sup>43</sup> i literatura” (Nie rozumiem, wujku, jak możesz przepuścić taką świetną okazję do odpolitycznienia swojej działalności kulturalnej: prawdziwym powodem, dla którego tam poleciałeś i dorzucając swoje trzy grosze, pogłębiłeś tylko tę durną hispanistyczną drętwość – dziś możesz to już przyznać – była pewna urugwajska dama przyciągająca uwagę zgrabną prozą i takimiż udami), i zaraz po przyjeździe wstąpiłem do biura delegatury, by załatwić parę spraw.

Stan mojego ducha w tamtych dniach nie mógłby być gorszy. Moja słynna niezachwiana wierność, której wspomnienie najwyraźniej wielu do dziś irytuje, była poważnie zagrożona. W biurze Tey, wojowniczy i nabuzowany jak nigdy, z poplamionym krwią krzyżykiem plastra na czole – drasnęła go kula: pomagał swoim znajomym z policji, dla samej przyjemności ryzyka, w niebezpiecznych operacjach mających na celu zatrzymanie fali napadów na banki, która wstrząsała wówczas miastem – przestrzegł mnie, że moja najnowsza książka napotkała problemy w cenzurze. Kroplą, która przepelniła kielich goryczy, była gwałtowna sprzeczka telefoniczna z nowym szefem Urzędu Informacji Bibliograficznej i jego cenzorskimi lokajami, którzy dążyli do tego, by wykreślić z mojej książki całe dwa rozdziały.

Ma to miejsce na krótko przed moim odjazdem do Calafell, Soledad przygotowuje mi właśnie walizkę z ubraniami; usłyszała, jak klnę i wygaduję do telefonu niestworzone rzeczy, i pojawia się nagle w progu biblioteki, błada, wyraźnie zmieszana, jakby moje inwektywy były adresowane do niej. W końcu pojęła rozmiary mojego rozczarowania i wściekłości. Bez zbędnych wstępów wyjawiam jej niedającą się dłużej odkładać konieczność rezygnacji i skończenia z tą komedią raz na zawsze. „Ty nie mówisz poważnie, nie zrobisz tego – mówi szeptem. – Nie pakuj się w coś takiego”. Poczyniwszy aluzję do matki tego urzędasza, odkładam słuchawkę, niemal ją roztrzaskując. Sole dodaje: „Ty już wcześniej to postanowiłeś, czekałeś tylko na takie głupstwo jak to, to zwykły błąd funkcjonariusza...”. „To nie jest zwykły błąd! To gówno, w którym siedzimy po uszy, nie rozumiesz tego?!”

Idzie za mną do sypialni, z wyrazem przerażenia na twarzy, patrząc na mnie jak na obcego. Opowiada o świętej pamięci jej ojca i brata, o wszystkim, czego za żadną cenę nie wolno zbeczczyć, a potem zaczyna z wolna i po cichu mi wymyślać. Nie mam zamiaru ustąpić. „Przyjmij to ze spokojem, kochanie, bo tym razem to postanowione”. Lękając się o

---

43 Hispanidad - termin odnoszący się do krajów hiszpańskojęzycznych, ujmowanych jako tworzące kulturowo-historyczną jedność z Hiszpanią.

jej zdrowie, ucinam rozmowę, chwytam walizkę i trenz i wychodzę z mieszkania, trzaskając drzwiami.

Nie myliła się, mówiąc, że wykorzystuję jako pretekst nadgorliwość ograniczonego funkcjonariusza – jakiś czas potem rozwiążę ten problem, poruszając samo niebo, czyli rozmawiając z Madrytem – ale w tej chwili ta sprawa mnie przygnębia, potwierdzając złowróżbne przecucia i ożywiając tłumione zapędy liberalne. Jakim prawem te skurwysyny śmia poprawiać mi teksty, mnie, który przez wzgląd na nich zmieniłem współczesną historię tego kraju?!

Kiedy dwie godziny później w naszej sypialni w Calafell przebieram się z zamiarem zejścia na dół i napalenia w kominku, szereg niezwyklej zbiegów okoliczności (zabłocone męskie buty jeździeckie przy łóżku, krzyżówka rozwiązana dwoma charakterami pisma i drobnutki plamki krwi na krawędzi wanny) budzi we mnie przerażające przecucie czegoś, co miało się okazać jedyną zdradą Sole w ciągu niemal trzydziestu lat małżeństwa.

Oszczędzę czytelnikowi drobiazgowej analizy podejrzenia, które miało się później potwierdzić przy przypadkowej i mimowolnej pomocy Tecli. To dość kłopotliwe wspomnienie, kłopotliwe nie tyle dla mnie – minęło już tak wiele lat, popełniliśmy tak wiele błędów – ile dla jego głównych bohaterów, dziś nieżyjących i pozbawionych możliwości obrony. Muszę jednak o tym opowiedzieć, inaczej nie da się bowiem zrozumieć, dlaczego po raz kolejny się ugiąłem.

Następnego dnia po prawdziwie upiornej nocy (na domiar złego, zapomniałem zabrać z Barcelony okulary i ulubioną fajkę), dzwonię do Soledad. Wyciągnąłem ją z łazienki. W jej głosie słycać jeszcze rozczarowanie i niesmak z mojego powodu. Tak, właśnie się pakuje, nie po to jednak, żeby przyjechać i spędzić weekend ze mną, z dziećmi i być może z Marianą. Nic z tych rzeczy. Widzę rozłożone na łóżku obszerne koszule nocne, surową bieliznę, skromne podwiązki... Zaniepokojony domagam się wyjaśnienia tego, co zaszło w Calafell pod moją nieobecność. Długa przerwa. „Jesteś w stanie to znieść?” – pyta wreszcie swoim rezonerskim nosowym głosem panny z Ensanche. Widzę jej rozchylony szlafrok, krępe, grube uda ociekające wodą. Przyznaje się do faktów, aby natychmiast dodać, chłodno i wbrew wszelkim oczekiwaniom, że najlepsza rzecz, jaką możemy zrobić, to rozstać się...

Tego się zupełnie nie spodziewałem. Widzę, jak jej mała nabrzmiała dłoń wyciera biodra połami szlafroka, który odsłania nogi, widzę wszystkie jej leki w śliwkowym kuferku otwartym na łóżku... Tak, jeśli już o to pytasz, w jej życiu jest inny mężczyzna, owszem, jest – albo tak się jej wydaje zakochana, nie, drogi panie, nie stało się to w jakiś celowo zaplanowany weekend, jak słabo mnie znasz, Luys, tylko jeden raz i był to „zwykły dzień w tygodniu”, a czy to ważne, czy go znasz, czy nie, w każdym razie to nie przez niego chce odejść, przynajmniej nie tylko dlatego, uparty ośle, i to ja jestem wszystkiemu winien, bo nie potrzebowała innego mężczyzny, póki nie zacząłem się zmieniać, oddalać się od niej i od wszystkiego, co nas łączyło, wszystkiego, o co tyle się razem nawalczyliśmy, jak tak można zdradzić ideę, życie, miłość (Język rodem z telenoweli, uważaj, wujku), a zatem teraz wiedziałem już wszystko...

Proszę ją, żeby przestała płakać i się zastanowiła, żeby pomyślała o dzieciach i swojej matce, nakazując jej natychmiast przyjechać, żebyśmy omówili wszystko na spokojnie, ale nie odpowiada, odkłada słuchawkę.

Wieczorem zjawia się z dziećmi i gruntownie przemyślaną odpowiedzią, której udzieli mi, siedząc w fotelu przy kominku i obejmując kolano dłońmi; widok opieszających ruchów jej grubawych palców, gdy je splatała, zawsze, choć wciąż nie wiem dlaczego, przyprowadzał mnie

o uczucie suchości w nozdrzach. Gnębi mnie jednak i przeraża myśl, że mogłaby ode mnie odejść. Wznawiam tę rozmowę bez końca, ubarwianą wzajemnymi oskarżeniami – lecz także niespodziewanymi oznakami troski: ja przypominam jej o pigułce, którą winna zażyć o ósmej, i przynoszę szklankę wody, ona przywiozła mi z domu zapomniane okulary – ale żeby nie przedłużać: Soledad zgadza się, żeby wszystko zostało po staremu, zrezygnuje z tamtego mężczyzny, jeżeli ja obiecuję nigdy więcej nie urazić jej tym okropnym pomysłem porzucenia naszych idei.

Dziś wiem, że nie da się łatwo usprawiedliwić decyzji, za którą stały racje tak prywatne, a wręcz tak wykluczające się, ale fakt jest faktem: zgodziłem się. Moja miłość do Soledad była jedyną słodką wonią, jedynym kwiatem w totalnej pustce mego życia uczuciowego. Nie byłem w stanie znieść myśli, że mógłbym stracić żonę. (Ostatnie zdanie powinieneś chyba usunąć, jest po prostu żenujące).

Co się tyczy zdrady, uważam, że nie jest obrazą dla pamięci zmarłych ujawnienie ich występków popełnionych z miłości, nie uznaję jednak za konieczne podawanie bliższych konkretów na temat tego „zwykłego dnia w tygodniu”, który w mojej wyobraźni pozostał szary, słotny, paskudny, zapewne dął mistral...

– Cóż, Mao, mnie też nie przekonuje – rzekł Forest, rozprostowując w fotelu zmęczone plecy. – I co gorsza: wcale mnie nie śmiesz.

Przez otwarty balkon do środka wpadła chyżo osa, zrobiła spiralę nad głową pisarza, przesybowała przez cały pokój i ścigana przez psa wyleciała na korytarz.

Podnosząc okulary na czoło jedną ręką, drugą Forest wyszarpnął papier z underwooda. Położył go z boku, obrysował jakiś akapit czerwonym kółkiem, załadował kolejną kartkę do maszyny, przekręcił wałek i czekał. Gdy zapalił papierosa, jego oczy ciężkie jak z ołowiu odkryły, że w popielniczce pali się już jeden: dymił spokojnie, nietknięty i obcy. Forest poczuł, jak w jego piersi narasta zdwojoną falą napad kaszlu.

Uśmiechając się pod nosem, przyznał przed sobą samym, że bynajmniej nie chciał zatajać szczegółów dotyczących owej irrealnej zdrady: pewne skrywane pragnienia przedzierzgnęły się już w twarde jak skała obrazy pamięci nader grabieżczej (a tym razem również szaleńczo swawolnej: naga Soledad Monteys w czerwonym berecie nasuniętym na brwi maszeruje na czworakach po łóżku, z porcelanowym tyłkiem wypiętym w górę, i zdyszany głosem podśpiewuje *Góry ośnieżone*<sup>44</sup>, wdrapując się na owłosione męskie nogi), jednak te ucieszne sny o zemście małżeńskiej nie mieściły się w surowych ramach autobiografii...

Przepracowawszy intensywnie cały poranek nad nową wstawką, Forest widział przed sobą stertę retorycznego szmelcu. Moralne alibi, wciąż nie dość przekonujące, zniknęło pogrzebane pod masywnym fundamentem teoretycznym, który unieść miał całą konstrukcję narracyjną, ale się zawalił. Paradoksalnie pośrodku ruin wznosił się nienaruszony i obsesyjny obraz Soledad Monteys w czarnym bujanym fotelu pod kwitnącym migdałowcem pewnego słonecznego zimowego poranka, na krótko przed apokryficzną zdradą, w momencie gdy odwraca głowę i uśmiecha się do Joségo Maríi Teya, stojącego przy sztalugach i uderzającego pędzlem w wysokie, ubłocone buty jeździeckie: przebłycki dawnego, pogrążonego w głębiach wspomnienia, z którego teraz z bulgotem dobywały się gesty i słowa z tamtego dnia, nadciągający mistral, zamęt w ogrodzie, płatanina na wpół zatartych ścieżek w trawie, bezlistny krzew róży... Mówię o rzeczach, których nikt nie pamięta, którym nikt nie zarzuci

---

44 *Góry ośnieżone* (hiszp. *Montañas nevadas*) – pieśń falangistowska.



falszu. Wiele lat temu, kiedy byłem dzieckiem, ścieżki te były wysypane piaskiem i kreśliłem na nich arabeski.

Przeprowadzając retrospektywną kosmetykę tych dobywających się z głębin gestów i słów, uznał, że kochanek bez twarzy mógł i powinien mieć twarz – oczywiście twarz zmarłego i że będzie to twarz Teya. Czyż przed wojną Sole i Tey nie byli parą? Szczegółik bez znaczenia, który jednak czynił całość diabelnie wiarygodną.

Archiwa pamięci wizualnej Foresta pełne były obrazów ich obojga w tym domu, które mógł bezkarnie wykorzystać jako swego rodzaju podpowiedzi, rozstawione w strategicznych miejscach tekstu: na przykład długie spacery plażą, na które chodzili, trzymając się za ręce, nieplanowane wypadki na wzgórze w poszukiwaniu szparagów, przejażdżki konne do Bellvei lub L'Arboç starą drogą Cubertera, wówczas jeszcze bez asfaltu (ubłocone buty!), albo wieczory przy kominku, podczas których dzielili się niedopowiedzianymi zwierzeniami i pieczonymi ziemniakami, patrząc na siebie wzrokiem odbijającym romantyczne roziskrzenie czasu, dogasający żar narzeczeństwa, które wojna obróciła w popiół. Przypomniał sobie, że pewnego razu widział ich głowy pochylone ku sobie nad teczką Chemy z szablonami do wyszywanek, jego dłoń spoczywającą na jej karku, badającą może ciepły jedwab... Przed wszystkim jednak widział ich, jak siedzą na krawędzi łóżka, ubrani na niebiesko po powrocie z oficjalnego przyjęcia wieczorem któregoś osiemnastego lipca, kiedy to Sole zaprowadziła Teya na górę do sypialni, by pokazać mu wspaniałą kapę zrobioną na szydełku przez jedno z jej dziewcząt i podsunąć mu pomysł – on lubił takie zabawy – odgadnięcia wzoru z zamkniętymi oczami, samym dotykiem; widział palce wielkiej brązowej dłoni, które ostrożnie przesuwały się po kapie, rozpoznając radosne desenie (gwiazdy, strzały i róże), aż niespodziewanie natknęły się na krzepkie kolana Soledad, które, raptownie rozpalone, wystawały spod plisowanej sukni...

Chociaż tę toksyczną całość perfidnie zmanipulował, jej części składowe były prawdziwe. Mimo to śmiały poszukiwacz przeszłości stanął w progu, powstrzymując się od wejścia do środka i szyderczego uśmiechu: oddałby wiele, gdyby tylko mógł rozgrzać to łóżko jakimś wyuzdaniem, nadać improwizowanemu kochankowi takie prerogatywy, za pomocą których, jak niegdyś sobie marzył, przekłuje nabrzmiały mroczną mściwością wrzód małżeński (na przykład krewkie wejście w Sole Monteys od tyłu, z nieodłącznym afrodyzjakiem w postaci czerwonego beretu i burzy niebieskich spódnic, oznak i wyszywanek, a następnie skłonienie jej do aktu fellacji, również w berecie, skutkującego u niego stanowczym wzwodem), jednak ponownie odpędził psotne prywatne duszki i zajął się obmyśleniem obrazu.

Niezbitym dowodem zdrady miał być bowiem obraz olejny przedstawiający Soledad w ogrodzie. Tey miałby rozpocząć go jeszcze tego samego dnia, przerwać pracę na krótko sądząc po rozbuchanej orgii płomiennych kolorów – przed owym incydentem i ostatecznie nie dokończyć go. Foresta od zawsze podniecały takie sekretne i w gruncie rzeczy kompensacyjne zestawienia: w jakiejś zatechłej kieszonce pamięci nagle dzwoniły klucze logiki. Na przykład krzyżyk plastra, który dzień wcześniej widział na czole Teya, ostatecznie świadczyć będzie (bezbronny czytelnik dowie się o tym dalej) o tajemnej schadzce z Sole w domu w Calafell: ranę spowodowała nie zbłąkana kula zamachowca anarchosyndykalisty, lecz sitko prysznicowe w tym właśnie domu, i to właśnie tego „zwykłego dnia w tygodniu”; stare, źle przykręcone, postanowił Forest, oderwie się pod ciśnieniem wody i uderzy w rozpalone wciąż czoło kochanka, to zaś wytłumaczy plamki krwi na krawędzi wanny, których Teda przypadkiem nie zmyła do końca i które Forest odkryje...

Z koktajlu tego rodzaju intuicji wyłonił się pomysł na obraz. Na początku zrodził się jako zwykły element narracyjny, którego zadaniem miało być zagęszczenie nastroju i uwiarygodnienie intrygi, ale gdy zaczął go opisywać, nie mógł się oprzeć pokusie, by użyć go jako narzędzia szyderstwa: zawsze drażniło go pompatyczne malarstwo Teya.

Wyobraził sobie bluzgi zieleni i ochry układające się w ogród widziany z niemożliwej perspektywy, jakby malarz ustawił sztalugi w pokoju gościnnym, obecnie zajmowanym przez Marianę, którego okno stanowiło naturalną, romantyczną ramę z czerwonych bugenwilli. Z tego idealnego ustawienia nie było widać głębi ogrodu, z pobielonym murem i bluszczem, niebieskimi liliami i geranium, a mimo to, zgodnie z irytującym zwyczajem Teya, wszystkie te elementy zostały przedstawione na obrazie w sposób konwencjonalny, przejrzysty i pedantyczny, za kwitnącym migdałowcem, pod którym siedząc na bujanym fotelu obok śliwkowego kufierka z lekami, Soledad robiła na drutach niebiesko-czerwony szalik.

Forest informował czytelnika o wątpliwej przyjemności oglądania na tym obrazie paru prawdziwych liści bugenwilli (przypomniawszy sobie, że w tamtych czasach Tey zaczynał uciekać się do różnych działających na nerwy trików, między innymi do wklejania autentycznych listków w namalowane listowie, niewątpliwie poinstruowawszy się u znajomego krytyka sztuki, skończonego tępaka), jak również wełnianych nitek, miodu pszczelego, niedopałków i innych durnowatych dowodów jego beztalencia, niezdolności do odzwierciedlenia prawdy i życia.

Mimo to, być może chcąc złagodzić nieco surowość sądu, a jednocześnie podbudować własną teorię, nie skąpił pochwał dla migdałowca – rozpościerającego się nad nieprawdziwą cudzołożnicą i jej prawdziwą robótką – namalowanego z pokorną werwą, którego obficie ukwiecone gałęzie, naiwne rozbryzgi truskawek ze śmietaną, z jakiegoś dziwnego powodu były najbardziej realistycznym elementem obrazu.

Pół godziny później koktajlowy pamiętnikarz zszedł na dół z piwem w ręce i pogwizdując wesołą melodyjkę, wyszedł do ogrodu. Był z siebie zadowolony. Z okna pokoju Mariany dobiegły go wymowne odgłosy krzątaniny Tecli i miotły uderzającej o meble. Dopiero co minęło południe, słońce stało wysoko. Na mokrej trawie obok ręcznika jego młodej krewniaczki wił się zmijowato gumowy wąż, sącząc z pyska strużkę wody. Forest poszedł dokręcić kurek, potem stanął pod migdałowcem z ręką wspartą na pniu. Starając się widzieć go takim, jak dawniej, spojrzął na mur, na którym widmo bluszczu pięło się jak kiedyś, w narożnik zarośnięty niebieskimi gnijącymi liliami – one także trwały dłużej niż pogodne dni – na postrzępiony sznur huśtawki zwisający z sosny, na łódkę dogorywającą w trawie... Wtedy, niemal pięćdziesiąt lat temu, jego ojciec, zapewne z rozczuleniem w niebieskich oczach, malował dla niego tę łódkę, którą w tamte dalekie niedziele wypływał w morze łowić w ciszy i spokoju... Tuż przed oczami Foresta spadł z migdałowca dość szybko jaskrawozielony liść. I wtedy nagle przestał wyczuwać dłonią ciepłą bruzdowatość pnia, nagle wydało mu się, że opiera się o pustkę.

Coś w tym idealnym krajobrazie nie pasowało, coś nie było na swoim miejscu. Podniósł wzrok, ujrzał nad sobą gęste zielone gałęzie i wtedy do niego dotarło. Co za nonsens! Migdałowce nie kwitną w październiku, tylko w lutym, tak więc przepyszna artystyczna eksplozja światła, którą tak wspaniałomyślnie obdarzył malowidło Teya, pochodząca rzekomo z początków 1948 roku, była horrendalnym błędem.

Zdecydowany uszanować przynajmniej prawa przyrody, już chciał wracać do gabinetu i zmienić datę albo opis migdałowca; ale niemal natychmiast, uśmiechając się ironicznie,

postanowił zostawić wszystko bez zmian. Czyż beczasowy i romantyczny styl biednego Chemy nie polegał na malowaniu rzeczy nie takich, jakie były, lecz takich, jakie być miały?

Odwrócił się i zobaczył psa, który wychodził z domu i dreptał ku niemu z nową zdobyczą w zębach. Zatrzymał się jakieś pięć metrów od pana, podkulił ogon i spojrzał na Foresta smętnymi żółtymi oczami. Ten zaś, jeszcze zanim podszedł do psa i wyjął mu owo coś z pyska, wyczuł zgubne okoliczności, pulsowanie zagrożenia. Był to różowy kartonik, pognieciony i upstrzony wiekowymi gówienkami much, z zielonym napisem „digitoksyna”. Zawierał czterdzieści pigułek po 0,1 miligrama. Wyblakłymi literami, które kiedyś były czerwone, wypisana była na nim nazwa apteki w Barcelonie i data: siódmy października 1948.

Niepozorność kartonika wprawiła go w większe zakłopotanie niż samo znalezisko; niewyjaśniona ekspansja przeszłości, ów potajemny rozkwit pamięci – nawet jeśli, jak w tym przypadku, była to pamięć na opak: czyżby znowu specyfiki, które jego ojciec zażywał na krótko przed śmiercią? – wyolbrzymił w jego świadomości rozmiary i wyjaskrawił barwę tych maleńkich pastylek, stwardniałych i czarniawych, które, osłupiały, trzymał w otwartej dłoni.

Mariana przeglądała książki wuja stojące na regałach w korytarzu na piętrze. Sporządziła notkę bibliograficzną do reportażu, w której teraz uzupełniała daty publikacji. Forest pracował w swoim pokoju za przymkniętymi drzwiami.

Gdy skończyła notować, postanowiła skorzystać z okazji i podpatrzeć zwyczajnie pisarza w jego kryjówce. Nie było to szczególnie stymulujące doświadczenie. Widziała, jak zgarbiony i jakoś bezbronny, starczo znieruchomiały w żółtym świetle lampki (po co mu światło za dnia?), czyta kilka razy ten sam tekst, tropiąc rysy w jakimś akapicie. Od czasu do czasu rozluźniał lwi kark i krzepkie ramiona, gmerał za uchem skuwką długopisu albo somnambuliczną dłonią drapał się w kroczu pod rozchylonym szlafrokiem. Parę zmiętych kartek rozprężyło się w wypełnionym koszu, pojękując w ciszy.

Już wcześniej wyobrażała sobie ten pełen zrywów rytuał samotnika, tę tajemną służbę (nerwowe prowizoryczne zapiski na oderwanym skrawku gazety, potem zapomniane gdzieś w kieszeni, odnalezione i odszyfrowane, przepisane do notesu, a w końcu wyrzucone do śmieci), to nagle wstawanie od biurka, aby z nedorzeczną zawziętością wytrząsnąć zawartość popielniczki do donicy z geranium na balkonie, przetrzeć szmatką niepotrzebne już okulary przeciwsłoneczne, przejść się po pokoju, wymachując w powietrzu zgaszoną fajką i zniemacka uchylając się w bok, jakby przed kimś niewidzialnym – lub żeby odratować szklankę whisky zapomnianą na półce, którą znów zostawi na innej, lub też, jak to właśnie ma miejsce, pogrzebać wśród niedopałków w donicy i starannie wybrać najdłuższy, choć, jak zauważyła Mariana, za uchem ma jeszcze całego papierosa.

Gdy zbierała się, by wejść, zobaczyła, jak wyjmując coś z kieszeni szlafroka, kładzie na dłoni i ogląda wzrokiem szaleńca. Potem położył to coś na biurku i usiadł. Były to jakieś pigułki.

– Cześć, wujku! – powiedziała Mariana, otwierając drzwi. Chciałam, żebyś rzucił na to okiem i powiedział, czy ci się podoba... – W ręce trzymała kartkę maszynopisu. Gdy podeszła bliżej, oparła mu się na ramionach i zdjęła mu dla żartu okulary. – Są do patrzenia z bliska czy z daleka?

– Do obu. Oddawaj.

– Wiem, że nie lubisz, kiedy tu wchodzę, ale krótki odpoczynek dobrze ci zrobi. Źle wyglądasz.

– To nie przelewki – powiedział, wskazując pigułki. – Jak się z tego wytłumaczysz?

– Przysięgam ci, wujku, że nie mam z tym nic wspólnego.

– Twoje żarty powoli wyprowadzają mnie z równowagi, mam dużo pracy...

Mariana tupnęła ze zniecierpliwieniem:

– Co jest?! Przestań mnie wkurzać! Ja nic o tym nie wiem. Co w tym dziwnego, że w domu, w którym od lat nikt nie robił gruntownych porządków, pojawia się parę leków cioci? I dlaczego miałby to być żart? Co by w tym było śmiesznego?

Forest nie odpowiedział. Mariana przymilnie pochyliła się nad nim z tyłu i objęła nagimi ramionami.

– Jesteś zmęczony, wujku. Proponuję, żebyś zrobił sobie przerwę i przeczytał to, zgoda?

Rozparty w wiklinowym fotelu, czując w uchu dziki oddech dziewczyny, Forest wziął kartkę i zaczął czytać:

W 1938 roku publikuje swój pierwszy zbiór opowiadań, *Dziennik junkra*. To obiektywne i realistyczne świadectwo czasów, wydane ponownie w 1940 i 1971, przez krytykę zostało okrzyknięte rewelacją (obecnie autor uważa je za swoje najśłabsze dzieło). Krótkie powieści *Zwierciadło w morzu* (1941) i *Listy z Alkazaru* (zmyślona kronika prawdziwych wydarzeń, 1943) zdradzają coraz głębsze zapuszczanie się w fikcję. Obie zyskały wielką popularność. *Drogi Imperium*, napisane w 1941, opublikowane dopiero w 1948, to eseje historyczno-filozoficzne, choć autor woli określać je jako „proste wprawki pisane słabą prozą poetycką”. *Obrona Hispaniad*, napisana we współpracy z Josém Marią Atienzą i wydana parę lat temu, nie znajduje się nawet w osobistej bibliotece pisarza... Tomik wierszy (*Blask i miecz*, 1944), dziś całkowicie zapomniany, kolejne zbiory opowiadań: *Gniazdo karabinów* (1943), *Odkupione miasteczka* (kroniki z Baix Penedès<sup>45</sup>, 1939-1949), *Różaniec z powtórných spotkań* (wspomnienia i lektury z dzieciństwa, 1948), i powieść *Mój dom w odbiciu swych luster* (1934), prawdopodobnie jego najciekawsze i najbardziej reprezentatywne dzieło, choć nie spodobało się ani krytyce, ani czytelnikom. Do 1938 roku w dziennikach i czasopismach specjalistycznych publikuje regularnie obszernie prace – o wątpliwej wartości historycznej – dotyczące życia codziennego w powojennej Hiszpanii i staje się oficjalnym kronikarzem reżimu. Często wyjeżdża z odczytami do krajów hispanoamerykańskich. W roku 1964 pośród ogólnego zubożenia ukazuje się jego ostatnia książka, *Fikcje prywatne* (opowiadania), w której popada w nieokiełznaną, gorączkową konfabulację. Krytyka przyjęła ją bezlitośnie.

– Lista jest niekompletna – rzekł Forest. – Opuściłaś *Hiszpanię jako pragnienie*<sup>46</sup> i *Rejestr zdrad*, obie wydane w 1947.

– Myślałam, że pomijając te bzdury, wyświadczam ci przysługę.

– Nie potrzebuję przysług. Ale zrób, jak uważasz.

Jakiś czas potem zeszli się w kuchni, ona robiła herbatę, on badał zawartość lodówki. Mariana zaoferowała się, że zrobi mu kanapkę ze znalezioną w lodówce szynką i pomidorem. Zgodził się na to niechętnie, jak również na kieliszek zimnego różowego wina, którego nalał sobie z butelki podanej przez Marianę. Niebo nad ogrodem było szare i ciężkie. Mariana obwieściła wujowi z zagadkowym uśmiechem, że zbiera do kolekcji dziwne plotki krążące o nim po miasteczku; zdobyła już kilka od tego dupka aptekarza, paru starych rybaków i samej Tecli.

Zamyślony Forest nie od razu pojął, o czym się do niego mówi.

– ... nie musisz gryźć paznokci, wujku, teraz nie zamierzam ci ich opowiadać – powiedziała, stojąc do niego tyłem i soląc posmarowany chleb. – Powiem tylko, że w pewnym sensie dotyczą twojej bojowej młodości, genialnego małżeństwa i tego, z jaką niezwykłą cierpliwością dorabiałeś się majątku...

– O czym ty mówisz, Mariano?

– O twoim miasteczku.

---

45 Baix Penedès – katalońska nazwa położonej nad morzem części krainy Penedès (zob. przypis na s. 34)

46 *Hiszpania jako pragnienie* (hiszp. *España como deseo*) – aluzja do książki Pedra Laína Entralgo (zob. przypisy na s. 40 i 48) pt. *España comoproblema* (Hiszpania jako problem).

– Znam je i nic mnie ono nie obchodzi.

– Może ci się nie podobać, ale będziemy musieli odwołać się do tego, co gadają ludzie. Poza tym nie wierzę ci. Wszyscy pisarze mają mało szlachetne, typowe dla nich upodobanie do plot i ploteczek, nie zaprzeczysz.

– Nie zaprzeczę.

– A te, które ludzie rozpowiadają o tobie, nie interesują cię?

– Mną nikt się już nie zajmuje, wierz mi, wyszedłem, jak to się mówi, z mody.

– Więc jak wytłumaczysz, że po tak długim czasie wciąż krążą na twój temat pogłoski?

– W sfrustrowanych krajach ludzie mają skłonność do pamiętania rzeczy, które nigdy się nie wydarzyły.

Pociągnął łyk wina, zakrztusił się i odstawił kieliszek.

– A to ciekawe – powiedziała. – Niektóre z tych bajd wyglądają jak brudnopisy albo pierwsze wersje tego, co sam potem napisałeś. Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałabym poświęcić temu zagadnieniu jedno spotkanie. Proszę.

Podawała mu kanapkę, ale on wychodził już z kuchni z rękoma założonymi za plecy, zamyślony.

– Wujku, chodzisz jak naćpany, co ci jest? Weź to.

– A, dziękuję. – Popatrzył na lekką różową nabrzmiałość górnej wargi Mariany, dziecięcego stygmatu niedorostłości, wciąż jeszcze tkwiącego w jej mięsistych, dużych ustach. Resztki zamroczonej świadomości odradzały mu przyjęcie zaproszenia: – Nie interesuje mnie ten temat ani to, co mówią o mnie w miasteczku. Jest mi to zupełnie obojętne.

– Hej, zapomniałeś wina.

– Nalałaś mi octu. Wszystko w tym domu jest do góry nogami.

Z niecierpliwością czekał na zmrok, żeby wyjść z Mao na spacer. Był początek sierpnia, niedziela, i choć niebo całkowicie pokrywały chmury, na plaży roiło się od ludzi, aut zaparkowanych na piasku i rodzin wokół chwiejnych składanych stolików, hałaśliwych tranzystorów, przenośnych lodówek, rakotwórczych samoopalaczy i innych drogocennych akcesoriów. Pod pasiastymi parasolami leżały ciemne ciała obtoczone w piasku i niewidzialnych ściekach. Kołysana falami, dryfowała w przyboju skulona, ranna, może zdychająca mewą. Chłostała ją kijami dwoje na wpół epileptycznych dzieci, zawiadywanych zza kierownicy samochodu przez ojca, który plażowy kretyn – wjechał prawie do morza.

Przechodząc przed ogródkiem L'Espinet, Forest dostrzegł Marianę w towarzystwie znajomych nocnych marków, ale jej nie zawołał. Paru emerytowanych rybaków siedzących na niskim murku przy deptaku powolnym, kolistym ruchem wodnistych oczu, które przyzwyczajenie lub znudzenie zaprawiło sarkazmem, powiodło za wysokimi, zwalistymi ramionami historyka, który oddalał się w stronę fal. Dawno już wyczerpali swoje prześmiewcze komentarze na temat sławnego sąsiada; był już dla nich tylko dalekim współziomkiem, który pewnego dnia wyjechał i wzbogacił się na zawiłym zakręcie oficjalnej historii – dziś niemal cudzoziemiec, samotny przechodzień, elegancko odziany w wyblakłą koszulę khaki, z jedwabną apaszką na szyi, w czarnych okularach i z jesionową laską. Forest nie zauważał ich albo tak przynajmniej udawał. Szedł z woskowymi zatyczkami w uszach, z dumnie naprzężonym kocim karkiem, jakoś wzgardliwie wymownym, jakby przechadzał się wśród obalonych posągów albo zburzonych symboli.

Dziwne zachowanie Mao, który zamiast iść przy nodze, czekał na niego, coś szybującego w grafitowym świetle w nieokreślonym kierunku, piskliwy głos kobiety wołającej jakąś dziewczynkę (tym jałowym, prześladowającym go tego lata imieniem: Vanesa)

na obiad – wszystko to sprawiło, że stanął na piasku jak wryty, zanim doszedł do sanatorium, zdał sobie bowiem sprawę, że to nie wieczór, że zegarek musiał mu stanąć na wczoraj, a jeśli na wczoraj, to prawdopodobnie stanęło też jego poczucie czasu. Nie mogło być później niż trzecia po południu.

I z osłupieniem uzmysłowił sobie – gdy nagle przysło dziwne zimowe zamrożenie uczuć – że wokół niego było lato w pełni.

Wrócił do domu z opuszczoną głową, bojąc się o siebie samego, z przyczajonym częstoskurczem, kulejąc bardziej, niżli trzeba, z postanowieniem zawieszenia spacerów aż do jesieni.

- Prawdziwy majstersztyk.
- Co?
- Wyjmij korki z uszu, wujku, aleś ty męczący.
- Słucham cię.
- Mówię, że ta historia o rogach i krwi na wannie to perełka...
- Kto by podejrzewał ciocię o coś takiego, prawda?
- Phi! Zdarza się w najlepszych rodzinach. Ale dzisiaj porozmawiamy o twoich interesach. Jak na razie nie dotykaliśmy tego tematu.

Przetrzepała pięściami poduszkę i ułożyła ją sobie pod plecami. Ubrana była w kremowy szlafrok, dopiero co wzięła kąpiel i tym razem nie pachniała niczym, nawet mydłem. Na jej twarzy roiły się złośliwe piegi. Półożąc z podniesionymi kolanami tuż przy magnetofonie, obracała w palcach pomarańczowy naszyjnik ze szklanych paciorków.

– No więc słucham. Od czego zaczęła się twoja zawrotna kariera w syndykatach wertykalnych<sup>47</sup>?

- Hm.
  - No, dalej. To prawda, że do dziś figurujesz na liście płac i pobierasz siedemset tysięcy peset jako nieaktywny?
  - Odkąd złożyłem rezygnację w sześćdziesiątym siódmym, nie biorę ani centyma.
  - Pomówmy o twojej funkcji w spółce.
  - Wszedłem do niej na prośbę rodziny. Kuzyn Ramón był ciężko chory i zająłem puste miejsce w radzie.
  - Byłeś jej szefem przez szmat czasu.
  - Nieprawda. Szefował wuj Enrique, Monteysowie z Pampeluny, te pijaki... Ja byłem dyrektorem zarządzającym.
  - No dobrze. Ale nie zaprzeczysz, że twoja obecność w firmie dawała jej praktycznie nieograniczone wejścia na szczeblu oficjalnym. Dobrze wiedziałeś, czemu cię wywindowali na ten stołek.
  - Bardzo dobrze wiedziałem.
  - A ile z tego korzyści ekstra, wujaszku... Rodzinka była bogata że hej: firma perfumeryjna i kosmetyczna, założona przez dziadka, handel nieruchomościami, coś tam z korkiem, papiernia...
  - Wszystkim zajmowali się Monteysowie, a nie niezdarny Forest.
  - A twoje słynne wyrzuty sumienia?
  - Mają się dobrze, dziękuję.
- Mariana westchnęła.

---

<sup>47</sup> Syndykaty wertykalne – charakterystyczne dla faszyzmu związki zawodowe, do których należeli zarówno pracownicy, jak i pracodawcy. We frankistowskiej Hiszpanii wchodziły w skład Organización Sindical Española, jedynej legalnej organizacji związkowej.



– Do dupy z taką robotą. Pewnie w swoich ultrawspomnieniach poświęcisz temu zagadnieniu obszerny rozdział. Mnie to specjalnie nie ciekawi. Myślę tylko, że wcześniej czy później, być może naciskany przez *señorito* Teya, twojego niebieskiego Gadającego Świerszcza<sup>48</sup>, będziesz próbował zrezygnować również z tych kumoterskich układów.

Forest zastanawiał się. Mariana uśmiechnęła się lekko i dodała:

– Jesteś naprawdę czarujący, wujku. Wyciskasz z siebie siódme poty nad maszyną, łamiesz sobie głowę, a po tym wszystkim jeszcze przychodzisz do mnie i pozwalasz się dręczyć wrednymi pytaniami. Kurczę, jesteś kochany.

– To mnie odpręża.

– No właśnie.

– Co ma znaczyć ten jajcarski ton?

– Nic. Może położysz się obok? Nie męczylbyś się tak.

– Nie zmieścimy się.

– Ależ tak. Przesuniemy troszkę Vanesę... O tak, widzisz?

– Obudzimy ją.

– Mocno ją przymuliło. Masz coś przeciwko temu, żeby została na noc?

– Ja nic nie chcę wiedzieć. Ale przykryj ją trochę...

– Może wolisz, żebym sprowadzała chłopaków? Właściwie czasami wszystko mi jedno. O czym to mówiliśmy? A, właśnie, o tym, kiedy cię zaczęło gryźć sumienie.

– Chciałem wystąpić ze spółki w kwietniu pięćdziesiątego trzeciego. – Kładąc się na łóżku i kłamiąc bez większego namysłu, Forest opierał się na łokciu i pewnym prawdziwym wspomnieniu: – Pewnej nocy, w czasie ulewy, kiedy byłem tu z Germánem i twoją matką, przedstawiłem swój zamiar po raz drugi... Germán Barrachina był prawnikiem spółki.

– Wiem. Mów dalej.

– On jeden o tym wiedział i oczywiście nie pochwalał tego. Moja decyzja zagrażała między innymi jego interesom. Twoja matka była w nim już wtedy bardzo zakochana...

– Czekał. Opowiedz mi o tym adwokacie, moim tatusiu.

– Był szalenie sympatyczny. Geniusz intrygi. Kiedy go poznałem, mocno już się panoszył w zarządzie. Wygrał jakąś zawiłą sprawę o patenty, za którą zapłacono mu w akcjach spółki. Tak zaczynał. Tey go nie trawił. To był ten typ małego Nawarczyka, który nie wydaje się mały: z nerwowymi ramionami, fryzurą na jeża i wielką końską szczęką. Miał poczucie humoru, co w czasach niepomyślnych i podłych jest prawdziwym skarbem.

– Niepomyślnych? Wiem, że zarobił i dał zarobić Monteyson krocie.

– Mam na myśli cierpienia, które znosił ze strony twojej matki, i dobro, które jej okazał, kiedy Tey ją zostawił i zaczęła pić. Mari była nie do zniesienia i gdyby nie Germán, sama by się zniszczyła.

Po drugiej stronie Mariany słychać było gardłowe pojękiwania kogoś, kto musiał mieć zły sen, chaotycznie poruszyły się ręce i nogi.

– Chyba powinnaś ją obudzić – rzekł Forest. – Co robiłyście razem?

– Spokojnie, to nic takiego.

– Jesteś bezmyślna. Wiesz, jak skończysz?

---

48 Gadający Świerszcz – postać z książki *Pinokio* Carla Collodiego, będąca „sumieniem” głównego bohatera, który jednak nie słucha jej dobrych rad.

– Wiem, jak ty skończysz. Z marskością wątroby. – Pogładziła czoło przyjaciółki złane potem i nie patrząc na wuja, dodała spokojnym głosem: – Wróćmy do tej ulewnej nocy. Co się stało?

– Zjawili się bez zapowiedzi. Rozpalałem ogień w kominku, drzwi się otworzyły i weszła twoja matka, przemoczona i pijana, z botkami w rękę, przepiękna...

– Mama zawsze ci się podobała.

– Stało się wtedy coś śmiesznego: przyjechałem do Calafell sam na weekend, chciałem popracować, ale w tamtej chwili nie byłem sam...

– No wreszcie: dziwka.

– Nie rób sobie złudzeń. Ale to prawda, ktoś jeszcze spał wtedy w tym łóżku, właśnie tu. – Chciał poklepać pościel, ale natknął się na kolano Mariany albo też śpiącej dziewczyny, a może i własne. – Dla Mari i Germána, którzy wtedy byli jeszcze przed ślubem, było oczywiście czymś niewyobrażalnym, że przyprowadziłem do tego domu prostytutkę, to nie było w moim stylu.

– A to dopiero! Kim była?

Forest dostrzegł ciężkość powiek Mariany i jej podniecenie, niemal obłąkańcze tempo jej palców gniotących szklane paciorki pomarańczowego naszyjnika. Podświadomie wyczuł nową możliwość splotu rzeczywistości i pragnień, ale w tej chwili jeszcze mu się to wymykało.

– Nie pamiętam, jak się nazywała. W każdym razie chciałem porozmawiać z twoim ojcem o wystąpieniu ze spółki... Nie dało się. Ledwie przyjechali, pokłócili się. Podówczas kłócili się bardzo często. Tym razem Germán stracił cierpliwość i nie czekając, wyjechał do Barcelony, zostawiając Mari ze mną. Twoja matka piła przez parę godzin, opowiadając mi o swoim bólu. Upiłem się tak samo jak ona, zupełnie zapominając o czekającej tu na mnie dziwce, a mój problem pozostał nierozwiązany.

– Ale pewnie porozmawiasz o tym z tatą następnego dnia albo trochę później.

Forest przemyśliwał, szukając wyjścia.

– Jasne. Lecz tymczasem coś się wydarzyło.

– Co?

– Czemu nie poczekaś do rana i sama nie przeczytasz? Przygotowuję nową wersję. Kiedy pisałem pierwszą, twoja ciocia jeszcze żyła, a ja nie chciałem opowiadać o paniencie, którą tu sobie sprowadziłem... Teraz, gdy Sole nie żyje, jest mi to obojętne.

Wstał, żeby nalać sobie whisky na dwa palce, tyle, ile zostało w butelce. Do wewnętrznej ścianki naczynia przykleiły się dwa skrzyżowane listki mięty. Wszystko już obojętne, mruknął sam do siebie. Ta druga wersja niejasnego incydentu nie zawierała z początku najmniejszego odstępstwa od prawdy, żadnej alchemii pragnień, za której sprawą jedna rzecz mogła stać się inną; teraz jednak z nagłą jakąś dawną wizją szwagierki pochodząca z tamtej nocy i do dziś obdarzana szczodrymi pieszczotami w chwilach roznamiętnień bezsennego, sklerotycznego starca (szał i jedwab mokrych piersi, dogodna samotność przy kominku, pijaństwo, podniecające zwierzenia i przytulna ulewa) domagały się, by w jakiś sposób zmienić bieg wydarzeń.

– Sądzę – dodał Forest, grając na zwłokę, kiedy znów usiadł na łóżku – że moja mała przygoda z kurewką bardziej cię zaciekawi. Jeśli chcesz, możemy o tym porozmawiać.

– Dlaczego ona spała, kiedy przyjechali? Już ją wtedy przeleciałeś?

– Nie. Znalazłem ją w jakimś barze w Sitges, nigdy przedtem jej nie widziałem... Zaraz, właśnie podsunęłaś mi pewien pomysł. Zmienię ją w starą znajomą, w tę śmieszkę Lali Verę z Zespołu Pieśni i Tańca.

– A to świństwo! Biedna dziewczyna.

– To kolejna *licentia poetica*. Zdaje mi się, że zawsze pragnąłem zobaczyć Lali jako kurewkę. Dziwią cię takie zestawienia? To kara wymierzona rzeczywistości. Jakkolwiek by na to spojrzeć, na tym polega praca powieściopisarza.

Mariana zapaliła skręta i poluźniła szlafrok.

– Mama się dowiedziała? Widziała ją?

– Twoja matka została tu na noc. Poszła spać bardzo późno i bardzo pijana, a mnie zostawiła w jeszcze bardziej opłakanym stanie: kiedy wstałem, ledwo się trzymałem na nogach...

– Coś nie tak, wujku?

Forest podniósł okulary na czoło i utkwiał wzrok w pustce, jakby w niej czytając.

– Zastanawiałem się właśnie... Gdzie spała twoja matka? Pewnie u góry. A tu w tym łóżku czekała na mnie ta dziwka. Potrafisz sobie wyobrazić, że idąc spać, mógłbym pomylić pokoje? Jakie to by mogło mieć skutki...?

Mariana, spowita w aromatyczny obłok, patrzyła kpiąco na wuja.

– Uważaj, wujku, alkohol pozwala ci zbyt łatwo łątać dziury, a dźwięczność fraz łączyć na chybił trafił odgrzewane zdarzenia.

– Bo ja wiem. Człowiek ma słabą pamięć... w moim wieku.

– Hej, obudź się! Chcesz jeszcze łyczek? Na półce przy oknie stoi nienapoczęta butelka... Przynieś.

– Nie, tak czuję się świetnie.

Mariana wyjęła mu szklankę z ręki i wyskoczyła z łóżka, poprawiając na sobie szlafrok. Biurko było przysunięte do okna, maszynę do pisania oblewało widmowe światło.

– Jaka była mama, kiedy miała trzydzieści pięć lat, w jej złotych czasach rozwiązłości i aborcji?

– Prześliczna. Do dziś zatrzymałem w pamięci jej obraz, który mnie prześladowuje.

– No to go wypuść.

Gdy sięgając po butelkę, schyliła się nad stołem, w półmroku ukazały się jej pośladki, zarysowane pod ciasno opiętym szlafrokiem. Kiedy się odwróciła i nalewała whisky do szklanki, pas zsunął się jej na biodra.

– To dosyć osobista sprawa, moje dziecko.

Pojawienie się paru centymetrów ciała wywołało rosę na jego szklach. Udo Mariany wydawało się teraz wyłaniać z przeszłości zbudowanej przez przypadek, potem przekształconej przez konieczność, a w końcu zrekonstruowanej przez pragnienie. Dziewczyna, zamiast podać mu szklankę, stanęła przed nim, patrząc nań z szelmowskim uśmiechem. Wnosząc z tego, co niejasno podpowiadał mu instynkt, Forest zdał sobie sprawę, że jej ciało już nigdy nie będzie miało tyle wdzięku co w tej chwili – kiedy niespiesznie wysuwa nogę do przodu i bierze łyk ze szklanki – i proces amalgamacji powtórzył się: widział na nowo kurwę, teraz posiadającą tożsamość (sokoli profil i drapieżną zalotność Lali Very, wybranej i ostatecznie zatwierdzonej), jak u dołu schodów, z włosami mokrymi po kąpieli i luźnym pasem szlafroka, prosi o miejsce w jego łóżku, bo boi się burzy. Zakłócały tę wizję lustrzane drzwi szafy w najciemniejszym rogu pokoju, otwierając się same z siebie ze skrzypieniem... Ale głos Mariany przywrócił mu poczucie rzeczywistości.

– Proszę – podała mu szklankę, wskoczyła na łóżko ze skrzętem w ustach i z kocim mručeniem, wślizgnęła się między wuja i przyjaciółkę i usiadła z rozszerzonymi nogami. – A teraz, jeśli łaska, ukochany obraz mamy.

– Będziesz rozczarowana. Widzę ją bosą, z włosami ociekającymi wodą, stoi u dołu schodów z zadrapanymi kolanami, poprawiając na sobie biały szlafrok uplamiony winem i popiołem.

Inne wizje, niewątpliwie mniej miłe, zapełniały zamgloną świadomość koleżanki Mariany, która wydawała teraz urywane jęki i machała rękoma w powietrzu. To nic takiego, powiedziała Mariana, ja się nią zajmę, chwyciła dłonie dziewczyny i czule zbliżyła je do swoich policzków. Forest zauważył, że dziewczyna jest bardzo młoda, i jej drżące w mroku ciało, napięcie mięśni w okolicy pępka i wydawane przez nią spazmatyczne odgłosy w pewien sposób wzmogły owo skryte pragnienie, pracujące w jego wnętrzu na rzecz odnowienia utraconych, nieskonsumowanych doznań.

– Pamiętam też, że tamtej nocy – mówił – twoja matka i ja byliśmy o krok od popełnienia poważnego głupstwa. Ona tego pamiętać nie będzie, to jasne... No, pójdę już – dodał, wstając. – Przerażają mnie te twoje niewinne koleżaneczki.

– Poczekaj chwilę. O jakim głupstwie mowa? Sugerujesz, że kładąc się spać, naprawdę pomyliłeś pokoje?

– W tym przypadku na jedno wychodzi. Był ktoś, kto tak myślał, przez co byłem zmuszony po raz kolejny zmienić plany...

– Kto tak myślał?

Stojąc już w drzwiach, Forest obrócił się:

– Germán Barrachina. Twój ojciec. Ale o tym porozmawiamy jutro.

## Rozdział XXXVIII

Czytelnik zwracający uwagę na upiększające prozę słowne błyskotki, pamięta być może pewien krągły zadek, który, spowity w czerwony obcisły strój i upstrzony sosnowym igliwem, wcześniej zaś kołyszący się na dziecięcej huśtawce, wniósł nieco pogody w ostatnie sceny pełnego napięcia rozdziału XXIII. Ta dziewczyna ma całą przyszłość za sobą, wieszczęłem wówczas. Mimo to nigdy nie poznałem innej kobiety równie autentycznie gotowej wyjść za mąż za byle kogo i byle jak. Uważam, że winienem dodać tu parę słów na temat Lali Very.

Poznałem ją przypadkiem, jak i pozostałe dziewczyny z Zespołu Pieśni i Tańca, pod koniec 1949 roku na pokładzie Monte Ayala w trakcie ich *tournée* po Ameryce Południowej. Oficjalnie pracowałem jako korespondent pewnego madryckiego dziennika, ale w rzeczywistości zrobiłem sobie wakacje. (Szkoda, wujku, że nie wspominasz tu, choćby pobieżnie, tych egzaltowanych kronik z Indii, które słałeś do tego pisma, tych wyczelowanych ojczyznianych peanów na cześć piasów „naszych Hiszpaneczek” w strojach ludowych). Podczas rejsu do Ameryki efektowna Granadyjka ostro flirtowała z pewnym znanym dziennikarzem o artyleryjskim piórze i koszarowym języku, który do dziś strzela z bastionów „El Alcázar”<sup>49</sup>. Ciasno opięte falbaniastymi strojami, jej wydatne pośladki będą potem siać zniszczenie w męskich sercach w Buenos Aires, Panamie i Santo Domingo. W drodze powrotnej, na krótko przed przybiciem do portu w Bilbao, zaskoczono ją w toalecie w ramionach młodego pracownika spółki armatorskiej Aznar, za którego wyszła po czterech miesiącach. Od tego czasu ani ja, ani moja żona nie słyszeliśmy nic więcej o tej transatlantyckiej gwiazdzie.

Traf chciał, że cztery lata później, wieczorem 7 kwietnia 1953, wpadam na ten obsyty tanim aksamitem klejnot w małym zatłoczonym barze w Sitges, przed którym zatrzymuję samochód w drodze do Calafell, by napić się kawy i wziąć aspirynę. Ledwie wszedłem do środka, rozpoznaję ów jędrny zadek, który kieruje się właśnie w stronę baru: nie mniej wydatny, aczkolwiek kołyszący się z większym, bardziej profesjonalnym wycuciem. Nie do końca była to już nasza Lali; bez dawnego ognia we włosach, z cerą jakby przybrudzoną, z jakimś takim tupetem. Ale to wszystko nie ma w tym miejscu znaczenia...

Powracam tu pamięcią do pewnego ciągu zdarzeń, który ostatecznie opóźni moje odejście ze stanowiska w spółce, a którego pierwszy element jest taki: Lali Vera tuż przy kontuarze z wylewnością wiesz mi się na szyi, ocierając się o mnie brzuchem z flegmą ekspertki, jest podenerwowana, po rozstaniu z mężem, i słuchaj, przystojniaku, nie mogłeś zjawić się w

---

49 „El Alcázar” – prawicowa gazeta wydawana w latach 1936-1988. Zamierzona tu gra słów odnosi się do obrony twierdzy Alcázar w Toledo przed wojskami republikańskimi w 1936 roku, która urosła do rangi symbolu.

lepszym momencie... Jakiś facet wystawił ją tu do wiatru, nie ma pieniędzy, dachu nad głową. Leje jak z cebra, a ostatni pociąg do Barcelony już odjechał. Zgadzam się zabrać ją ze sobą do Calafell (Sole i dzieci są w Pampelunie), ale pod warunkiem że zniknie wcześniej rano, zanim w domu pojawi się Tecla.

W aucie opiera mi głowę na ramieniu i opowiada o małżeńskich niedolach i pierwszych krokach stawianych na ulicy. Niezdrowy zapach jej farbowanych włosów przyprawia mnie o mdłości i irytuje.

Po dotarciu na miejsce ona zdejmuje płaszcz, a ja rozpalam ogień.

– Jeśli chcesz, to ci się odwdzięczę...

Kiedy się uśmiecha, z delikatnego cypelka jej orlego nosa coś porywa się – jeszcze – do lotu.

– Idź spać, późno już.

– Nie czekać na ciebie?

– Nie. Mam dużo pracy.

Z surową oszczędnością ruchów odkręcam skuwkę z pióra, otwieram teczkę i poprawiam ostatni rozdział książki *Mój dom w odbiciu swych luster*. Rozkładam na części długie, zardzewiałe zdanie i próbuję złożyć je na odwrót: przestało zgrzytać, ale znaczy już coś innego.

Parę minut potem Lali wraca do salonu i prosi, bym pozwolił jej spać w mojej sypialni na górze. Jest bosa, ubrana w znaleziony gdzieś biały szlafrok.

– W tamtym pokoju się boję.

Na dworze wzmaga się ulewa i grzmi. Dałem jej pokój gościnny na dole, z oknem wychodzącym na ogród. Mówi, że boi się błyskawic. Na chwilę przystaje przy kominku, nie wiedząc, co począć, i odchodzi. Zaraz potem słyszę kroki jej bosych stóp w łazience na górze, rżenie rur i wodę uderzającą o wannę. Dalej, w samym środku tego przekłętego, pokawałkowanego zdania, do niczego już pewnie niezdatnego, Lali pojawia się znów, u dołu schodów, z włosami ociekającymi wodą i z rozchylnym szlafrokiem. Liczę na to, że zażywszy wzmacniającej kąpieli, wróci do swojego łóżka. Ale nie rusza się z miejsca, patrzy na mnie.

– Co znowu, do cholery?

– Proszę cię, pozwól mi spać w twoim pokoju.

– Nie.

W takim razie, mówi, mógłbym przynajmniej zaproponować jej kieliszek; obiecuje, że nie będzie przeszkadzać. Powoli wysuwa do przodu nogę, ale parę centymetrów nagiej skóry mniej czy więcej nic nie zmieni. Wpadam na pomysł, żeby dosypać jej do wina środka nasennego. Pije nerwowo, rozlewa, ale nie przeszkadza mi w pracy. Zostawiam zdanie bez zmian, z wszystkimi jego niedociągnięciami i chropawą urodą. Przed ostatecznym odejściem Lali błaga po raz ostatni, żebym pozwolił jej położyć się w moim łóżku na górze. Przez moment zastanawiam się nad odpowiedzią i w tej chwili, może odrobinę później – nie pamiętam, czy zdążyłem już stanowczo odmówić – otwierają się szklane drzwi i wpada na mnie szwagierka Mariana, kulejąc i śmiejąc się, przemoczona do suchej nitki, z zadrapanymi kolanami i butelką riojy w dłoni. Za nią, wyraźnie niezadowolony, Germán Barrachina, który tłumaczy się:

– Mówiłem jej, że będziesz zajęty pracą, mówiłem.

– Zapraszam... Mariano, przewróciłaś się?

– Gdzie masz korkociąg?

Stwierdzając z ulgą, że Lali na czas zniknęła w swoim pokoju – to cud, że jej nie widzieli – pomagam Marianie, która wyciągając z szafki kieliszki, mamrocze, że przejeżdżali tędy w drodze do Salou, gdzie „ten kretyń zamierza mi się wreszcie oświadczyć”. Germán podtrzymuje ją.

– Mari, proszę cię...

– Cicho siedź, pajacu.

Obsunięte pończochy, but bez obcasa, mokre włosy na twarzy. Ubrana jest w czarną sukienkę na ramiączkach, z mocnym dekoltem, a na jej pięknych, kościstych ramionach widać tę niemal podłgą patynę niepolerowanego brązu, już wtedy stanowiącą tajemną erotyczną podstawę, na której budowałem postacie bohaterów moich utworów. Jest bardzo pijana i Germán ją strofuje. Wszystkie moje obawy, którymi jak pamiętam, podzieliłem się z Germánem, gdy zostawił ją Chema, teraz się potwierdzają: jej bezmyślne picie, jej rozpustne noce, jej przelotne i przygnębiające przygody... Jedynym mężczyzną zdolnym ją podtrzymać, wyrzucić na nią dobroczynny wpływ, jest właśnie ten chytry adwokat; bez niego będzie zgubiona i Mari o tym wie. Jest bardzo zakochana w Germánie Barrachinie (Nie tak bardzo. Jak sama mi wyznała, mamę w tym panu pociągało coś plebejskiego czy też łotrowskiego, jak sugerowało jego nazwisko) i właśnie to jest przyczyną jej straszliwych depresji. Stosunek Germána do mojej szwagierki jest mało entuzjastyczny, wynika bardziej z pobudek erotycznych niż sercowych; kochają na swój sposób i jest wobec niej cierpliwy, ale zachowuje dystans. To błędne koło: uprzedzenia i niezdecydowanie Germána pozwalają Marianie na samowolę, a jej samowola jest powodem niezdecydowania Germána.

– Człowieku, na co jeszcze czekasz? – żartuję szeptem. Ożeń się z nią, nie możecie żyć tak dalej.

– Moje obecne zarobki nie starczą nawet na wermut.

– Cynik z ciebie. *À propos*, musimy pogadać o pieniądzach. Mam nadzieję, że spółka przyzna mi jakąś odprawę...

– Wciąż chcesz z niej wystąpić? Nawet o tym nie myśl. Jesteś mi teraz potrzebny jak nigdy przedtem.

– Przykro mi, kolego. Najbliższe walne zgromadzenie będzie moim ostatnim. Potrzebuję więcej czasu na pisanie...

– Gadanie. Masz dosyć czasu. Sprawa jest do przedyskutowania.

Udzielam odpowiedzi godnej mych na wskroś błękitnych ideałów:

– Przedstawiłem ci decyzję, nie propozycję pod dyskusję.

Zbladł jak ściana. Wiem, że ostatnio szedł na całego, dążył do podwyższenia kapitału, bardzo potrzebnego i bardzo ryzykownego dla niego i całej spółki, i że moje możliwości w Madrycie grają tu kluczową rolę. Nie pozwoli mi zostawić go teraz na lodzie.

– Nie możesz mi tego zrobić, Luys...

– Pewnie, że może – wtrąca się Mariana. – Nie wszyscy myślą tylko o tym, żeby się dorobić, jak ty.

I dorzuca jeszcze jakiś dziwaczny komentarz, coś w stylu: pieniądze są ci w życiu prezerwatywą, jeśli mnie pamięć nie myli. Adwokat odwraca się z wściekłością i po raz nie wiem który będę świadkiem sceny, którą znam na pamięć: tracąc panowanie nad nerwami, Germán grozi jej, że ją rzuci, ona go do tego zachęca, a on tak właśnie czyni, nie żegnając się nawet ze mną, trzaskając drzwiami.

Prawdę mówiąc, bardziej jest zły na mnie niż na nią. (To ciekawe, wujku, że kiedy mama opowiada o tej awanturze, wiąże ją tylko ze swoim permanentnym i programowym dążeniem

do urznięcia się, a ty za to – ze swoimi wiecznymi problemami sumienia. Może to ani jedno, ani drugie?) Nie zrobiłem nic, by temu zapobiec. Byłoby bardziej po mojej myśli, gdyby Mariana poszła razem z nim, zamiast zostać, żeby pić i wyżalać mi się godzinami. Luys, czemu ta szuja mnie nie kocha? – pyta mnie z maniackalnym uporem. Skończywszy wino, zabieramy się do koniaku. Mari rozpacza przede mną cały bałagan swojego życia, swoich przypadkowych i głupich kochanków, swoje awantury z siostrą i Germánem, swoje aborcje i sponiewierane kolana.

Moja szwagierka ma wówczas trzydzieści pięć lat i jest kobietą wyjątkowej urody i talentu, zdradzającą niebezpieczną, lecz podziwu godną predyspozycję do sentymentalności i znajdującą się w ciągłym konflikcie z wpojonym jej wychowaniem. Wspomniałem już wyżej o powściągniętych uczuciach, które żywiłem wobec niej od dawna, i nie muszę tego w tym miejscu powtarzać. Tej nocy ona szuka i potrzebuje czegoś więcej niż alkoholu i rozgorączkowanych rozmów o tym, w jakim umysłowym zaburzeniu są nasze łóżka, jak zachwiane jest jej poczucie własnej wartości, aborcji nie pomijając szuka i potrzebuje przyjaznego ramienia, na którym mogłaby oprzeć głowę (Intryguje mnie ta twoja skłonność do łączenia lirycznego spazmu z aborcjami mamy. Musimy o tym porozmawiać, wujku).

Obiecuję jej, że skłonię Germána, żeby się ożenił, przekonam go, zmuszę... Obejmuje mnie i wstaje, zataczając się, zamierzając iść spać.

– Ja jeszcze trochę posiedzę – mówię, jękając się. – Poprawiam tu właśnie...

Widzę, jak kieruje się w stronę pokoju gościnnego i resztkami jasnego umysłu udaje mi się wydukać pytanie, czy nie robi jej różnicy, jeśli będzie spać w moim pokoju na górze. Cofa się, pół zdziwiona, pół rozbawiona, i pyta dlaczego. Mówię, że nie powinna się niczego obawiać, że ja będę spał na dole. Ale najwyraźniej nic nie rozumie. Widząc, że nie ma innego wyjścia, mówię prawdę:

– W tym pokoju jest prostytutka, a inne się nie nadają.

Śmieje się i tuż przed moim nosem grozi mi palcem. W porządku, nicponiu, idę na górę, mówi i wykonawszy w tył zwrot za kanapą, wchodzi po schodach z butelką w ręce.

Nawet dziś mógłbym przysiąc, że ni razu stamtąd nie zeszała, że tej przeklętej nocy naprawdę nie ujrzałem jej więcej pod jakąkolwiek cielesną ani urojoną postacią, którą moje oczy umiałyby dostrzec lub choćby wyczuć. Mimo to moje zachłanne źrenice miały na zawsze zatrzymać obraz Mariany stojącej u dołu schodów, bosej, w białym szlafroku poplamionym winem i popiołem. A razem z nią pamiętam zaległą w domu ciszę i szum morza kołyszającego mojego narastającego kaca. Nie mam pojęcia, ile minęło czasu i czy zasnąłem. Widzę Marianę przykucniętą przy kominku, znów z kieliszkiem koniaku w ręce i z rozpiętym paskiem szlafroka. W ustach ma niezapalonego papierosa i grzebie szczypcami w żarze. Przypominam sobie z tamtego półsnu jej kolano dotykające podłogi, wewnętrzną, bladą część uda i skupienie na twarzy, kiedy chcąc zapalić papierosa, dmucha w palenisko, by znieacka odwrócić się w moją stronę i wybuchnąć nagłym śmiechem jak biczem.

Próbuję zareagować – Zapałki masz na stoliku nocnym, powiedziałem chyba – ale jej już nie ma. Wiele godzin później, jak się zdaje – w kominku został tylko popiół – ja także postanawiam się położyć, lecz w stanie jakże opłakanym. Kładąc kres konwulsyjnemu ciągowi idiotyzmów – rozebranie się w kuchni i włożenie butów oraz ubrania do lodówki nie były z nich jeszcze najgorsze – którego po blisko dwudziestu pięciu latach wciąż nie potrafię uporządkować, nawet uciekając się podstępnie do próby zamknięcia go w tym oto niedoskonałym rytmie słów, wchodzę do pokoju, w którym głębokim snem śpi Lali. Okno



wychodzące na ogród jest uchylone, wciąż pada. Z rozpaczliwym pośpiechem odnajduję po omacku łóżko, odkrywam prześcieradło i zagłębiam głowę między ciepłe, jędrne uda...

Czyż winienem tu opisywać obłąkańcze wysiłki pijaka chcącego podporządkować sobie odurzoną proszkami wolę i uległe ciało? Na jej szczęście środek nasenny zadziałał. Pojękuje z cicha pod moją idiotyczną szamotaniną, machając rękami w powietrzu i rzucając głową jak w złym śnie, niezdolna zareagować, sparaliżowana z zaskoczenia czy może ze zubożenia: była przecież profesjonalistką. Lecz gdyby nawet założyć tę nieprawdopodobną ewentualność, że wie, iż leży na niej nieobliczalny i pijany facet, Lali niezdolna byłaby pojąć, że bodźce tego rozochocenia wysyła umysł znajdujący się tak naprawdę w innym pokoju i w innym łóżku, z inną kobietą i inną gorączką trawiony: tam, na górze, na klęczkach przed zjawą. Albowiem moje pierwotne podniecenie dotyczyło nie ciała, lecz wyobrażenia. Alkohol i ten niebywały chaos nocy mojej szwagierki, w roku szczególnie w jej życiu płodnym, nieskrępowanym, rozwiązłym, miały dokonać reszty...

Wspominkarz zawiesił oba palce wskazujące nad klawiaturą. Ani litery dalej, nie rozpędzaj się, nakazał sobie: byłoby niezłą skuchą z punktu widzenia sztuki narracji nie kazać czytelnikowi skupić uwagi na tym, o co mi w pierwszym rzędzie, potajemnie, chodzi: na usprawiedliwieniu się. Dlaczego tyle się naplanowawszy, tyle naobmyślawszy, tak niefrasobliwie i gnuśnie zaniedbuję cel wyznaczony przez te fabrykowane wstawki? Dlaczego, z drugiej strony, wysiłam się aż do obrzydzenia i bólu, żeby tym wymysłem przydać realizmu? Czyżby zaczynało mnie interesować nie tyle publiczne zmycie z siebie grzechów przeszłości, ile sama możliwość wymyślenia historii na nowo, sprawienia, by rzeka pamięci – mętna czy kryształowa, kogo to jeszcze obchodzi – popłynęła wstecz aż do źródła i zwróciła mi wszystko, z czego kiedyś zrezygnowałem albo mi wydarto...?

Tylko w ten sposób można wyjaśnić, myślał, to, że niektóre obrazy – te właśnie, którym nigdy nie dane było ożyć i utknęły w sferze pragnień, choć we wspomnieniach igrały jak ryby w wodzie – uparły się, żeby wybijać się ponad inne. Myślał tu o Lali Verze: co popchnęło go do wybrania właśnie byłej członkini SK i podstawienia jej w miejsce anonimowej prostytutki, która pojawiła się w jego życiu przypadkowo na jedną noc i której twarzy – a tym bardziej imienia – już nie pamiętał? W labirynty te nie prowadziła go jego prymitywna strategia polegająca na zestawianiu zmyśleń według karkołomnych wymogów narracji, lecz mało lojalny, choć obsesyjny, stosunek do przeszłych stanów istnienia, które odrzucał, uznając, że jeśli o biografię idzie – znajdują się one poza czasem i przestrzenią, a zatem gwarantują daleko posuniętą bezkarność.

Wykreślił kpiarskie przerywniki Mariany i uznał, że pierwsza część jest do przyjęcia. Nie wszystko było falsyfikatem; chociaż zmuszony był sprostytuować śmieszkę Lali Verę i rozbić jej małżeństwo, w pozostałych kwestiach – w jej daremnych staraniach, żeby spać w jego łóżku, w nieoczekiwanej wizycie Germána i Mari, w stymulujących nocnych rozmowach w cztery oczy ze szwagierką, nawet w tej idiotycznej pielgrzymce po pijaku do łóżka prostytutki – skrupulatnie uszanował prawdę. Jednak już w kolejnym akapicie miał się pojawić podstępny obraz oraz oparta na nim strategia osvajania pewnych emocji.

Forest kończył właśnie notować na marginesie: „Nie pomyliłem pokojów, lecz rezultat był ten sam”, kiedy, wściekły sam na siebie, zdusił w popielniczce dopiero co zapalonego papierosa, odkrył bowiem, że taki sam żarzy się już na przysmażonej krawędzi biurka: kiedy się wreszcie nauczę nie szukać czegoś, co już mam?

Złapany w dwa ognie zmyślonego życia, poczuł, jak otwiera się pod nim przepaść rzeczywistości: za nic nie mógł przypomnieć sobie, co wtedy robił w tamtym łóżku. Wśród coraz starannie dopracowywanego opisu pragnienia (pijackich wszeteczeństw, które mógł popełnić z dziwką, myśląc jednak o szwagierce) nie rozróżniał już kształtów wspomnienia. Czy po paru impotentkich podrygach między tamtymi niegościnnymi nogami od razu zasnął? A może wręcz przeciwnie, udało mu się wejść w nią i osiągnął, w ten czy inny sposób, jakiś nieokreślonego rodzaju orgazm? Tego nigdy się nie dowie. Sądził jednak, że raczej nie, że nawet jej nie dotknął... W każdym razie uzmysławiał sobie retoryczną konieczność określenia jakiejś czynności seksualnej, choćby podrzędnej, żeby w ten sposób zasugerować zbliżenie, fakt zbyt brutalny, żeby pisać o nim z grubej rury. Wiedział, że najlepszy sposób poradzenia sobie ze sceną tak znaczącą i niebezpieczną to ożywienie szczegółów otoczenia, podkreślenie kontekstu. Przeleciał w tym celu w myślach repertuar możliwych sytuacji i zakończył pracę nad tą drugą wersją, zmieniając rzecz jasna rozwiązanie akcji.

Do poprawki zostały trzy ostatnie arkusze rozdziału, nieprzepisane jeszcze przez Marianę:

„Musiało być już bardzo późno, kiedy w końcu wypuściłem ją z objęć i położyłem się obok. Spałem kilka godzin lub kilka minut, nie wiem. W pokoju z oknem wychodzącym na ogród znajduje się stara szafa z lustrem, której drzwi mają zwyczaj otwierać się same z siebie z przeciągłym zgrzytem. Kiedy się budzę, jest już po deszczu, przez okno wpada delikatna jasność i biały motyl, który trzepocze się nad moją głową. W lustrzanych drzwiach szafy, które otwierają się z wolna, widzę przesuwające się rozkopane prześcieradła i kapę, dwa ciała i drugi, lustrzany lot motyla. Twarz, w której maluje się coraz większe przerażenie, przesuwa się w lustrze z utkwionym we mnie wzrokiem, jest moją twarzą, znika potem, ustępując nagim plecóm i czarnym włosóm.

Ona obraca się we śnie, ściskając rękami poduszkę. Ale nie jest to Lali Vera. Serce skacze mi do gardła, zrywam się z łóżka, przeklinam pod nosem swój los i biegnę ukryć się w sypialni na piętrze, gdzie, jak się słusznie domyślam, cicho i smacznie śpi była tancerka.

Siedząc na skraju łóżka, z dłońmi złożonymi między kolanami, drżąc, lecz czując jednocześnie narastający napad śmiechu, odtwarzam bieg wydarzeń: podczas gdy ja nic nie podejrzewałem, Lali postawiła na swoim i położyła się w moim łóżku; tam, idąc spać, zastała ją Mariana, więc zeszła na dół, do pokoju gościnnego, zgodnie ze swoim początkowym zamiarem; zatrzymała się na moment, by przy kominku zapalić papierosa, zaśmiać mi się prosto w twarz i powiedzieć, że jestem w błędzie, ale byłem zbyt pijany, żeby cokolwiek zrozumieć.

Reszta nie jest warta komentarza, z wyjątkiem tego, że w ciągu tych wszystkich lat ani moja szwagierka, ani ja nigdy słowem nie wspomnieliśmy o zaszłej pomyłce. Jestem pewien, że Mari, podówczas przyzwyczajona do nieczystego sumienia, dopisała ten incydent, jeśli coś z niego pamiętała, w co wątpię – była pogrążona w głębokim śnie i nigdy się nie dowiedziałem, do jakiego stopnia była świadoma – do długiej listy swoich prywatnych głupstwów, a potem o niej zapomniała.

Z pewnym zakłopotaniem spostrzegam teraz, że ten wodewilowy rytm może nie najlepiej nadaje się do opowiadania tego, co ostatecznie chciałem powiedzieć; otóż przez cały następny tydzień nikt w całej Barcelonie nie potrafił odszukać mojej szwagierki: nie pojawiała się w domu, nic nie wiedzieli w redakcji, w której pracowała, nie widziały jej też przyjaciółki. Wreszcie któregoś wieczora ktoś rozpoznał ją bardzo pijaną w knajpie w chińskiej dzielnicy, w towarzystwie mało godnym polecenia, i zadał sobie trud, by zadzwonić do mnie do domu.

Kiedy odnajduję ją pół godziny później, siedzi przy barze, z twarzą przyklejoną do brudnego kontuaru, w stanie, którego nie chcę tu opisywać. Bez specjalnego wysiłku przepędzam paru namolnych – garstkę niedożywionych chłystków i starego zblazowanego gline – ale Mariana nie chce ze mną wracać. Postanawiam zatelefonować do Germána.

– Mari od tygodnia pije, jest w rozsypce.

– Dobrze wiem, co z nią jest.

– Germán, ona się wykańcza.

Zaklinam go, by natychmiast przyjechał. Każdy by przewidział, jak odpowie, z wyjątkiem takiego idioty jak ja:

– Zrobię więcej, chyba już na mnie kolej. Ożenię się z nią.

– Świetna myśl.

– *À propos*, musimy pogadać o twoim problemie – mówi chłodno, a po zgryźliwej przerwie, podczas której wyobrażam sobie jego łatwy uśmiech, tę jego hucpiarską szczękę, dodaje: Znaczy się: o niczym nie będziemy gadać. Rozumiesz, szwagrze? Przynajmniej na razie.

Przez parę sekund milczę.

– Mhm.

– To może poczekać. Ona nie. Zgadzasz się?

Znów przerwa i dodaje:

– Nie obchodzi mnie, czy jesteś, czy nie jesteś nieszkodliwym, rozmarzonym wykolejńcem, to już temat dla twoich przekwitających wielbicielek z Ateneo i Salón Rosa. Ale samego z Marianą na pewno więcej cię nie zostawię... Nie o to ci chodziło?

– Mhm.

– Przemyśl to sobie, a zobaczysz, że tak będzie lepiej dla wszystkich. Jadę po Marianę.

– Jest w...

– Wiem, gdzie jest. Do zobaczenia, szwagrze.

Po latach dowiedziałem się, że Barrachina i tak zamierzał się z nią ożenić i że postanowił o tym o wiele wcześniej. Zrobił to, kiedy zaszła z nim w ciążę; był dobrym mężem i namiętnym kochankiem. O tym jednak opowiemy już w kolejnym rozdziale”.

– Zupełnie jak w twoich starych gniotach.

– Ciebie nie przekonuje?

– Obrazy mają życie, ale historia wydaje się zmyślona. Błyskotki twojej prozy, wujku. Są teksty i preteksty. Proszę.

Podawała mu zapisane na maszynie arkusze, drugą, poprawioną i rozszerzoną wersję, bez uwag w nawiasach, i dodała:

– Ale co tam, zasłużyłeś na whisky.

Siedząc na skraju łóżka, Forest przechylił się na jeden pośladek, jęcząc:

– Mam hemoroidy. Chyba powinienem przerzucić się na biały alkohol.

– Pij mleko.

– Mleko może i zawiera alkohol, ale na pewno nie jest białe.

Śmiejąc się, Mariana ze skupieniem zapinała sobie psią obrozę na udzie. Dziś zdobyły ją zwiewna bluzka w cytrynowym kolorze, warkocze, beret i zagadkowa krostka na dolnej wardze. Przez otwarte okno wpadał do środka delikatny zapach grillowanego mięsa. Noc była wilgotna i duszna.

Od połowy sierpnia ich sesje stały się rzadsze, za to dłuższe. Forest rozumiał, że choć pogawędki te napotykały coraz większe utrudnienia (Mariana często gdzieś znikwała, była albo zaspana, albo zbyt podekscytowana, by rozmawiać, i prawie nigdy sama), to dobrze wpływały na jego stargane nerwy i pracę, działały w jego umyśle jak modyfikator przeszłości, jakby nie tak naprawdę nie było nieodwołalne: zawsze należy wierzyć w odwracalność historii. Nieco szorstko powiedział:

– Muszę to mieć na jutro. – Potrząsnął papierami i położył je na stole. Zawierały nowe poprawki i Mariana miała jeszcze raz przepisać je na czysto. – I zrób mi przysługę: przestań mnie wkurzać tymi uwagami w nawiasach, bo nigdy nie skończymy.

– Powiedz mi jedno. Jaki sens ma opowiadanie tej głupiej pomyłki z łózkami, która pociągnęła za sobą – a wiesz, że to nawet śmieszne – ślub mamy? Przyznaję, dla mnie to była nowość, ale co chcesz przez to osiągnąć poza zabawieniem czytelnika?

– Według ciebie to mało?

– To by znaczyło, że mój przyszły tatuś, kiedy do niego dzwoniłeś, wiedział już, co zaszło tamtej zwariowanej nocy. Jak się dowiedział?

Poprzez otwarte okno dochodziły z ogrodu stłumione śmiechy. Forest wyciągnął głowę:

– Kto tu się kręci?

– Znajomi. Jak się dowiedział, wujku?

– Ten detal nigdy mnie nie obchodził.

Wstał i wyjrzał przez okno. W głębi ogrodu dostrzegł błyski bezwłosych torsów wokół przygasającego ogniska i butelkę przechodzącą z rąk do rąk. Przy bramie otwartej na ulicę stały dwa gigantyczne motocykle.

– Chciałbym wiedzieć, czemu sprowadzasz tu tylko świrów, zmotoryzowanych i histeryków. Powiedz im, że nie chcę tu widzieć żadnych motorów.

– Przecież nie robią nic złego. Usmażyliśmy na grillu parę kotletów i pobawiliśmy się z Mao. Potem pójdziemy popalić do opuszczonego sanatorium, to świetne miejsce. Silvia się zaklina, że widziała tam wielką salę sypialną pełną skrofulicznych dzieci, które nagle ozdrowiały i były piękne i szczęśliwe...

– Zwidy. Umiecie tylko wywoływać zwidy.

– Ty też to robisz, wujku, więc niczym się nie różnimy. Wróćmy do mojego taty. Naprawdę był z niego taki szatan?

– Był człowiekiem praktycznym. Tak czy owak, ten jego przekłety manewr tylko odwlekł to, co i tak musiało się stać. Kiedy umarł na raka w 1959, rodzina sprzedała akcje, a ja uwolniłem się od zobowiązania.

– Zmieńmy temat. Możemy pogadać o dziennikarskiej, sprawozdawczej stronie twojej pracy. Naprawdę do dziś uważasz, że w swoich kronikach i artykułach odzwierciedlałeś rzeczywistość kraju?

– Nigdy nie miałem takiego zamiaru.

– Ej, wujku, przestań się drażnić. Uchodziłeś za najlepszego dokumentalistę, za asa od gorących tematów...

– A co to znaczy? Opowiem ci coś: kiedy tej wiosny wróciłem z Rzymu, kupiłem na lotnisku to chłamowate pismo z gorącymi tematami, którym kieruje twoja matka i do którego czasami pisziesz, i nic z niego nie zrozumiałem. Były tam same pierdoły o znanych ludziach, których ja nie znam, ale nie to jest irytujące; irytujące jest to, że to pismo wychodzi z idiotycznego założenia, że ja znam tych ludzi.

– Nie oglądasz telewizji, prawie nie czytasz gazet, nie jesteś na bieżąco.

– I nie mam ochoty być.

– To twój problem.

– To obrzydliwe anglosaskie wyrażenie zupełnie nie pasuje do twojej ślicznej łaćńskiej buzi.

– A myślisz, że twój stary fiutek bardziej by do niej pasował?

– Wyrażaj się bardziej przyzwoicie i kontynuujmy.

– W porządku. Twoja twórczość ma jakby dwa całkiem różne oblicza. Z jednej strony kronika czasów powojennych. To dzięki niej zdobyłeś renome i pieniądze, ale mnie ona się nie podoba, pełno w niej triumfalistycznych peanów, ideologicznego śmiecia i blagi.

– Zgoda.

– Za to powieści i zbiory opowiadań, które nie były już tak poczytne, zachwycają mnie. Dziwne: kiedy starasz się być dokumentalistą, wydajesz się mało wiarygodny, nie wierzę ci, a kiedy bezwstydnie zmyślasz, kiedy po prostu łżesz bez trzymanki, udaje ci się wiernie oddać prawdę.

– Mów dalej.

– Jeszcze jakieś piętnaście lat temu miałeś dość duże wzięcie. Potem sława się skończyła, popadłeś w zapomnienie. Dzisiaj niektórzy badacze, pomijając milczeniem twe polityczne boje, dostrzegają w paru twoich książkach styl narracyjny najwyższej próby. A co ty o tym sądzisz?

Forest łagodnym ruchem podrapał się po karku.

– Mój styl zrodził się w czasach, kiedy jako dziecko wypływałem na połów łodzią mojego ojca: wtedy wpojono mi, że wszystko ma swoje miejsce. I wierz mi: nigdy nie chciałem być dokumentalistą, nawet w tych tu wspomnieniach.

– Nie rozumiem.

– Dokładniej pamiętam człowieka, którym chciałem być, niż tego, którym byłem. Chodzi mi nie o odzwierciedlenie mojego życia, tylko o jego naprawienie.

– Znam ten bajer. Jeszcze coś, panie złotousty: twój język nie ewoluuje: nie zrobiłeś nic, żeby go zdemontować: zburzyć: unicestwić: powiedziałabym nawet, że plagiatujesz: kiedy cię czytam, zawsze mam wrażenie, że skądś znam ten ton.

– Ach, to... Nie ma dobrej literatury bez odwołań. A co się tyczy tej cholernej destrukcji języka, jej funkcji krytycznej i całej tej teoretyzującej sloganowej tandety awangardzistów i doktrynerów, to pozwól, moja droga, że tylko uśmiechnę się pod prostatą. Nie znoszę tych ortograficznych, stylistycznych i syntaktycznych fajerwerków. Co zrobić, ja wciąż jeszcze zadaję sobie trud jaskiniowca i stawiam średnik zamiast przecinka. Co za obłąd: chcieć zniszczyć język! Już wystarczająco biedak jest zniszczony. Zresztą na tym polu osiągnięcia pisarza zawsze będą siłą rzeczy skromne i nijak nieporównywalne z tym, czego dokona prezenter w telewizji lub dyrektor technokrata zdający sprawozdanie przed radą, i to samorzutnie, bez najmniejszego wysiłku. Oni zawsze będą bardziej do przodu... Wyjdźmy jednak z kuchni pisarza, bo w niej zawsze brzydko pachnie i pełno dymu. Pomówmy o czymś innym. To mnie jakoś przygnębiło.

Mariana wyszperała w prześcieradłach pękatą brązową kopertę.

– Elmyr napisała z Ibizy.

– I co pisze?

– Że ma się dobrze. Przysłała mi twoje zdjęcia. Popatrz.

Forest zobaczył siebie w kolorze, ujętego pod różnymi kątami, spacerującego z laską brzegiem morza w czarnych okularach i z rozwianym włosom, wpatzonego w metaliczny horyzont. Szczególnie spodobał się sobie sfotografowany *en face*, z podwójnym odbiciem morza, powtórzonego, lecz identycznego, w rtęciowych szklach okularów.

Jedno ze zdjęć, czarno-białe, powiększone, zbiło go z pantałyku. Przedstawiało małego Davida w kąpielówkach i zrobione było w dniu, kiedy poznała go Mariana: chłopak uchwycony został z niemą komendą na ustach i dłonią zaciśniętą na smyczy z wielkim owczarkiem niemieckim, który... stał na tylnych łapach i szczekał na swojego twórcę.

– No, noooo... – zaczął Forest z szeroko otwartymi ustami. Z początku był to wyraz zdziwienia, ale niemal natychmiast zwichnięta szczeka przeszkodziła mu w ich zamknięciu. Ooeechch...!

– Co ci jest, wujku?

Rozdziawiony, patrzył na dziewczynę pytającym wzrokiem. Ta ujęła zuchwę obiema rękami i silnie szarpnęła.

– Gotowe. – Wskazała na zdjęcie. – Śmieszne, nie? To prezent od małej Elmyr dla Davida. Odwróć, z tyłu jest dedykacja.

Dla Davida i Iskry, całusy od innej wilczycy z krainy pragnień. Forest zlustrował zadziwiającą wyrazistość, spoiny faktu i urojenia, szwy czasu i przestrzeni. Była to zapewne prosta sztuczka fotograficzna, laboratoryjna alchemia.

– Świetna robota – wyrzekł w końcu. – Ale nie powinnaś tego dawać dzieciakowi. Może on nie postrzeżga swojego psa w ten sposób.

Mariana śmiała się jeszcze. Forest położył się na łóżku na wznak, zmożony jakimś nagłym zmęczeniem.

– Nie myślałam, że to zrobi na tobie takie wrażenie – rzekła dziewczyna.

– Zdziadziałem, moja droga. Dręczą mnie lęki i obsesje.

– Nie, po prostu masz doła. – Przyklękła obok niego, wdzięcząc się, i smutno spój rżała na jego usta. – Chcesz, żebym zwała ci konia?

Forest widział, jak przesuwają się po nim jej szczere, szeroko otwarte i czyste oczy otoczone firmamentem piegów, kosmykami, które wymknęły się z warkoczy, i wesołymi kropelkami potu. Mariana nalegała przymilnie:

– Chciałabym ci jakoś pomóc, wujku.

– Cicho, niecnoto ty.

– Głupek, stary wariat, próchno. Myślałam, że jesteś mądrzejszy.

Patrzyła na niego z lekkim uśmiechem wyższości, ale i oddania. Wspominkarz, przygnębiony, poklepał ją po kolanie.

– Mądrość w moim wieku nie polega na tym, żeby wiedzieć, czego się chce, i to zdobyć, lecz na rezygnowaniu z tego, co dają ci zbyt późno...

– Nie jest zbyt późno.

– Kontynuujmy przesłuchanie, jeśli chcesz.

– To nie ma sensu, wujku.

Odsunęła się od niego. W drzwiach pojawił się chłopak w niebieskim kombinezonie, dał jej jakiś znak i zniknął. W tej chwili przez okno wpadł do pokoju ryk motocykli.

– Twoi koleżkowie – westchnął Forest. – Trzeba było trzech pokoleń, żeby wyprodukować takich kretynów. Ale w tym to już z władzą nie współpracowałem. Nie miałaś jechać z nimi?

– Pojadę później.

Forest wstał, ale nie wiedział po co. Postanowił pójść do toalety, powiedział: zaraz wracam, i wyszedł.

Kiedy otworzył drzwi łazienki, zobaczył tego samego chłopaka, który siedział teraz na sedesie ze spuszczoneym kombinezonem, z kaskiem motocyklisty na głowie, szturczykami oczkami wychodzącymi z orbit, i stękał. W podniesionej ręce trzymał długachny kawał różowego papieru toaletowego i jakby nagle zapomniał, do czego miał go użyć – był pijany w sztok i znajdował się pod surowym spojrzeniem pana domu – w końcu postanowił się w niego wysmarkać. Uprzejmym głosem Forest poprosił go, by niezwłocznie wyszedł, oczywiście uprzednio wyczyściwszy wszystko jak należy.

Wrócił do pokoju Mariany.

Resztę sesji poświęcili jego licencjom poetyckim. Forest przyznał się do paru innych, których istnienia się domyślała.

– W porządku – powiedział. – Do emblematu na ścianie strzelało dziecko. Bardzo dobrze pamiętam tego chłopaka... Miał rozbiegane oczy, bo pewnie głodował albo napatrzył się na okrucieństwa wojny. Jego ojciec był włóczęgą, zajmował się cynowaniem garnków i rondli, robieniem parasoli. Chłopak chodził boso, półnago, ogolony na zero... Widzę go we wspomnieniach, jak z czarnym spuchniętym brzuszkiem i wygiętymi do tyłu plecami napina łuk i strzela z niego drutami od parasoli. Wbijał je w dzioby leżących w piasku łodzi, w drzwi, w futryny okien...

– Przerażające, wujku.

– Niby co?

– Tak dokładny opis czegoś, co nigdy nie miało miejsca.

Forest popatrzył na nią z zaskoczeniem, a zarazem rozdrażnieniem.

– O co ci chodzi? Właśnie się przyznałem, że nigdy nie strzelałem do emblematu partii, że to zmyśliłem, chcąc wyeksponować mój pierwszy kryzys sumienia...

– Jesteś pewien?

– Dosyć tego, Mariano. Zmieńmy temat.

– Jak chcesz. Jeszcze tylko dwa pytania... Co zrobiłeś ze swoim starym pistoletem bojówkarza? Masz go jeszcze?

– Pozbyłem się go wiele lat temu. Była to astra na długie dziewiątki.

Przypominając sobie ten czarny ciężar w dłoni, tę zimną bryłę stężącej śmierci, ujrzał swoją postać wśród rozlewisk rzeki Foix<sup>50</sup> podczas wycieczki z dziećmi wiosną pięćdziesiątego szóstego. Dzień wcześniej mocno się przestraszył, przyłapując małego Xaviera na zabawie z bronią. Z początku, przypominał sobie teraz, postanowił zakopać pistolet w ogrodzie, potem myślał o podarowaniu go szwagrowi Juanowi, w końcu zdecydował się wyrzucić go w bagna... Ten dawny postępek dziś wydawał mu się jednak jakoś dziecinnie patetyczny i już zaczął go retuszować, delikatnie cieniować, aż pojawił się obraz w zarodku:

– Najzwyczajniej zapomniałem o nim – rzekł neutralnym tonem. – Tak, zapomniałem na zawsze, leży na dnie szuflady starej komody, owinięty w moją niebieską koszulę, którą myszy pewnie przerobiły już na proszek... Doskonale zakończenie, nie sądzisz? Od tego czasu minęło jakieś trzydzieści lat, albo i więcej, nie myśl, że zacząłem się brzydzić bronią dopiero teraz. Właśnie jutro mam zamiar pracować nad tym kawałkiem i ostrzegam cię, że włożę w to trochę emfazy: chcę to jakoś uniezwyklić, zrobić z tego jakby symbol, na przykład wybiorę inną szufladę w innej komodzie, w tej, w której matka trzymała moje dziecięce ubrania, i za twoim pozwoleniem umieszczę w magazynku jeden nabój, wyznaczę termin i solennie obiecuję: jeśli w ciągu takiego a takiego czasu nie wyrzeknę się tego wszystkiego publicznie, ta kula będzie dla mnie. Co? Nie podoba ci się?

Powściągnął zbyt nerwowy śmiech. Mariana wyłączyła magnetofon.

– W porządku. Idź już, wujku. Będę się masturbować, potem wypiję aneurol rocznik siedemdziesiąt jeden i pójdę spać.

– A nie wychodzisz?

– Już nie.

– No to dobranoc.

– Zaczekaj... Chcesz zobaczyć, jak dochodzę?

Forest spojrział na zepsutą słodycz jej jasnych oczu, dziwną beztroskość podbródka i policzków, ten cudowny i niezmienny brak obłudy.

– Dobranoc, Mariano.

---

50 Foix – rzeka w regionie Penedés.



Leżał na łóżku bez zatyczek – nigdzie nie mógł ich znaleźć wybrawszy na tył okładki książki swoje ulubione zdjęcie, przedstawiające go z najbardziej liberalnego profilu (wyglądał na nim niemal jak angielski ekspatriant, który objął katedrę na jakimś uniwersytecie w Kalifornii: ubrany na sportowo, z fajką, z rozwianymi włosami i odludną plażą w de), i poprawiał trzecią wersję tekstu, który miał towarzyszyć fotografii:

Wychodząc z Wilde'owskiego założenia, iż ktoś, kto odczuwa wyrzuty sumienia, odmienia swoją przeszłość, w niniejszej autobiografii autor spowiada się z nieprzemijającego wczoraj. Udaje się w podróż w przeszłość, bez osłonek wyjaśniając jeśli taka potrzeba – to czy inne impulsywne, zuchwałe i nierozmyślne młodzieńcze posunięcie, zręcznie omijając pułapki, które zaangażowanemu historykowi zawsze stawiają „oficjalne archiwa” pamięci. Droga, którą leciwy kronikarz zamierza przejść tym razem, staje się coraz węższa, ciaśniejsza, krajobraz się zmienia. Nigdy nie chciał Luys Forest relacjonować suchych faktów, obawiając się, że zostanie mu zarzucony fałsz: zmyślał, gdyż zmyślenie zawsze żyje dłużej niż wątpliwa rzeczywistość, dyktowana przez polityków. Pisarz, który przez lata dokonywał manipulacji powszechną pamięcią, zawłaszczaniem i fałszowaniem minionych walk, wspólnego dziedzictwa prawdy (do czego bez oporu publicznie się przyznaje), w swojej najnowszej książce powraca do formy i stylu tradycji ustnej, wzgardziwszy zwodniczym autorytetem dokumentu.

Nie mamy tu do czynienia, jak w tylu innych przypadkach, z oportunistycznym sprintem po laur demokracji. W odróżnieniu od swoich dawnych towarzyszy zdobnych w pogrzebowe srebro, których nazywa korzącymi się Lotofagami – zjadaczami kwiatu zapomnienia – w tym mistrzowskim dziele autor eksploruje zatopione podziemia pamięci, a jednocześnie...

Ktoś, jeden z tych skretyniałych gówniarzy oblegających tłumnie ogródek L'Espinety, torturował mu bębniaki infernalnym rykiem motocykla. Była pewnie druga po południu. Niemal natychmiast jakiś mętnie znajomy, metaliczny głos dudniący w telewizorze doszedł do niego z dołu: najwyraźniej Mariana znowu zapomniała wyłączyć to przekłete pudło. Wstał, zarzucił szlafrok i zszedł na dół.

Retoryczny bezwład niedokończonego zdania, machineria akapitu obsesyjnie domagająca się spisania tu i teraz zaprowadziły jego somnambuliczne kroki do kuchni, gdzie odkrył, że nie ma nic do zrobienia, następnie kazały mu zacząć wybierać na spacer laskę, ale nie chciał iść przecież na żaden spacer, nie po to schodził... Wreszcie zauważył migoczący pod schodami telewizor.

Tego dnia był umówiony z Marianą na wspólny posiłek w ogrodzie. Mariana, siedząc już przy nakrytym stole pod sosną, zobaczyła, jak wuj idzie przez salon w stronę telewizora, i pomyślała, że wyłączy odbiornik i przyjdzie jeść. Mijały jednak minuty i nic.

– Wujku, idziesz czy nie? Wujaszku!

Cisza. Wstała i poszła po niego. Siedział w fotelu przed telewizorem. Na ekranie widać było profil kobiety po pięćdziesiątce, oświetlony tak, żeby ukryć jej tożsamość. Była to

anonimowa eksprostytutka, która w jakimś programie dyskusyjnym wypowiadała się w imieniu swojej branży, domagając się uznania pewnych praw, dostępu do badań zdrowotnych, do pomocy prawnej, związkowej, trochę więcej szacunku... Program nadawano po katalońsku, w paśmie regionalnym.

– Interesuje cię to, wujku? – spytała Mariana. – Ej, co z tobą?

W jego oczach zobaczyła przerażenie. Zatopiony bez ruchu w fotelu, wpatrywał się w tak dobrze mu znaną sylwetkę o orlim nosie i pozbawionych już mocy ustach.

– To Lali Vera. Straszne, Boże drogi, to straszne... – powiedział szeptem.

Kiedy się ocknął, poprosił Marianę o książkę telefoniczną. Roztrzęsiony wybrał numer studia Miramar.

– Halo, chciałbym mówić – rzekł, tracąc nagle głos – z tą kobietą z ekranu...

– To niemożliwe – odpowiedział mu fachowy głos z lokalnym akcentem. – Jej tu nie ma.

– Jak to nie ma? Przecież ją widzę.

– Pan ją widzi, ale jej nie ma. To znaczy: jest na antenie.

– Zwariował pan. Pan jesteś idiota.

– To nie leci na żywo, *collons*<sup>51</sup>! – Zezłoszczony i mściwy, pracownik telewizji przeszedł całkowicie na kataloński: *A veure si m'entén: aixó es va gravar fa un mes, ruc!*<sup>52</sup>

A więc to też było złudzenie. Forest, otumaniony, zdołał powiedzieć poprawnym katalońskim:

– *Ah*.

I odłożył słuchawkę.

---

51 *Collons* (katal.) – do cholery.

52 *A veure si m'entén...* (katal.) – Niech pan wreszcie zrozumie: to było nagrane miesiąc temu, baranie!

Pięć nieukładających się w nic kawałków tangramu ledwie było widać na marmurowym stole pod zastępami wściekle szturmujących mrówek. Forest chciał iść do łazienki, ale właśnie sprzątała ją Tecla, w związku z czym postanowił wysikać się na trawnik.

Podczas tej czynności przytruchtał do niego z szopy Mao, z pędzlem wystającym z pyska. Pan pogłaskał go, odebrał pędzel i rzucił na niego okiem, opróżniając pęcherz. Następnie zapiął rozporek, udał się w stronę szopy, wszedł do środka, a za nim pies.

Pokryte kurzem i pajęczynami, leżały w kącie rzucone na kupę porwane hamaki, zardzewiałe rowerki dziecięce, stara odzież sportowa, żerdzie i wypaczone wiosła, paleta malarska pomazana żółtawymi ekskrementami jakiegoś wieczornego widoczku i zaschnięte tubki. Forest podniósł jedną z nich i przyjrzał się jej badawczo. Z jakiegoś przedśmionka czasu, przypadku albo czyjejś kpiny kolejny raz powracało to pomieszanie kierunków, niepamiętna maskarada, prawdziwa być może intryga snu.

Mógłby przysiąc, że dostrzegł to rozpięte na czterech listwach płótno, jeszcze nim odsunął zasłaniające je graty. Był to przeładowany obraz, w którym dominowała płomieniejąca zieleń i żółć, z krwisto czerwoną obwódką, przedstawiający coś, co przykryte było warstwą kurzu. Kiedy Forest przetarł go dłonią, odsłoniło się na nim zimowe znajome ujęcie ogrodu. Poczul, że krew odpływa mu z głowy. Ta perspektywa nie była możliwa: ustawienie sztalug – niewątpliwie w pokoju gościnnym na dole – dawało naturalną i romantyczną ramę z czerwonych bugenwilli, ale powinno było wyciąć z pola widzenia tył ogrodu, pobielany wapnem mur i bluszcz, kępy niebieskich lili w narożnikach, geranium i bezlistny krzew różany; mimo to, jak zwykle w onirycznej twórczości Teya, ornamenty te znajdowały się na obrazie, przedstawione w konwencjonalny sposób za sosnami i wspaniale ukwieconym migdałowcem, pod którym Soledad, siedząc w bujanym fotelu i ze śliwkowym kuferekiem na leki u stóp, robiła na drutach niebiesko-czerwony szalik. Na wpół obłąkanym wzrokiem dojrzał datę w dolnym rogu (październik 48) i realizm, z jakim zostały przedstawione dwa przedmioty, które nigdy nie istniały – chyba że w innym życiu: szalik i kuferek – realistycznie dopieszczone bardziej niż pozostałe elementy. Ponadto ktokolwiek namalował ten widok, w jakiś niewytłumaczalny sposób uwzględnił błąd popełniony przez Foresta w opisie: również tutaj migdałowiec zakwitł w październiku, a to przekorne zakwitnięcie było najbardziej uderzające i przekonujące w całym obrazie.

Forest rzucił obraz na ziemię, jakby parzył mu dłonie. Wszedł z szopy z dwiema tubkami, przykucnął na trawie i w pośpiechu, jakby chcąc czym prędzej uwolnić się od skamieniałych farb, odszukał butelkę piwa, którą tu zostawił. Poczul, że patrzy na niego oko namalowane na przyczajonej wśród trawy łodzi, i z nagłym poczuciem ulgi pomyślał o kolejnym żarcie Elmyr, która mogła być to wszystko przeczytać... Ale te tubki takie zaschnięte. Nie. Wtedy, analizując jeden po drugim elementy obrazu, przypomniał sobie kuferek.

Mariana wchodziła właśnie przez tylną bramę, prowadząc rower, niosąc torbę z chlebem i gazetę. Zobaczyła przykucniętego wuja, przy jego stopach przewróconą butelkę, z której wylewało się piwo. Odcinający się na tle soczystej zieleni profil nieruchomego Foresta wyglądał tak, jakby jego właściciel wietrzył jakieś zgniłe zapachy. Przechodząc obok, Mariana zapytała, w co się bawi, ale nie odpowiedział.

Wkrótce potem, siedząc w salonie na kanapie i przeglądając pocztę (przyszedł list od matki), widziała, jak wuj błąka się po jadalni, bosi, z okularami podniesionymi na czoło. Schylił się przed narożną szafką, której dolne drzwiczki były otwarte, aby wyjąć z niej najpierw drewniane pudełko z pękniętym dnem, pełne plecionek wędkarskich i haczyków, a potem rozpruty i nadbutwiały śliwkowy kuferek. Widziała, jak otworzył go ze zmarszczonymi brwiami, jakby wewnątrz poczuł jakieś jadowite wyziewy.

Kuferek zawierał parę zakurzonych motków wełny, niedokończony szalik robiony na szydełku i wszystkie lekarstwa przepisane przez starego doktora Pla przed dwoma zaledwie miesiącami, ale – pomyślał Forest – widziane z zawrotnego dystansu niemal trzydziestu pięciu lat: eufilina, digitoksyna, bellergal, novurit...

– Te gierki cię bawią, Mariano?

– Co masz na myśli?

Wuj wyprostował się, trzymając w ręku kuferek. Zsunął okulary na nos i przeczytał ulotkę, którą wyciągnął z pudełka. W najmniejszym stopniu nie wierzył w to, co zaraz miał powiedzieć, a mimo to rzekł:

– Myślisz, że twoja koleżaneczka mogła namalować ten obraz przed odejściem, wykorzystując zrobiony przeze mnie opis?

– Obraz? Ona nigdy nic twojego nie czytała.

– Ty mogłaś jej opowiedzieć.

– Co też ci przychodzi do głowy, wujku?

– Aha. Mogłaś to zrobić, żeby się ze mnie ponabijać. Aha.

– Cholera, naprawdę się o ciebie martwię. Zakichany historyk. Co się z tobą dzieje?

– Nic. – Uczepił się kurczowo pewnej możliwości. – Zawierzam twoim kłamstwom.

– Jakim kłamstwom? Źle się czujesz, wujku? Co ci chodzi po głowie...? Ej, nie patrz tak na mnie.

– To nic, chyba nic. Pójdę... pójdę troszeczkę popracować.

Była pierwsza w nocy, kiedy wstał od biurka i wydało mu się, że słyszy nadciągający znan morza wielki, rwący się, powracający falami szum. Wyszedł z pokoju i gwałtownie zatrzymał się na środku korytarza, nie pamiętając, po co wstał od biurka i dokąd szedł. W ręce miał pustą szklanę, z czego wywnioskował, że idzie po whisky – ale miał również rozpięty rozprek. Może szedł się wysikać? Mao, który wracał mokry z tarasu, zbliżył się do niego swoim osobliwym nocnym miękkim krokiem, skradając się jak kot. W tym momencie wyłączono prąd, w domu zapanowała ciemność i Forest odruchowo odwrócił się na pięcie.

Jeśli chciałby zejść na dół i sprawdzić bezpieczniki, powinien skierować się w stronę schodów, zaczął zatem przemieszczać się ku tarasowi, idąc po omacku wzdłuż załadowanych książkami ścian, ale niemal natychmiast zmienił zdanie i zawrócił, zamierzając udać się do gabinetu i z wychodzącego na deptak balkoniku zobaczyć, czy nie brakuje też prądu w innych domach. Podczas jednej z tych zmian kierunków (które wydawały mu się zawrotne) zgubił sandały. Odnalazł go, macając podłogę stopą. Teraz wystarczyło już tylko iść prosto przed siebie aż do balustrady.

Na dworze panował gęsty mrok nocy, było ciemno, choć oko wykol. Forest ustawił szklanę na pochyłości balustrady, zacisnął palce na żelaznej poręczy i stał tak z wyciągniętymi ramionami, nie wychylając się, żeby nie zmoknąć. Rozpętywała się burza, łoskot deszczu wydawał się dobiegać ze wszystkich stron, nawet z dołu. Ale momentami raptownie ustawało. Czy to krople, czy grad spada z nieba, kręcąc pijane młynki na wietrze, a może drobniutkie śnieżne kwiaty szarotki? Wszystko, co znajdowało się w oddali, na niewidzialnej i opustoszałej plaży, nierozświetlonej dotąd żadną błyskawicą, widział wyraźnie w myślach z nagłą piękne i zarazem odrażające. Słyszał, jak kipiel bije nieprzerwanie o klify zagubionej wyspy: obraz oklepany i zbyt oswojony, zapodziany w pamięci dzieciństwa, bez prochu przyszłości. Z tego słonecznego balkonu dawnych młodzieńczych lektur jego oczy, dziś do niczego, dostrzegały już tylko na powierzchni morza – jak oczy Ahaba stojącego na dziobie Pequoda – niszczycielskie widmo samego siebie. Słyszał, jak piasek spija chciwie czarny deszcz, wsysa spienione języki fal wślizgujące się pod złożone parasole, i dawało się wyczuć, jak niecierpliwie i nieskończenie spragnione jest morze, jak wiatr podnosi się w oddali gdzieś na otwartym morzu, w skrytości i mroku układając zaczątki fal, których zwinięte grzbiety błyszczały już wściekle zębami soli, i przez moment Forest, łącząc w myślach ów samotny ogłuszający zgiełk i tę nieskończoną siłę ze śpiącymi ludźmi, którzy leżeli jak martwi w swoich łóżkach, wokół niego, a tak dalecy, doświadczył, jak groźna jest ziemia niczyja między światłem a ciemnością, znów poczuł się swobodnie wśród scen, które już nie istniały, których inni nie znali, które zapomnieli, którymi mógł więc rozporządzać według własnego uznania, zmieniać współrzędne, przesuwając punkty odniesienia. Tutaj nie czuł się bezbronny ani zagubiony, nie tak, jak wtedy, gdy spacerował plażą, ze spuszczoną głową, czując na plecach spojrzenia ludzi, obecnych i nieobecnych, martwych i żywych,

podążając za swoją pamięcią, która biegła przed nim zawsze jak sztuczne przedłużenie jego samego, jakby jakaś proteza to była, a nie pamięć...

Gdy odwrócił się w ciemności, coś klejącego się i zimnego musnęło go po czole, jakby skrzydło martwego ptaka. Palcami zidentyfikował nad głową złote majtki Mariany wiszące na drucie... I wtedy z zaskoczeniem odkrył, że nie jest tam, gdzie sądził; że nie może znajdować się na balkonie i trzymać się poręczy ani stać naprzeciw niewidzialnej burzy na morzu, odkrył, że opiera się o balustradę tarasu wychodzącego na ogród, z tyłu domu; z nieprzeniknionego mroku nie dochodził go więc żaden szum deszczu, owe czarne bryły to nie wznoszące się fale, lecz kotłujące się korony sosen targanych wiatrem, sztormowym mistralem. I oczywiście to kwiaty szarotki wirowały w powietrzu i miękko opadały mu przed oczami. Kiedy kręcił się w kółko na korytarzu, szukając po omacku sandała, stracił orientację.

Przecucie mówiło mu, że z dołu, z trawnika, na jego zagubienie spogląda ogromna lodowata źrenica bez powieki.

Kiedy wrócił do swojego pokoju i kiedy włączono już światło, poczuł w ręce śliski chłód i wesole dzwonięcie, a wnet ujrzał w niej szklankę z lodem i porządną porcją whisky, zwyczajową porcją na noc. Czyżby zszedł był do kuchni i wszystko tylko mu się przyśniło: bezpowrotnie utracone morze, jego zagubiona wyspa i jego wolność?

Rozebrał się i w pośpiechu okrył szlafrokiem. Kiedy wkrótce potem deszcz zaczął padać naprawdę, gwałtowny i zacinający, Forest zszedł na dół, żeby zamknąć drzwi wejściowe. Zmienił się wiatr, słysząc było teraz bardziej przeciągły, głuchy i jednostajny huk przyboju. Mao spał na kanapie.

Mariana czytała i słuchała muzyki, leżąc w łóżku w swoim pokoju.

– Pada, wujku.

– Tak jakby.

– Wielkie nieba, co ci jest? Widziałeś ducha?

– Kto wie.

Usiadł na skraju łóżka z dłońmi zwieszonymi między kolanami. Mariana ubrana była w bluzkę-pajęczynę i niebieskie postrzępione szorty, na szyi miała psią obrożę. We włosach wiły się cieniuteńkie tłuste warkoczyki. Odłożyła książkę na bok, ale nie włączyła magnetofonu.

– Jesteś blady. Źle się czujesz?

Nie odpowiedział. Mariana spojrzała na jego zgięty kark, sztywne ręce i cień smutku pojawił się w jej oczach.

– Mama kazała mi uważać na twoje wdowie depresje. Jak mogę ci pomóc? Chcesz whisky?

Utkwiła w twarzy wuja oczy zmącone, lecz stanowcze, patrzące niemal zezowato spośród piegów. Uklękła na łóżku i położyła mu dłoń na ramieniu.

– Co dręczy mojego dzielnego handlarza błyskotkami, co? – Wsunęła dłoń pod rozchylony szlafrok i zaczęła igrać palcami w siwawych włosach na jego piersi. – Praca nie idzie?

– Idzie, jak idzie. Co pisze twoja matka w liście? Kiedy przyjeżdża?

– W piątek.

W ustach miała już skręta. Kiedy wuj podał jej ogień, ona trzymała już w ręku zapałki, które wyjęła wcześniej z wyświechtanej torebki z frędzelkami zawieszzonej na łóżku. Przez gąszcz loków i warkoczyków Forest widział, jak jej powieki osuwają się z nabożeństwem wobec zbliżającego się płomienia. Jej brudne dłonie, otwierające i zamykające wielkie

pudełko zapalek, a jednocześnie chroniące ogień, ta szatańska oszczędność ruchów nad czerwono-fioletowym żarem, wszystko to wyglądało bez wątpienia pięknie, lecz on zwracał uwagę nie na ten ogień, lecz na inny. Przylegająca do piersi pajęczyna, dzwoniące bransoletki, urzekające piegi rozsiane wokół szarych oczu... Chluśnięcie deszczu zabębniło o szyby.

– Pogoda pod psem – stwierdziła Mariana.

– Prawda.

Absurdalnym gestem ujął w dłoń stopę dziewczyny, żeby ją połaskotać. Doskonale wiedział, co się wydarzy, chciał więc odwlec rzecz nieuniknioną, udając przez chwilę głupka. Słyszał już kocie pomruki jej oskrzeli, kiedy z przeciągłym czułym westchnieniem wsunęła dłoń między poły jego szlafroka.

– Dziecko, to nie ma sensu. Mam zapalenie pęcherza.

– Obciągnę ci, wujku, obciągnę. Ty się niczym nie przejmuje.

Ale wtedy same z siebie otworzyły się drzwi szafy i zachciało mu się śmiać. Minęła chwila i nic z tego nie wychodziło. Jedyne, co mógł zrobić, to gładzić dziewczynę po karku okrężnymi, maniakalnymi ruchami. Dokładnie w momencie, gdy na krótko uniosła głowę, by wyjąć sobie włos z kącika ust, Forest, widząc jej roześmiane i ufne oczy, poczuł przypływ czułości, który pobudził mu krew. Wciąż jeszcze myślał o retorycznej blade z bluszczem wgłębi fałszywego ogrodu, o strzępach huśtawki gnijącej na słońcu, o szaliku i kuferku z motkami i lekami, a przede wszystkim o magicznym beczasowym migdałowcu; lecz ten jakże delikatny ruch palców wyciągających włos z ust, to zezowate spojrzenie, niemal przepraszające za przerwę, były silniejsze niż wszystko inne. Mariana uśmiechnęła się:

– Widzisz, faszysto-renegacie?

– Zrób to jeszcze raz. Jeszcze raz.

Zrobiła to jeszcze raz, a on pomyślał, kładąc się w łóżku na plecach, wreszcie rozluźniony; i wiele jeszcze usłyszysz, i wiele jeszcze zobaczysz; parę łopat ziemi, które rzucą na twe martwe marzenia, na twe zgniłe już wiosny i zagaste gwiazdy. Miał nieśmiałą erekcję, w jakiś sposób związaną nie z samą czynnością fizyczną, lecz bardziej z próbą wyobrażenia jej sobie. Poczul w ustach język dziewczyny smakujący jak nóż, jak ostryga. Ale wszystko to było, jak się słusznie spodziewał, gwałtownym wstrząsem, rozmyślnie zadaną sobie krzywdą. Pajęczyna rozsunała się, między zębami naprężyła się brodawka piersi. Mariana ostatecznie znalazła się w pozycji jeźdźca, z podgiętymi kolanami, sadowiąc się powoli, patrząc mu w oczy i nie dopuszczając do odpływu krwi i fantazji.

Później, przed zaśnięciem, jakaś zabawna myśl wywołała znienacka jej śmiech, stłumiony w poduszce.

– Wujku, czemu wszystko stało się tak szybko?

Leżał na wznak. Kredową biel jej ciała maciła jedynie miodowa jasność rozpostarta na pośladkach. Zasnęła nagle, jak zawsze wtedy, gdy paliła. Nie może być, pomyślał Forest, podnosząc się na łokciu, jak to możliwe, żeby miała na sobie tę prześladującą go część garderoby? Czyż nie ściągnęła jej razem z szortami...?

Przesunął dłonią po materiale: dłoń poczuła twarde, jędrne mięśnie pośladkowe, ale nie materiał. Powtórzył ten ruch, wnikliwie badając skórę palcami, jakby chciał je pod nią wsunąć, ale na próżno: Mariana nie miała na sobie majtek. Mimo to tak dobrze znany mu kształt pozostawał, przylegając do pośladków jak skóra.

Zapalił światło sufitowe i odszukał okulary. Pochylił się nad złotym trójkątem i zrozumiał, że była to tylko skóra spalona słońcem. Wyglądała jak pomalowana. Znów poczuł, że jego

świadomość wypada z orbit, że jej oś się zwichrowała. Przetrzęsając biurko w poszukiwaniu papierosów, zauważył zdjęcia od Elmyr i jej list. Przeczytał:

*Ibiza, sierpień 1976*

*Kochana Mariano,  
zrobiłam parę fotek do różnych reklam i znowu tu jestem, myśląc o niebieskich migdałach,  
bo tylko o tym warto myśleć.*

*Chociaż może zgodzę się zrobić reportaż o wynaturzonych formach życia w wielkich hotelach...*

*Napisałam do Flory i opowiedziałam jej o moim pechowym pobycie w Calafell. A ty kiedy wracasz? Napisz jak najszybciej.*

*I jak ci tam z tym ślepakiem wujem Luysem? Mam nadzieję, że nie obraziłaś się na niego po tym, co się stało? To nie jest zły człowiek, powinien tylko dobrać sobie lepsze szkła i nie ufać pozorom.*

*Oto jego zdjęcia, o które mnie prosiłaś. Wysyłam też jedno twoje, to, które zrobiłam na konkursie dzinsowym. A wiesz, że twoje słoneczne gatki robią się naprawdę modne? Prawie bym zapomniała: oprócz zdjęć twojego wuja jest też jedno dla sympatycznego Davida i jego Iskry. Przekaż je chłopcu z buziakiem ode mnie. Cała reszta całusów jest dla ciebie, ściskam*

*ELMYR*

Były to fotografie z zaimprovizowanej, kuriozalnej rewii mody. Na tle bielonych wapnem domów i statystów z Ibizy (okutanych w chusty babć w żałobie, dekoracyjnego dodatku zrodzonego w zbrodniczym umyśle jakiegoś specja od reklamy) Mariana defilowała wśród innych dziewczyn, z piracką bandaną na głowie, w koszulce w prążki i obcisłych nogawkach dzinsów zakrywających nogi do pachwin, w którym to miejscu były odcięte nożyczkami w taki sposób, że został tylko rozporek zasłaniający genitalia. Kąpiele słoneczne nadadzą jej pośladkom wygląd jak na negatywie: zabrązowią trójkąt, a resztę ciała pozostawią białą.

Złote majtki nigdy nie istniały.



Następnego dnia rano przejrzał zapis ostatniej rozmowy z Marianą, która miała miejsce przed dwoma dniami. I odkrył, że luki w pamięci dotyczą również zmyśleń i kłamstw, które potrzebują, tak samo jak wspomnienia i sny, niezwłocznych reperacji o poranku.

Gdzie to ukrył swój stary bojówkarski pistolet? Czy nie w pierwszej szufladzie komody od lewej? Z nabojem w magazynku czy bez? Zabezpieczony czy odbezpieczony? A może tego fragmentu jeszcze nie napisał?

Stał nago w starodawnej metalowej wannie, zginając lekko kolana, by sięgnąć ręką do kranu i odkręcić wodę, gdy nagle wokół siebie wyczuł bezgłośny rumor odpadów i gruzów tego, co było innym życiem, innym pragnieniem. Coś ponad jego głową zaalarmowało go, możliwość, której nie przewidział, zmusiła go do nagłego podniesienia twarzy i spojrzenia w górę. Stare sitko prysznic, zardzewiałe, z lekka krzywe i źle przykręcone, zwisało z góry jak zwykle z głupkowatą, spokojną gębą, już jednak rezonować zaczęły stare, na wpół zatkałe rury, wypływające z siebie wodę i dychawiczną pamięć, i choć rozpoczął już manewr usuwania się, nie zdążył uchronić się przed sitkiem, które, gwałtownie wypchnięte ciśnieniem wody, z diabelską precyzją trafiło go w prawe oko.

Wrzasnął, wyskoczył z wanny i pojękując, znalazł po omacku ręcznik. Przejrzał się w lustrze: pod okiem śliwa, rozcięta powieka. Czerwona, krzykliwa krew ciekła przez chwilę. Przykleił sobie plaster.

Przez ten nagły krwotok zapomniał o przeczuciu, które ogarnęło go na kilka sekund przed podniesieniem twarzy w górę. Dopiero później, w kuchni, w której orientował się kosymi, jednookimi spojrzeniami – nie wiedząc, czy budzić Marianę, czy robić kawę i grzanki, w końcu wybierając to drugie – ogarnęło go niepokojące uczucie, że już to kiedyś przeżył albo przeczuł: czyż ta partacka robota anonimowego hydraulika nie roztrzaskała już innego czoła, nie opryskała wanny inną krwią...?

Stojąc bez ruchu, patrząc niewidzącym wzrokiem na dymiące grzanki i gwizdzący czajnik, odtwarzał sobie w głowie pewną niewyraźną figurę tangramu, ukrytą w jego najczarniejszej prozie. Podszedł do telefonu w salonie, wykręcił numer centrali w L'Arboç, która połączyła go z mieszkaniem szwagra. Zanim zdołał sformułować pytanie, musiał wysłuchać bury: zapomniał o nich, od stu lat ich nie odwiedza, jego siostra jest śmiertelnie obrażona i tak dalej.

– Juan, posłuchaj mnie przez moment – udało mu się wtrącić. – Ty masz dobrą pamięć... Pamiętasz, czy w okresie, kiedy przyjeżdżałeś do nas z Rosą w gości, złożyłem doniesienie na kogoś z Comarrugi...? Zastanów się dobrze, wiesz, że tutaj od zawsze krążą różne plotki.

– Dobre sobie! Teraz się pewnie okaże, że ludzie mieli zwidy! Plotki, powiadasz? Chcesz może listę?

Nie, interesuje go tylko jedna osoba. Czy możliwe, że był to elektryk, raczej kiepski? Czy Juan pamięta?

Odpowiedź była twierdząca.

– Nie tylko posłałeś go do pudła – dodał szwagier – ale też rozwaliłeś mu dłoń z pistoletu, bo kiedyś nocą załatwiał się na ten emblemat, który był na fasadzie twojego domu, nie sądzę, żebyś tego nie pamiętał. Biedak siedział w więzieniu wiele lat, a jak wyszedł, przysiągł, że cię zabije... To fakt, hydraulik był z niego beznadziejny, pamiętasz ten pierwszy prysznic, który kazała założyć Rosa, na krótko przed śmiercią twojego ojca...?

– Nie, ja wtedy już byłem żonaty, nie mieszkałem tutaj, nic o tym nie wiem. – Czuł, jak zimny dreszcz przebiega mu po plecach. – Naprawdę, Juan, naprawdę...

– Spokojnie, opanuj się. Niech sobie przypomnę... Jak wyszedł z La Modelo, musiał rzucić ten fach, bo rękę miał prawie niesprawną. Chyba mieszkał przez parę lat w Barcelonie, pracował jako...

– Kierowca – rzekł Forest ledwie słyszalnym głosem. – Jeździł ciężarówką dostawczą.

– Furgonetką – poprawił go szwagier z nieuzasadnioną euforią. – No właśnie. Ale pewnie nie wiesz, że ten nieszczęśnik wrócił na starość do San Salvador i jest teraz ogrodnikiem u jakiegoś emerytowanego lekarza. Słowo daję, to zupełnie jak w jakiejś twojej powieści! – dodał bezmyślnie. – Zaraz, zaraz, niech no sobie przypomnę, jak on się nazywał, czekaj...

– Pau.

– Właśnie.

– Pau. Pau.

– Tak jest.

Wchodząc do kuchni, którą chciała posprzątać, Tecla natknęła się na wielki obłok pary i rozlaną kawę. Mao kręcił się w pobliżu i ujadał. Stara służąca widziała, jak Forest włóczy się w głębi ogrodu, koło szopy, lecz nie sądziła, że to on (człowiek z taką głową) zawinił, tylko jego młoda krewna, ta zapominalska wariatka. Wysprzątała wszystko do czysta, mamrocząc coś przez zęby, dorobiła kawy, dokończyła śniadanie i zniosła je na tacy na stół pod sosnami.

Forest, siedzący na trawie z plecami opartymi o Lotofaga i z laską na kolanach, nie odpowiedział na pozdrowienie Tecli, nawet na nią nie spojrział. Od godziny nie ruszył się z miejsca ani nie zmienił pozycji. Był nieogolony, a przekrzywione okulary wisały na jednym tylko uchu.

Jakiś czas potem, słysząc, że gdzieś w domu Mariana woła samą siebie, wstał, opierając się na lasce, i nadstawił uszu. Czyżby nadeszła godzina rozdwojenia? To był jej głos, choć może trochę bardziej miękki. Jak somnambulik wyszedł na środek ogrodu, skąd dostrzegł w galerii, za niskimi gałęziami eukaliptusa, wysoką kobietę, która stawiała na ziemi niedużą walizkę. Ubrana była w szary kostium, blad różowe pończochy, na głowie miała chustkę.

Zaraz potem zeszła po schodkach do ogrodu, zamyślona i powolna, z niestabilną elegancją kobiety na wysokich obcasach, z biodrami jak szafa i bardzo zajętej dłońmi. Idąc w jego stronę, ściągnęła z głowy chustkę i odsłoniła krótkie włosy, falujące w młodzieńczym rytmie, lecz już popielate.

– Cześć, Luys, nicponiu! Że też to ja muszę do ciebie przyjeżdżać, po tak długim czasie...

– Witaj, Mariano.

Pod postrzępionymi szczątkami huśtawki pocałowali się w policzki.

– Mamie wyglądasz – rzekła. – Pewnie za dużo pracujesz. Co ci się stało w oko?

– Nic. Widziałaś się już z córką?

– Jest w łazience. – Powiodła szarymi oczami po ogrodzie. – Mój Boże, jak to się wszystko zmieniło.

– Jadłaś już śniadanie? Napijesz się kawy?

Usiedli przy stole i Mariana ponownie skomentowała jego mizerny wygląd. Umiała zakładać nogę na nogę z tym samym pełnym spokojem wdziękiem co dawniej, ale jej nogi nie były już takie same.

– Powinieneś mniej pisać, a więcej zażywać słońca – powiedziała, gdy szwagier nalewał jej kawy. – No więc, jak się zachowywała ta dzikuska? Obiecała mi, że będzie pracować...

– Bez najmniejszego problemu. Chcesz ją stąd zabrać?

– No pewnie. Obją się tutaj od kwietnia. Nie ma za grosz wstydu, na pewno zauważyłeś.

– Nie podzielał twój zdania, Mariano. Twoja córka to dziewczyna o dużej kulturze.

Dlaczego włożyła na swoje ciało te okropne pończochy barwy ciała? – myślał Forest, próbując powiedzieć coś o nieco grymaśnym talencie jej córki, co szwagierka puściła mimo uszu: surowo osądzała swoje dziecko i dzisiejszą młodzież.

Forest od niechcienia rzucił parę słów na temat starczych przypadłości: jak stary się czuje i jak kompletnie nic już nie rozumie i nie widzi. Z odnawiającym się niedowierzaniem w swoich krótkowzrocznych żrenicach opowiedział, że zdarzyło mu się nawet pomylić pośladki jej córki z czymś innym. To zresztą całkiem zabawne, dodał, kiwając smutno głową: jego oczy po raz pierwszy widzą goły tyłek na tej purytańskiej plaży, a on nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

Mariana Monteys wybuchnęła śmiechem.

– Nic się nie zmieniłeś – powiedziała. – Tak naprawdę, biedny Luysku, nigdy nie zdawałeś sobie sprawy z niczego.

– Co masz na myśli? – Poczul nagłą potrzebę, by rzucić się w to coś na oślep, cokolwiek to będzie i jakkolwiek zostanie nazwane. – No, mów. Opowiedz mi o Sole. Jak to się stało? To był zator mózgu, prawda?

– Taka była przyczyna śmierci, ale... Myślałam, że twoi synowie ci powiedzą.

Nie widywał już swoich synów i do diabła z nimi, ale przemilczał to.

– Wiesz, że nie rozmawiamy ze sobą.

– Chciałam ci to powiedzieć wtedy, kiedy Sole cię zostawiła, sześć lat temu, ale nawet wtedy mi nie pozwoliła. Szczerze cię nienawidziła, Luys.

Forest powoli wyprostował plecy, zaciskając dłonie na gałce laski, i powiedział:

– Nigdy nie chorowała na zwężenie zastawki mitralnej. Próbował jeszcze zaprzeczać: – Nigdy. To był zwykły trik literacki.

– Hm – rzekła szwagierka, postanawiając zignorować tę dziwną, być może ironiczną uwagę. – Nie chciała, żebyś się kiedykolwiek dowiedział. To nie to samo, Luys. Nie znam się na tej medycznej terminologii, wiem tylko, że wszystko było konsekwencją jakiegoś procesu reumatycznego, który miała w dzieciństwie. Dowiedziała się o tym dopiero w czterdziestym pierwszym roku, na krótko przed waszym ślubem. Zabroniła nam wszystkim dzielić się tą informacją z tobą, nawet staremu doktorowi Godoyowi, pamiętasz go? Miała nadzieję, że wyjdzie z tego z czasem, wtedy nie było to jeszcze poważne; stało się poważne po latach, ale do końca udało jej się to ukryć.

– Żeby oszczędzić mi cierpienia, Livingstone, jak sądzę rzekł z resztkami niezbyt stanowczego sarkazmu.

– Cóż, nie wydajesz się zaskoczony.

Więc poradził się właściwie: zmęczenie, zimne dłonie, obrzmienie kończyn, cyjanoza, sporadyczne odkrztuszanie krwią, wszystko to sprawiało, że chorobę można było pomylić z procesem gruźliczym...

– Chcę powiedzieć – dodał Forest jakby przez sen – że robiła to z miłości do mnie.

– Przez wiele lat tak – rzekła szwagierka. – A potem dlatego, że tobą gardziła. Zapewne niełatwo ci się z tym pogodzić. Ale nie mów, że nie wiedziałeś, jak bardzo cię nienawidziła.

– Wiedziałem.

– Największą przyjemność sprawiało jej mówienie o twojej kompletnej ignorancji w każdym względzie...

Forest przerwał jej dość gwałtownie:

– Powiedz mi, Mari, czy wiedziałaś... czy myślisz, że między Sole a Chemą wiele lat temu mogło coś naprawdę być...?

– Mój Boże, Luys, nie uważasz, że jest trochę za późno na takie rozmowy? – Zrobiła przerwę, żeby dopić kawę, i dodała: – Musisz przyznać, że robienie scen w twoim wieku byłoby rzeczą pożałowania godną.

– Mari, proszę.

– Właściwie co to szkodzi. Wszyscy o tym wiedzieli poza tobą. Było to zimą czterdziestego ósmego, jeśli dobrze pamiętam... Wyjechałeś w podróż. Mam nadzieję, że nie zaczniesz mi teraz lamentować. Było, minęło.

– Było, minęło.

– I wiem, że stało się to tylko raz.

– Wiesz – wyrzekł z pewnym trudem.

– Mój drogi, pomówmy o czymś innym. Jak tam twoje pamiętniki? To prawda, że udało ci się skłonić moją szaloną córkę do pomocy? Dokonałeś cudu!

On jednak, zdecydowany wychylić kielich goryczy do dna, powiedział:

– *À propos*, zamierzam zadedykować ci tę książkę.

– Moim zdaniem to niezbyt rozsądne.

– Czemu nie? Często się w niej pojawiaasz, jesteś wyrazistą postacią...

– Tego się właśnie obawiałam – rzekła Mariana. – Mam jednak nadzieję, że przynajmniej w jednej rzeczy zachowałeś dyskrecję.

Forest spuścił wzrok i coraz silniej drżącą dłonią odstawił filiżankę na stół. Wyraźnie słyszał, jak coś darło się w jego pamięci. Kolorowa tapeta, którą okleił ściany, odpadała strzępami – ale taka sama ukazywała się pod nią.

– Dyskrecję w czym, Mariano?

– Nie zgrywaj niewiniątka. To już ponad dwadzieścia lat, jak ten czas leci. Czasem wydaje mi się, że to był jakiś sen: byłam wtedy o krok od wpadnięcia w alkoholizm, nie umiałam się pozbierać, zwątpiłam we wszystko... Twoje rady dużo mi tamtej nocy pomogły, chociaż potem zaszło, co zaszło.

– Co zaszło, tak. Pamiętasz to...?

Niekontrolowany napad lekkiego, krótkotrwałe młodzieńczego śmiechu wstrząsnął Marianą Monteys, Wnet odzyskała jednak tę urażoną ciężkość powiek i bioder: pewnie, że pamięta, choć jak przez mgłę, drwa płonące w kominku, tę nieboraczkę śpiącą na górze, szlafrok uplamiony popiołem i winem, otwierające się lustrzane drzwi szafy... Tamta idiotka była nie w tym łóżku, co powinna, dodała, myślałeś, że ja to ona, i szeptałeś mi do uszu rzeczy, które mówi się kurwom, byłeś tak pijany, a ja nie wiedziałam, jak zareagować, potrzebowałam cię, pozwoliłam ci...

Forest obiema rękami trzymał się fotela, lecz na jego twarzy nie malowało się już napięcie. Niespieszna relacja o tych widmowych zajściach, tych urzeczywistnionych urojeniach, które jego szwagierka jakby wyciągała z nicości, nie mogła go już zaskoczyć.

– Zawsze byłam ci wdzięczna za to – ciągnęła Mariana że nigdy ze mną o tym nie rozmawiałeś, że nigdy o tej nocy nie wspomniałeś ani słowem. – I dodała, od niechcenia oglądając sobie paznokcie: – Tego samego oczekuję od twojej książki. Jeśli nie ze względu na mnie, zrób to przynajmniej dla niej.

– Dla niej – powtórzył Forest. – Rzecz jasna, masz na myśli Sole.

– Mam na myśli Marianę.

Dwadzieścia trzy lata, aroganckie dziecko rozczarowania i blagi, sztuczek pamięci wędrowniej. Tak, bądź przeklęty, bądź przeklęty. W tym momencie Forest wybuchnął śmiechem, smakując jeszcze zakazaną wisienkę dziewczyny: w pewien sposób spłodził dziecko Mariany w dziele będącym jego dzieckiem.

Kiedy przestał się śmiać, starczyło mu jeszcze sił, by wyciągnąć szyję i ułatwić ostatnie cięcie:

– Sugerujesz, że Mariana jest moją córką?

Odpowiedziała, nie patrząc na niego:

– Wiele lat temu uznałam, że to nikogo nie powinno obchodzić. Nawet ciebie.

Z iskrzącym się kącikiem oka, ze wzrokiem zasnutym wątpliwym szczęściem, siedziała rozluźniona, umoszczona na swoich rozlanych pośladkach. Mariana Monteys, najlepsze biodra w całym imperium, ach!

Forest wstał jak automat. Uderzając się po dłoni gałką laski, oznajmił, że musi się napić, i odszedł w stronę domu. W rzeczywistości udał się do swojego gabinetu. Pozostaje jedno wyjście, pomyślał, jedno jedyne.

Przechodząc przez salon, dojrzał Marianę-córkę na kanapie: leżała na brzuchu, z twarzą w poduszce i z mokrym ręcznikiem na głowie. Jej wspaniałe ramiona zwiślały ku ziemi jak martwe jadowite żmije. Nigdy przedtem nie widział jej tak naćpanej. Pod płataniną włosów, w odmęcie piegów powoli otworzyły się szare oczy i spojrzały na niego, rozchyliły się suche usta: bezczelny uśmiech przypięczętowywał – tak jego zdaniem należało to odebrać – decyzję, której nie powinien odwlekać.

U góry, w gabinecie, pootwierał wszystkie szuflady w starej komodzie. Kiedy wkładał dłoń do ostatniej, krew ścięła mu się w żyłach. Po omacku przeszukał rozgardiasz dawnych, zapomnianych przedmiotów, zatraconych wśród wyszukanych, morderczych przydałek w zmasakrowanym tekście. Poczuł na karku, że coś przygląda mu się kpiąco, pewien był, że po raz kolejny wątpliwa realność teraźniejszości zmać, sponiewiera bezdyskusyjną realność przeszłości. Niemal pozbawione czucia palce najpierw dotknęły zawiniątka w głębi szuflady, widma niebieskiej koszuli pogryzionej przez myszy, a potem rozpoznały straszliwy kształt broni.

Podczas gdy astra przebywała niekończącą się drogę ku jego skroni, Luysowi Forestowi mignęło w pamięci, jak swojski i domowy był początek pierwszego zagubienia, znów ujrzał Mao, który przybiega do niego z ogrodu wesołym kroczkiem, niosąc w pysku to inne życie... Przez ułamek sekundy żywił jeszcze nikłą nadzieję, z diabelską precyzją przypominając sobie jeden prawdziwy fakt pośród tylu złud: wiele lat wcześniej rzeczywiście wyjął magazynek, zrobił to z myślą o dzieciach, a potem wyrzucił pistolet w rozlewiska Foix, naprawdę, a przynajmniej wyrzucił magazynek, mój starszy syn to widział, poważnie, chłopak był świadkiem, na pewno to pamięta, naprawdę...

Jednak tu, gdzie się zabląkał, w tym labiryncie schronień, które runęły, pracowita fikcja nie mogła zrobić już najmniejszego choćby ustępstwa na rzecz kapryśnej rzeczywistości, nie była już w stanie dalej jej ani respektować, ani potwierdzać. Tu oto czeka na niego przyrzeczona, niezawodna i samotna kula, zmierzająca do jego mózgu.

Powoli odwrócił się plecami do komody matki, a odwracając się, kątem oka ujrzał swojego ojca, siedzącego na balkoniku, moczącego nogi w miednicy z solanką, ciemnymi, pachnącymi dziegiem dłońmi rozpinającego sobie koszulę, z podbródkiem opuszczonym na piersi, pozwalającego sobie umrzeć; za jego plecami morze wyglądało jak szeroki płat blachy, małe białe fale następowały jedna po drugiej, choć wydawało się, że się nie przesuwają, spokojne jak falangi w szyku bojowym. Forest osunął się na podłogę z zamglonym wzrokiem i łkając, przemógł ciężkie ramię.

Pół godziny później obie szukające go Mariany weszły na górę i zastały go klęczącego na podłodze, płaczącego jak dziecko nad niebieskimi szmatami i starym pistoletem, stertą rdzy i pleśni. W magazynku, owszem, był nabój. Ale broń się zacięła i nie wystrzeliła.